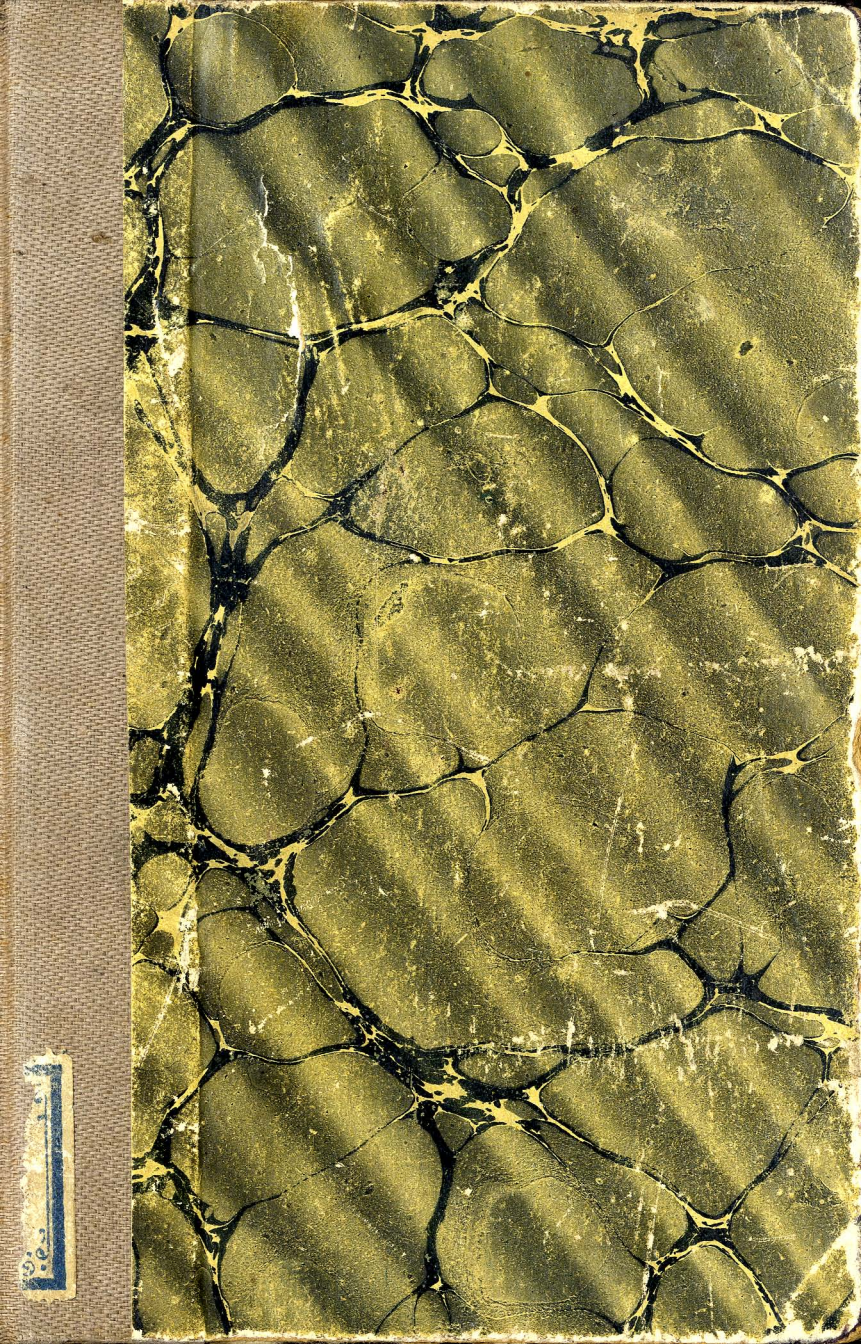






13686

13686

148

13686

STANISŁAW GRUDZIŃSKI.

El. Orzeszkowa

NOWELE.

KSIAŻNIA
13-686
BIBLIOTEKA

ZAMIEĆ ZIMOWA. — KONCERT. —
LIST BEZIMIENNY. — Nr. 2564. —
SNEŻYCA. — LALA. — OKNO NA
PODDASZU.

WARSZAWA.

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1887.

148

Pani Elize Orzechowej
 i miernemu egzotego autora,
 jako wielbiciele jej talentu
 pracy i wstęgu ofiarnej

Warszawa 19/III 87. Wp. Kofia Grudzińska

NOWELE.

STANISŁAW GRUDZIŃSKI.

N O W E L E



WARSZAWA

NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA.

1887.

Дозволено Цензурою.
Варшава 2 Сентября 1886 г.

KRAKÓW. — DRUK WŁ. L. ANCZYCA I SPÓŁKI,
pod zarządem J. Gadowskiego.

ZAMIEĆ ZIMOWA.

Kilka kartek z niewydanego pamiętnika.

S. Grudziński. Nowele.



821.162.1-311.2



J. 8. 15. 6. 45

74r

12 Stycznia.

„Człowiek jest istotą towarzyską“ — lubił powtarzać niegdyś poczciwy Klapnicki, mój profesor łaciny w klasie trzeciej — co mu wcale nie przeszkadzało żyć jak odludek, systematycznie unikając towarzystwa. Co do mnie, radbym dziś do tej arcy prawdziwej zasady dodać: „uczucie robi człowieka istotą towarzyską“, bo naprawdę nigdy jeszcze dotąd nie zdarzyło mi się uczuwać takiego braku ludzi i takiej potrzeby znalezienia choć jednego człowieka, przed którym mógłbym się wypowiedzieć z tego, co się we mnie dzieje.

Ale co się właściwie dzieje? — nie mogę sobie jasno zdać sprawy.

Wiem, że za tydzień mój ślub... za tydzień stanę się tedy porządnym człowiekiem (urzędowa nazwa ludzi żonatych), pożegnani raz na zawsze z moją kawalerską swobodą —

zacznę nową epokę życia — epokę własnego gospodarstwa, obiadowania w domu... stania się z pojedyńczego — podwójnym człowiekiem.

Jak dwie lzy oczu, dwa piersi westchnienia,
Razem i razem do świata skończenia.

Naprawdę, nie pojmuję mego stanu...

Czy ja kocham moję narzeczoną — czy nie?
Oto pytanie!

Gdybym miał jakiego przyjaciela, któryby zajął w tajniki mojej duszy i odpowiedział mi na to...

Niewątpliwie — uczucie robi człowieka istotą towarzyską.

Kiedy się cierpi, potrzebuje się pociechy, kiedy się kocha — szuka się powiernika tajemnic serdecznych.

Kiedy się kocha... ale czy ja jestem w tym wypadku — czy nie?

Czemuż nie mam przyjaciela!

Ba! ale — cóżby mi ztąd przyszło. Przyjaciół powiedziałby mi niewątpliwie, że skoro się jest zaręczonym, skoro wszystko już do ślubu przygotowane i przyjechało się do miasta po zakupno cukrów i ciast — wtedy już nie czas na żadne medytacje — trzeba się żenić z zamkniętymi oczyma.

No — i przyjaciel ten miałby słuszność...

Nie — nie chcę nikogo radzić się — nie chcę żadnych przyjaciół.

O jedenastej pociąg odchodzi. Mam zatem przed sobą trzy godziny czasu. Zapalam cygaro prawdziwe hawańskie. Czego mam sobie żałować? i tak po ślubie nie wolno mi będzie palić w domu, gdyż przyszła małżonka moja zapachu cygar nie znosi. Mniejsza o to — wiele ten robi co kocha, a przecież niewątpliwie... ja jestem zakochany.

Ha! śmiać mi się chce, jak sobie przypominę ile to już razy w życiu bywałem...

Najprzód — kochałem się w nauczycielce mojej siostry. Miałem wtedy lat dziesięć — ona coś blisko trzydziestki. Nie byłaby z nas dobrana para, ale nie chodziło mi o to wcale. Ja chciałem tylko patrzeć w jej oczy i usta... Szczególnie usta miały dla mnie jakiś pociąg niewytłomaczony — różowe jak wiśnia — maleńkie... prześliczne!

Niestety! — zakradłszy się pewnego ranka do jej sypialni, widziałem na własne oczy, jak sobie te ponętne wargi malowała karminem i ekspensowała niesłychaną ilość węgla na aksamitne łuki brwi...

Karmin był piękny a węgiel niewinny i tani

(było to bowiem na wsi), — ztemwszystkiem jednak, rozczarowałem się okrutnie.

Ciennie zawodu pierś moję zraniły...

Wyleczyłem się jednak z rany. — Wysłano mnie do miasta na naukę, przywdziałem mundur, zacząłem chodzić do klasy. — Nauczyciel, u którego umieszczono mnie na stancyi, miał siwą głowę i młodą żonę. — Zakochałem się oczywiście w żonie.

Ta nie miała farbowanych brwi i warg ale zato włosy... co za włosy! Nosiła je splecione we dwa warkocze, sięgały jej do kolan... pyszne włosy!

Patrzyłem na nie z chciwością, marząc o tem, coby to było za szczęście, gdyby mi pozwoliła pocałować jeden ze swych warkoczy.

Ale — co się stało.

Byli tam na stancyi i starsi uczniowie. Jednego z nich nie cierpiałem, bo też na każdym kroku gnębił mnie swoją wyższością.

Cóż miałem robić! szewc mi dawał obcasy jak największe a wszystko na nic.

Razu jednego — pamiętam przy obiedzie... podano babkę czekoladową, była to ulubiona moja potrawa. Dostaliśmy po kawałku, a jeden został na półmisku. Miałem szczególniejszy na

niego apetyt. Wtem — pani profesorowa wstaje, wyciąga rękę i... kładzie ów kawałek na talerz mojego rywala!

Krew mi uderzyła do głowy i do serca, a łzy zakręciły się w oczach.

Ona — zobaczywszy co się we mnie działo, przemówiła: Pociesz się, mój mały! — dostaniesz bułkę z powidłami na podwieczorek.

Nic nie odrzekłem, tylko spojrzałem z pogardą.

Mój mały! mój mały! tego było dla mnie zawiele — postanowiłem wyrzucić niewdzięczną z mego serca.

Drugi zawód. O!... bojowaniem jest życie człowieka! jak słusznie mówił pocziwy nasz proboszcz.

Potem — zakochałem się w kupcowej, która sprzedawała mi codzień ciastka.

Potem — w lat piętnaście — poznałem się z jedną pensyonarką. — Spotykaliśmy się chodząc do klasy, a ile razy dojrzałem zdaleka jej błękitną woalkę — serce mi biło jak szalone.

To trwało dosyć długo. Fotografiją jej miałem przy sobie — patrzyłem w nią jak w obrazek święty... Przysięgliśmy sobie wieczną miłość na zakręcie ciemnej ulicy i pieczęcią pocałunku stwierdziliśmy przysięgę. Pocałunek jej czułem

na twarzy nieustannie — przez dwa dni nie umywałem się wcale, aby nie zmyć jego drogich śladów. Wkońcu — zacząłem wyglądać jak kominarz, — dyrektor zrobił mi uwagę — umyłem się!

W rok potem, ona została narzeczoną jakiegoś urzędnika od akcyzy, a ja zapomniałem o niej, zajęty przygotowaniem do egzaminu.

A potem? a potem — mój Boże! przyszły czasy uniwersyteckie — wieczorki ponczowe... znajomości za kulisami teatru... błędzenia pod oknami baletniczek — różowe liściki... schadзки pod cieniem bzów i kasztanów; zachwyty, rozczarowania, nowe zapasy...

Życie moje było jak świeżo nalany kielich szampańskiego... wrzało, pieniało się, szumiało — aż z czasem powierzchnia się zrównała, burza ucichła i został na wierzchu jeden tylko bombalek — w postaci panny Eleonory, dzisiejszej mej narzeczonej.

Mój Boże! tyle przejść, tyle wrażeń mego niespełna trzydziestoletniego żywota — a ona — ona nie miała żadnych! Moje serce to jak pieniądź co wędrował po świecie i przez tysiące rąk przechodził; jej — to złota moneta — która przeszła wprost z mennicy do szkatuły bankiera.

Jakto? ja, kosztem tej wyszarzanej mojej

zdawkowej monety, mam nabyć tę złotą — tę nieskalaną, opowitą tak troskliwie w wacie, że z pierwotnego swego blasku nic nie straciła...

Czy to słusznie?

Alboż ja wiem! Nie słyszałem jednak, aby kto mieniał dukat na dukat — na nicby to się nie przydało; zresztą, muszę mieć dużo tej zdawkowej monety, skoro mogę za nią nabyć złotą.

— Brrr! — jak zimno!..

Ręce mi skostniały. Ale któraż to godzina? Za pół godziny jedenasta. Podobno na dworze śnieg pozasypywał wszystkie ulice. Zabieram moje tłumoki z cukrami i winem, wchodzę w moje szopy i jadę na kolej. Jutro przed wieczorem stanę w mennicy... chciałem powiedzieć, w domu mojej narzeczonej.

Vogue la galère!

13 Stycznia.

Człowiek strzela Pan Bóg kule nosi.

Miałem dziś być w Żulińcach — patrzeć w duże oczy panny Eleonory — tymczasem, siedzę jak wczoraj w zimnym hotelowym pokoju, palę cygaro i ziewam.

Powiedziano mi na kolei, że pociągi zatrzymały się gdzieś w drodze, zasypane śniegiem...

posłano im pomoc — tysiące robotników oczyszczają drogę, muszę poczekać bo i tak daleko bym nie zajechał.

Siedzę więc i marzę... marzę o tej, która za kilka dni będzie moją...

Aliści cię nie opuszczę aż do śmierci...

Bądźcobądź, małżeństwo, obok tysiącznych obowiązków, które znam i przykrości, których się spodziewam, ma swoje niezaprzeczone zalety. Jestto jedna z najpoważniejszych rzeczy na świecie — i niewątpliwie wpływać musi na upoważnienie człowieka...

Upoważnienie... dwuznaczny wyraz — go-dzien bliższego rozbioru. Małżeństwo mnie upoważni — to znaczy — robi mnie człowiekiem poważnym, poważnie na świat patrzącym. Małżeństwo mnie upoważni — to znaczy także upoważni mnie do czegoś... nada mi jakieś wyjątkowe prawa...

Do czegoż to mam być upoważnionym? Wyobraźnia buja — w różowych kolorach przedstawia mi progi małżeńskiego żywota.

A może to tylko chwilowe bengalskie ognie, po których zostanie tylko dym i niemiły swąd w powietrzu?

Ej — nie -- tak nie będzie — nie powinno być.

Przekonanie mi mówi, że robię rozumnie, żeniąc się z panną Eleonorą — a przyszłość zależy od naszej woli. Nie jestem młodzikiem, któryby się dał pociągnąć zwodniczym blaskiem. Mam wprowadzić trochę motyle usposobienie, ale skrzydła moje opaliły się już w płomieniach życia — przestałem być ćmą co leci do byle jakiej świecy.

Zwołam raz jeszcze na posiedzenie wszystkie władze mego umysłu i duszy, poddam ich sądowi sprawę żenienia się z panną Eleonorą. Wprowadzić to trochę zapóźno, ale nie mam nic lepszego do roboty — żadnego przyjaciela, z którymby w tej samej kwestyi mógł mówić — więc gadam z sobą.

Posiedzenie się zbiera. Oto zimny, poważny, autonomiczny — pan Rozsądek, nieznoszona osoba, mieszkająca do wszystkiego swoje trzy grosze, ale ma słuszość za sobą — niepodobna go odprosić. Oto — stary, podagryczny zrzęda, świecący zdaleka łysiną, zażywający cochwila tabakę i traktujący nią wszystkich, z dodatkiem, że to trzeźwi — to pan Doświadczenie. Tu znowu — poważna staruszka w czerni, z krzyżem na piersiach, z łagodnym uśmiechem na ustach — pani Moralność. Osoba powszechnie szanowana, choć każdy rad uniknąć z nią dłuższej gawędy. Bo

też starowina marudzi na zabój! Tam kroczy poważnie z miną skończonego sybaryty, rumiany, tłuściutki, z okrągłym brzuszkiem i podbródkiem, pan Wygoda. Zdala od niego istotka wrażliwa, nerwowa, zmienna, kapryśna, egzaltowana — nie pierwszej wiosny panienka — Serce. Tu znów, figurka ruchliwa, lekka, uśmiechnięta — to pan Wola. Nareszcie, okrągła, pulchniutka, żywa, rozpieszczona, zepsuta trochę, trochę kapryśna, ale pełna dobrego smaku kobiетка — to pani Wyobraźnia, nieprzyjaciółka panów: Rozsądku i Doświadczenia, kokietująca ustawicznie pana Wolę, przypochlebiająca się staruszcze Moralności, ale gotowa poza jej krzesłem mrugać na pana Wygodę.

Całe towarzystwo zebrane — sesya się zaczyna.

— Moi państwo, co ostatecznie myślicie o projekcie mego małżeństwa?

Uroczysta chwila milczenia. — Pan Doświadczenie traktuje panią Wyobraźnię tabaką — ta się odwraca — panna Serce wzdycha. Moralność kiwa dobrotliwie głową.

Rozsądek. Nie czas nad tem debatować, krok stanowczy zrobiony — żeń się i kwita.

Doświadczenie. To nie racya, lepiej się rozejść zprzed ołtarza, niżeli za ołtarzem. Zresztą, to

głównie od pana Woli zależy, czekam jego zdania.

Wola. Chciałbym...

Rozsądek. Za pozwoleniem! wymawiam sobie tryb warunkowy, jako zupełnie nie w miejscu. Chcę albo nie chcę, to rozumiem; chciałbym nie ma sensu.

Wola. Pragnąłbym poznać zdanie panny Serce.
Serce. Zrzekam się głosu.

Rozsądek. A no, to ja się wynoszę, taka rada nie ma sensu.

Wszyscy. Panie Rozsądek, niewolno się obrażać.

Rozsądek. A więc radźmy poważnie. Kto zrobił projekt małżeństwa?

Wola. Jeżeli się nie mylę, to panowie Doświadczenie i Wygoda z panią Moralnością.

Doświadczenie. Tak jest. Co do mnie, sędzę, że panna Eleonora stosowną będzie dla naszego klienta partyą.

Rozsądek. Jakie zasady?

Doświadczenie. Panna dobrze wychowana, będzie dobrą żoną; ma posag, rzecz bardzo ważna...

Wygoda. Najważniejsza.

Moralność. Pozwolisz pan, panie Wygoda, że tego zdania nie podzielę.

Serce. Ani ja.

Wyobraźnia i Rozsądek. Ani my.

Doświadczenie. Ma posag; rzecz bardzo ważna. Byt zapewniony jest najtrwalszą szczęścia podstawą. Ma wdzięki; okoliczność bardzo szczęśliwa.

Wyobraźnia. Najszczęśliwsza.

Doświadczenie. Mężczyzna lat trzydziestu, powinien się już żenić, i to, jeden z ważnych powodów.

Wygoda. Koniecznie!

Moralność. Jest racya.

Doświadczenie. To wszystko skłania mnie do pochwalenia i wyboru i projektu.

Wygoda. Jak najśluszniej.

Rozsądek. Więc niema o czem mówić, rzecz skończona, niech się żeni i basta.

Moralność. Za pozwoleniem, moi panowie. Pan Wola się waha, panna Serce milczy; — małżeństwo, aby było godnem swego zadania, musi mieć ich zezwolenie.

Rozsądek. Gadajże, panie Wola, do kroćset...

Wola spoziera zukosa na Wyobraźnię, tymczasem, ta rozmawia z Wygodą. Porozumiewszy się spojrzaniem, przemawia:

Wola. Zgadza się na to małżeństwo.

Moralność. A panna Serce?

Serce. Sama nie wiem.

Doświadczenie. Wnoszę, że głos ten nie jest nieodwoalnie potrzebnym.

Tu panna Serce chce protestować, ale w ogólnym gwarze nie słyhać jej przemówienia. Wszyscy mówią mniej więcej zgodnie, a nad wszystkimi głosy góruje baryton Rozsądku:

— Niech się żeni i basta! — powiedziałem i powtarzam! Posiedzenie skończone.

Cóż mam począć? Wola się waha, serce milczy, ale wszystkie inne władze mego umysłu przemawiają za małżeństwem. Nie najmniej wymownie perswaduje wyobraźnia. Słaba to moja strona, jestem przez nią zawojowany kompletnie.

Teraz naprzykład, stawia mi ona przed oczy postać mojej narzeczonej i moje pierwsze z nią spotkanie.

Było to na balu, w karnawale, rok temu właśnie. Pamiętam, że poszedł na ten bal z nudów. Przez długi czas zajęty sprawami moich klientów, w ciągłym obłęzieniu apelacyj, pozwów, kompromisów i t. d., skwaśniałem i stetryczałem.

Nawet atmosfera balu nie uleczyła mnie na razie, patrzyłem z pogardliwym uśmiechem na wirujące w walcu pary i dziwiłem się sam sobie, że niegdyś, przed niedawnym nawet czasem, mogłem tak szalonym być czcicielem Terpsy-

chory. Nie przyszło mi jakoś na myśl, że rozwiązanie zagadki leżało w głębi serca. Wtenczas bowiem, bywałem zawsze jeżeli nie koniecznie zakochany, to przynajmniej szczerze kimkolwiek zajęty.

Jestto niezbędny warunek, bez którego, magnetyczny wpływ balu, traci swoją siłę. Potrzeba być bardzo młodym, aby się mózgi zadowolić i upoić samą tylko atmosferą muzyki i światła balowych.

„Dajcie mi punkt oparcia, a ziemię przewrócę“, mawiał podobno nieboszczyk Archimedes, a powtarzają to za nim, zachwyceni piramidalnością myśli, uczniowie trzeciej klasy gimnazjalnej.

I mnie właśnie, jak jemu, brakowało tej drobnostki, nie do tego wprowadzić, abym chciał wzruszać z posad ziemię (bo, Bóg mi świadkiem, nie miałem nigdy takich przewrotnych zachcianek), ale tylko, by się dać porwać szalowi balu.

Nagle — właśnie przed kadryllem — we drzwiach salonu stanęła postać nieznajomej mi kobiety. Była to panna Eleonora wchodząca w tej chwili z matką i w asystencji licznej eleganckiej młodzieży. W spojrzeniu jej rzuconem na salę, w lekkim uśmiechu ust, w całym układzie jej słusznej, kształtnej postaci, było coś dziwnie

uroczego, coś co mi postawiło przed okiem wyobraźni, Venus grecką rodzącą się z morskiej fali. Widziałem, jak z królewską jakąś godnością przyjmowała składane jej hołdy, jak obojętnem widocznie uchem słuchała pustych zapewne frazesów swego tancerza. Czułem, że byłem zły na tego salonowego galopanta, jak bywałem oburzony na katarynkarza, profanującego z największą flegmą ulubioną mi *Normę*. Sama postać panny Eleonory miała w sobie podobieństwo do rzymskiej westalki, a co do mnie, byłbym gotów uczcić ją przepysznym śpiewem: *o casta diva!*

Spotkaliśmy się spojrzeniem, w ostatniej figurze. Spotkanie to było chwilowe ale stanowcze. Czułem się podbitym i poszedłem przedstawić się memu zwyczajcy. Niedługo potem, w szalonym walcu, dotknięciem jej płowych włosów, które spadając w dwóch bogatych lokach na marmurowe ramiona, musnęły mnie po twarzy, — zostałem pasowany na rycerza księżniczki Eleonory.

Ojciec jej był tylko majątnym szlachcicem, wzbogaconym podobno hodowlą owiec, ale ona została księżniczką mego serca.

Otrzymawszy pozwolenie matki, złożyłem wizytę, w kwartał byłem codziennym gościem, po

drugim kwartale zostałem narzeczonym — za sześć dni mam być mężem.

Co zazdrości! co obmowy ludzkiej! — pysznię się z tego — i naprawdę mam zupełne prawo.

Nie; bądźcobądź, należy już raz zwyciężyć swoje zmienne i kapryśne usposobienie. Kocham! — jestem tego pewny, że kocham — wszelkie zaś chwilowe wstręty i wahania — to nie więcej jak tylko owoc nawyknień kawalerskich.

Vade retro diabolus! Jutro o tej porze będę już w Żulińcach, bo przecież niepodobna aby te zaspys śniegowe nie dały się jeszcze usunąć. Zresztą, gwałtu niema, zdążę w każdym razie na czas, choćbym szedł nawet piechotą.

14 Stycznia.

Dzieją się rzeczy na świecie, o których się filozofom nie śniło. Czy mogłem przypuścić, pisząc wczoraj te słowa, że przyjdzie nasero potrzebą, podróżowania *per pedes apostolorum*. Chciałbym widzieć minę Anglika w podobnej sytuacji. Nie sztuka dziwaczyć i dogadzać swoim kaprysom tam, gdzie za pieniądze wszystko zrobić można. Niechby tu sobie dogodził, gdzie

sama natura stawia nieprzełamane zapory. Po ciąg kolei żelaznej, który wyruszył z Kijowa, stanął w Odessie dziesiątego dnia. Łatwo sobie wyobrazić jak mogą wyglądać jadący pocztą. Nie pojmuję prawdziwie co robić! za cztery dni mój ślub... Cóż będzie, jeżeli tak pójdzie dalej? — czekać dłużej jest niepodobieństwem. Bądźcobądź, dziś wieczorem jadę — dziej się wolo Boża!

Ale... ale... miałem przyjemne zdarzenie. Przechodząc jedną z mniejszych ulic, literalnie zawianą śniegiem, spotkałem młodą, śliczną pannienkę, lat może siedemnastu (co najwięcej), która tak nieszczęśliwie weszła w największą zaspę, iż w żaden sposób nie mogła sobie dać rady. Jedna jej nóżka, nadto głęboko zapadła w śnieg, wskutek czego druga, niemogąc znaleźć narazie punktu oparcia, została w powietrzu, narażając tem całą zgrabną swęj właścicielki figurkę, na nieunikniony upadek za pierwszym niezręcznem naruszeniem równowagi. Pośpieszyłem oczywiście na pomoc — ale nowa kwestya — w jaki sposób udzielić jej mogłem? Należało bowiem cofnąć się wstecz, aby powrócić do wąskiej drożynki, z której właśnie piękna nieznajoma zeszła, szukając snąc lepszego przejścia. Wobec jednak pozycyi, w jakiej stanęła, obrót taki był, nawet

przy pomocy mojej, trudny. Zmiarkowałem to w jednej chwili i nie tracąc czasu, wziąłem piękne dziewczę tak, jak niańki przenoszą dzieci z miejsca na miejsce, a że była lekka jak piórko, postawiłem ją w jednej chwili na bezpiecznym gruncie. Stało się to tak szybko, że ani się pomiarkować, ani protestować nie miała czasu. Zato, kiedy po tym kroku zuchwałem, przeproszałem ją jaknajgrzeczniej za moję nieproszoną pomoc, biedaczka spłoneęła jak róża, a ciemne i skrzące się oczęta, wynagrodziły mnie podziękowaniem, nad zasługę.

Bóg wie zkąd przypomniał mi się Centaur Nessos, który za zbyt uprzejme przeniesienie Dejaniry przez potok, został rażony śmiertelnie strzałą Herkulesa.

Czy też ja będę takim zazdrośnikiem, jako małżonek panny Eleonory?

Bądźcobądź, nie źle się stało, że tym razem nie było żadnego męża ani brata, bo, Bóg świadkiem, niesłusznie napastowałyby mnie może za moję pomoc. Z ocząt zaś niezajomej zostałem rażony strzałą, jakich się nigdy w życiu nie unika, bo jakkolwiek niebezpieczne — z jadem hydry lernejskiej nie mają nic wspólnego.

Ależ co za lekkość! co za misterna, kształtna figurka, co za drobna, dziecinna nóżka.

Przebacz, panno Eleonoro, bo najprzód nie masz takiej nóżki, a powtóre, toż już ostatki mego motylego żywota.

Miałem kolegę w szkołach, szalonego amatora tańców. Kochał się nazabój w córce nauczyciela kaligrafii, bujnie rozkwitłej pannie Róży i obtańcowywał ją na wszystkich wieczorkach.

Biedaczek — mierzył siłę na zamiary a nie zamiar według sił — zwichnął sobie prawą rękę w jakiejś galopadzie i przez cały post musiał leżeć w łóżku.

Dziś tedy stanowczo jadę.

Amorze, bądź zdrów! — Hymenie, prowadź mnie swoją pochodnią, a jeżeli ona nie tylko świeci, ale też i grzeje, roztop nią śniegi na drodze do Żuliniec, bo za cztery dni ślub, a beze mnie się w żaden sposób nie obejdzie.

15 Stycznia.

Nareszcie jadę.

Co prawda, jeżeli tak pójdzie dalej, Bogu jednemu wiadomo kiedy stanę u celu, zwłaszcza, że od stacyi zostają mi jeszcze cztery mile, a taka przestrzeń o tej porze, to wieczność.

Słowa te piszę w wagonie. Cieszę się ze swego pomysłu prowadzenia dziennika, bo mi to sprawia złudzenie, że z kimś rozmawiam, a tyle

mam do powierzenia. Naprzykład, ktoby się mógł spodziewać, że owa piękna nieznajoma, którą wczoraj ratowałem na ulicy, będzie towarzyszką mojej podróży. Zastałem ją już w wagonie. Jedzie z dziadkiem, siwym staruszkiem, do stacy niedalekiej od celu mojej podróży. Ukłoniłem się jej jak znajomej — i tym razem także zapłoniła się ogromnie. Ta jej skromność ma jakiś szczególny dla mnie urok. Korzystając z przywilejów jazdy kolejowej, przedstawiłem się im obojgu, i wnuczce i dziadkowi, a piękna Kazia dodała od siebie objaśnienie.

— To ten pan, któremu zawdzięczam, że mnie śnieg nie zasypał.

Staruszek dziękował za wyratowanie mu jego „pieszczoszki“, jak wnuczkę nazywa. Rozmowa zawiązała się bardzo łatwo.

Panna Kazia jest naprawdę uroczem zjawiskiem.

Sądząc z jej gwałtownego wówczas zapłonięcia się i tej trwożliwej minki z jaką mi dziękowała, myślałem, że to tylko zwykłe płochliwe dziecko, z rodzaju tych, co to według przepisu mamy spuszczać oczy, gdy się do nich zagada i znęcają się nad chustką od nosa, kiedy mężczyzna mniej znany, o cokolwiek zapyta.

I z tem nawet byłoby jej do twarzy, bo po-

siada wiele innych zalet, rozbrajających najzdańliwszego sceptyka.

Jakaż jednak była dla mnie siurpryza, gdy z dłuższej rozmowy przekonałem się, że się bardzo omylił.

Łączy ona bowiem nieudaną naiwność dziecka ze znacznem rozwinięciem główki; naturalną a jednak wyższą nad wiek swój powagę z wesołością prawdziwie polskiego dziewczęcia. Rozmawialiśmy z sobą o wielu rzeczach, a w miarę jak przeskakując z przedmiotu na przedmiot, poruszaliśmy różnego rodzaju kwestye, oczęta jej będące żywym obrazem duszy, to się śmiały jak słońce wiosenne do ziemi, to zachodziły chmurką zadumy, jakby z tej chmurki, majowy deszcz łez miał się puścić.

W tej chwili i dziadek i wnuczka śpią, a ja, zpod zasłoniętej latarki, przy której to piszę, napawam się widokiem panny Kazi. Oparła kształtną główkę na podróżnym, ręcznym tłómaczku, a czarny kapelusik z białem piórem i czarny kołnierz jej futerka, tworzą razem jakby ramy z hebanu do prześlicznego obrazka. Co za doskonałe łuki brew nad lekko przymkniętymi powiekami... Co za skończonej piękności nosek... jakie usta... jaki owal twarzy...

Miękkie futerko tuli się pieścizliwie do jej

zgrabnej figurki i podnosi się od spokojnego oddechu. Jedną rękę ma pod głową; druga — na straży serca. Najbliżej do mnie wysunęła się nóżka w ciepłym futrzanym buciku... Coza bucik miniaturowy... co za nóżka... klękajcie narody! Jaka szkoda, że nie jestem malarzem... takich pasterek więcej — a złoty wiek powróci i sielanka fiołkami uściele nam życie...

Co ja piszę! — a panna Eleonora? ta wcielona epopeja, ten klasyczny dydaktyzm — ta piękna Juno, przy której mam być Jowiszem...

I ona piękna — nie ulega wątpliwości — ale Jowisz, zrzekłby się swych gromów, i zostałby pasterzem przy pannie Kazi.

Ba! Jowiszowi wszystko wolno — nie mnie. *Quod licet Jovi non licet bovi* — tu sęk...

Oczy mi się kleją, jakby z nadmiaru fiołkowej woni. Spróbuję zasnąć, marząc o mojej sąsiadce. Rzeczywistość dla p. Eleonory — marzenia senne dla uroczego dziecka... Zresztą, to ostatni raz — obiecuję poprawę — ostatni raz, słowo daję.

16 Stycznia.

A to ładna perspektywa! Nie wiedząc o niczym, spaliśmy sobie spokojnie, pewni, że się posuwamy naprzód; tymczasem okazuje się, że

przez całą noc, ujechaliśmy tylko dwie stacye. Jestem więc oddalony od celu, o ośm godzin zwykłej jazdy, które mogą się teraz potroić. — Co tu począć. Niepokoilibym się i martwił ogromnie, gdyby nie... panna Kazia. Ona tak naiwnie cieszy się z tej niezwyklej podróży, tak filuternie ubolewa nade mną, że rad nie rad, muszę nadrabiać miną i udawać obojętność. Zresztą, sam nie wiem dlaczego, nie chciałbym aby ona wiedziała, że jadę się żenić, że zaś nie pytali mnie, gdzie i poco jadę, więc dotychczas tajemnica moja nie została zdradzoną.

Bądźcobądź, jestem z każdą chwilą niespokojniejszym. Pojutrze mój ślub, dziś już zapewne zjeżdżają się do Żuliniec goście z dalszych okolic — miałem być dwa dni temu; dziś już koniecznie, a tu niema sposobu i daj Boże, żebym zdążył na jutrzejszy wieczór.

Na stacyach stoimy po cztery i pięć często kwadransów, zmuszeni najczęściej poprzestawać na szklance herbaty, bo nic innego nie mają. Biedna panna Kazia zmizerniała nawet trochę, chociaż utrzymuje, że ją podróż taka bawi i że tylko o dziadka niespokojna, aby się nie zaziębił. Jak ona go kocha; niepodobna większą kogoś otaczać troskliwością. On też w niej widzi, jedyny skarb swego życia. Pokazując mi na piersiach

wstążeczkę orderu *virtuti militari*, powiedział, że ona i Kazia, to wszystko co miał najdroższego, a przeżył niemało staruszek, gdyż liczy sobie lat ośmdziesiąt.

Niezmiernie sympatyczna postać starego napoleonisty. Postawa żołnierska, głowa do góry, wąs zawieszony a biały jak śnieg; ramiona podniesione — pierś wysoka, marsowa mina, a wejście łagodne, jak dziecka, zpod nasępionych gęstych brwi.

Instynktownie, może odgadując wrażenie, jakie wywiera, staruszek polubił mnie widocznie i zaszczyca swem zaufaniem.

Zwyczajem swego wieku, rozgadał się dużo o zaletach wnuczki, jak gdybym był jego dawnym, starym znajomym. Dowiedziałem się rozmaitych szczegółów dotyczących się panny Kazi, wiem kiedy się budzi, jak krótko się ubiera, jak krząta się około gospodarstwa, jakie ma upodobania, gusta, kaprysy, a jakie przytem złote serce i mądrą główkę.

Dziewczę płonęło się znowu, jak kwiatek polnego maku, prosiła dziadka, aby jej nie przechwalał, groziła nawet z nieporównanym wdziękiem, że się może zepsuć — nie miało to żadnego skutku. Wnuczka jest widocznie ulubionym przed-

miotem rozmowy staruszka, od którego nie łatwo go odeciągnąć.

Na tych rozmowach, w tak miłym towarzystwie czas mi spływa niezmiernie przyjemnie, ale zato ilekroć wspomnę, jak daleko jeszcze do Żuliniec, zaczynam się trwożyć naprawdę.

Na dobitkę dowiedziałem się, że od najbliższej stacyi nie można się dostać inaczej, jak najętą chłopską furmanką, bo poczty niema. Coraz to lepiej! Takim sposobem Bóg wie, kiedy się dostanę do miejsca. Zdaje mi się, że jakiś fatalizm zawisł nad tą moją podróżą. Czemuż nie wyjechałem wcześniej i dałem się wyprowadzić w pole jakimś figlarnemu losowi.

Ha! dziej się wola Boża! przecież jutro muszę być w Żulińcach — *coute que coute*.

17 Stycznia, godzina 9-ta zrana.

Nie o wiele dalej posunęliśmy się przez noc i byłbym w rozpacz, gdyby nie pocziwy, zacy pan Rotmistrz. Dowiedziawszy się, że potrzebuję jechać do Żuliniec, pierwszy mi zaproponował, abym wysiadł z niemi razem na jednej z bliższych stacyj, a on mi da koni i lekkie sanki, któremi się szybko dostanę do miejsca. — Na wszelki wypadek, aby uspokoić moje narzeczoną

i jej matkę, telegrafowałem do najbliższego miasteczka, dając im znać, że zawieja śnieżna przyjazd mój opóźniła. Powinni być zdaje się wyrozumiałymi, do czasu, aż im osobiście się wytłumaczę.

W samej rzeczy nie wiem, czy może kto być odpowiedzialnym za rezultat walki z żywiołami. Nigdy dotąd nie miałem wyobrażenia o czemś podobnem.

Pociąg przechodzi literalnie pomiędzy dwiema olbrzymimi ścianami śniegu — robią one przypomnienie cyklopich głazów. — Mówiono mi, że blisko pięciuset robotników rozkopuje przed nami drogę — pomimo to, w wielu miejscach musimy stać całemi godzinami. — Puszczono raz na próbę lokomotywę, by się przekonać czy swoim pędem i siłą natarcia nie przebiję drogi. Widziałem na własne oczy, jak się zaryła w mur śniegowy i ruszyć nie mogła z miejsca, chociaż koła się kręciły i para kłębami buchała z komina.

Mróz szalony, panna Kazia tuli się biedaczka w swoje futerko, aż mi jej żal serdecznie. Podzielałam w zupełności niepokoję kochanego Rotmistrza o jej zdrowie.

Ten sam mróz robi prawie niemożliwem dalsze notowanie wrażeń, do czego raz zrobiony począ-

tek, ustawicznie mnie zachęca i poniekąd zobowiązuje. Niema rady, muszę to sobie zostawić na później.

24 Stycznia.

Tydzień upłynął od ostatniego mego dzieńnika.

Czas tak krótki, w stosunku, już nie koniecznie do wieczności, ale choćby tylko do życia ludzkiego — a ileż zmian i niespodziewanych kolei przejść można w ciągu jednego tygodnia.

Naprawdę — gdybym czuł w sobie żylkę autorską, stworzyłbym powieść z dziejów tego czasu. Bądźcobądź, zbyt on wiele zaważył na szali mego życia, aby nie zasługiwał na szczegółowy opis w moim pamiętniku. Zostanie to dla mnie pamiątką na zawsze, tak, jak wspomnienie tego tygodnia nigdy się chyba w mej pamięci nie zatrze.

Dzień 17-go Stycznia, w którymto miałem nadzieję dostać się wreszcie do Iwanowic, gdzie mieszka Rotmistrz, a ztamtąd jego końmi lecieć na gwałt, gdzie mnie czekało grono weselne, moja narzeczona i ksiądz ze stulą, zakończył się w szczególniejszy sposób — staliśmy bowiem przez cały ten dzień i noc następną zawiani literalnie śniegiem, na małej stacyi.

Nie potrafię teraz opisać co się we mnie działo. Jeżeli już nie miłość i tęsknota, to poczucie obowiązku, poczucie godności własnej, kazało mi pędzić do Żuliniec.

Tymczasem widziałem, że nie było żadnego sposobu.

Puszczając się kołmi (gdybym nawet takowe mógł znaleźć) byłoby szaleństwem. Zewsząd dochodziły nas wieści o niesłychanych po drodze zawiejach, o zamarzniętych w polu podróżnych i zasypanych wsiach, w których ludzie ginęli z głodu i mrozu.

Trzeba się było obawiać, aby nas to samo nie spotkało na stacyi kolei żelaznej, a cóż dopiero na otwartem polu.

Kilkudziesięciu pasażerów, do których liczby i myśmy należeli, musiało się żywić przez całą dobę samą herbatą. Dyrektor stacyi nie był oczywiście przygotowanym do przyjęcia gości, wszelki zaś dowóz prowizyi z najbliższej wioski ustał kompletnie. Opijaliśmy się więc gorącą lurą bez cukru (bo i tego zabrakło), czekając nadaremnie kiedy otrzymamy wiadomość, że można już ruszyć dalej.

Szczerściem — oprócz herbaty była i wódka, a nawet parę butelek spirytusu — ten mi się przydał bardzo. Chcąc w jakikolwiek sposób

uprzyjemnić towarzyszom podróży mojej pobyt na stacyi, tak jak oni mi uprzyjemniali samą podróż — wydobyłem z moich tłómków dwie butelki wina czerwonego i zaprosiłem pannę Kazię, aby nam na spirytusie zrobiła winną polewkę. Projekt ten bardzo się jej i rotmistrzowi podobał.

Dziewczę uradowane prawie z mego pomysłu zabrało się do roboty, która była choć małym rozłargnieniem w nieustannych nudach oczekiwania; staruszek zaś cieszył się, że będziemy mieli antydotum przeciwko zaziębieniu, jakie nam wszystkim zdawało się grozić, w małym a zimnym gościnnym pokoiku. Co do mnie, patrząc na różową z chłodu twarzyczkę, rozpromienioną wesołym uśmiechem, widząc jej kształtną główkę schylającą się nad bladym płomieniem spirytusu, przypomniałem sobie moje studenckie czasy i te wieczorki ponczowe, pełne wesela i fantazyi i wszystkie złudzenia rozkołysanej wyobraźni, która w każdej świeżej twarzyczce kazała widzieć boginię piękności, a w każdym uśmiechu różowych ust — nieba Mahometa.

I żał mi było tych marzeń, tej gorączki i tych nawet niedorzeczności, jakich się bez liku popełniało, a które przecież miały w sobie urok właściwy, a niczem niezastąpiony.

Żal mi było, że przeminęły te wszystkie motyle wrażenia i przejęła mnie dreszczem trwogi pamięć o surowej i poważnej pannie Eleonorze, czekającej u stóp ołtarza, z przysięgą wiecznej wierności na ustach...

Bądźcobądź — cokolwiekby się dało powiedzieć w moralnym guście o ujemnych stronach *tego piwa co szumi*, o szkodliwych wpływach i niebezpieczeństwach takiego uniesienia, bądźcobądź, niepodobna nie przyznać, że ma ono swój urok i swoje dodatnie strony.

Ta lekkomyślna swoboda z jaką się szafuje za młodu siłami i życiem, nieoglądając się na jutro, naganne pragnienie nowych wrażeń — to wszystko, jest lekkomyślnem, nagannem i gorszącem, ale czyż nie piękniejszym od szlafrokowego konserwatyzmu, od arcy lękliwego oglądania się na jutro, w każdym czasie i w każdym miejscu.

Bez wątpienia, mrówka zajęta nieustannie swoją pracą, jest osobą godną szacunku, pajak wyrabiający swe misterne siatki zasługuje na najwyższe uznanie — ba! choćby na medal którejkolwiek wystawy; ale czy obok tych poważnych i przyzwoitych istot, nie zasługuje na współczucie ćma co leci do świecy i śmierć w niej nie raz znajduje, lub motyl, którego życie chwilą — ale ta chwila pełna upojen rozkoszy.

Patrząc tedy na piękną pannę Kazię, przyrządzającą nam winną polewkę, przypomniałem sobie to moje życie motyle, które raz przeminawszy, nigdy nie powraca i — przyszła mi szczególna myśl do głowy, zrobić sobie imitacją tych ponczowych wieczorków, które stanowiły najbardziej charakterystyczną stronę studenckiego życia.

Licząc na pana Rotmistrza, że jako dobrze oswojony zamłodu z takimi wybrykami młodości, nie weźmie mi za złe mego pomysłu, przyniosłem jeszcze z tłómków butelkę rumu, kilka pomarańcz i pudełko różanych karmelków, które najdoskonalej mogły na ten raz zastąpić nam brak cukru. Kiedy już wszystko było na stole, przysiadłem się do panny Kazi i zacząłem jej mówić w jaki sposób poncz się przyrządza. Obietnica pięknego widoku, jaki przedstawia płonący napój, zachęcił ją bardzo do usłuchania moich lekcji, a że się znalazła w bufecie waza służąca zazwyczaj do składania w niej gorących kiełbasek, przeszło do niej wino ogrzewane na spirytusie, wślad za niem rum, karmelki i pomarańcze i po odpowiednem wymieszaniu tego wszystkiego — cała waza stanęła w płomieniach.

Rotmistrz śmiał się z moich pomysłów. Kazia była zachwyconą, a ja (zgasiwszy poprzednio

świecę) patrzyłem z zachwytem na śliczne dziewczę, które zaprawdę wyglądało piękniej w tem blado błękitnem świetle, niż wszystkie najpiękniejsze jakie widziałem baletniczki pozujące na scenie w blaskach bengalskiego ognia.

Chcąc jak najwięcej przedłużyć radość naszej gosposi i stan zachwytu, w jakim sam zostawałem, nie ruszałem się z miejsca tak długo, aż płomienie spirytusu zagasły. W chwili, gdy to nastąpiło, uderzona nagłą ciemnością panna Kazi z nieudanym przestrachem, porwała moje rękę, jak małe dzieci chwytają się starszych, gdy je co przerazi.

Rączka była mała, miękka... ciepła... zlekka wilgotna, czułem to — chociaż jej dotknięcie chwilę tylko trwało.

Natychmiast bowiem cofnęła ją ona z pośpiechem, a gdy zapaliłem świecę — twarzyczka panny Kazi była zapłoniona, jak przy owem spotkaniu naszym na ulicy, a oczęta, przez bardzo lekką jakby łez zasłonkę, iskrzyły się, jak dwa rozżarzone węgielki.

Prześliczna była! czułem, że mi do serca płynęło coś, jakby rozpalona lawa wulkanu; czułem, że, jak niegdyś na wejście pani profesowej, dreszcz mi przebiegł po nerwach i — nie wiem co bym uczuł jeszcze, gdyby w tej chwili

przed okiem mego ducha nie stanęła poważna postać panny Eleonory...

Memento mori! powiedziałem sobie w myśli, a uczucia moje musiały mieć wiele pokrewieństwa z wrażeniami skazanych na śmierć, w wigilią egzekucyi.

Przebacz mi, panno Eleonoro! — człowiek jestem, jakkolwiek twoim mam być mężem.

Postąpiłem jednak z sobą samym, nieludzko.

Gdyby skazanemu na śmierć, otworzył ktoś więzienne okienko i pokazał mu wszystkie rozkosze tej ziemi, którą ma na zawsze pożegnać, czyliby to nie było znęcaniem się nad nim, nieludzkim rozraniem niezabliźnionych ran?

Coś podobnego stało się ze mną.

Wrażenia, jakich tego wieczoru doznałem, wywołanie z grobu przeszłości, która nie należała już do mnie — wszystko to dało powód do męczącej burzy, jaka w piersi mojej zawrzała.

Uczułem cały ciężar dobrowolnie wkładanych na siebie kajdan obowiązku, uczułem, że nierozważnie dałem się uwikłać w kolizyą bez wyjścia, a cała wartość straconej swobody stanęła przede mną w niesłychanie powabnych barwach.

Z drugiej strony pojmowałem, że niepodobna już naprawić błędu; mówiło mi moje sumienie, że nie tylko ożenić się z panną Eleonorą, ale

i dobrym dla niej powinienem zostać mężem. Bo i cóż ona temu winna, że moje uczucie dla niej było jakąś chimera, niemogącą zaspokoić serca? cóż ona winna, że powierzyła swój honor i przyszłość swoją człowiekowi, który zbyt prędko ochłonawszy z pierwszego wrażenia, lekceważył sobie jedno i drugie?

Te wszystkie myśli i niepokoje wywołało przyrządzenie ponczu i zmartwychwstanie wspomnień, niezachęcających bynajmniej do małżeństwa. Trapiły mnie one przez całą noc, aż do godziny szóstej zrana, o której ruszyliśmy w dalszą podróż.

Światło dzienne i mróz przejmujący aż do kości, orzeźwiły mnie i przywróciły, do pewnego stopnia, naruszoną równowagę moralną.

— Inaczej być nie może — powiedziałem sobie stanowczo — sam wiek mój zobowiązuje do tego, aby wytrwać w raz powziętem postanowieniu, nie wahać się jak dzieciak po zapadłej decyzji i umieć nagiąć chwilowe kaprysy, do posłuszeństwa dla głosu obowiązku.

Zresztą usłużna wyobraźnia, postawiła mi przed oczyma postać panny Eleonory — tęskniącej za mną, kochającej całą siłą pierwszej miłości...

Czy tak było wistocie? — Czy narzeczona moja kochała mnie rzeczywiście, czy też uczucia

jej miały ten nieokreślony charakter, jaki przybrała z czasem i moja miłość, zrazu nierównie gorętsza.

Czy ona mnie kocha?

Ba! — niejeden narzeczony robił sobie to samo pytanie, a jednak nie otrzymał odpowiedzi.

Dlaczego?

Niech na to odpowiedzą nasze towarzyskie stosunki. — Skoro się widzi pannę tylko w salonie, na balu, kiedy się ją widzi zawsze w nieuniknionem towarzystwie mamy, lub piętnastu ciotek — skoro niema podobieństwa poznać jej inaczej, jak tylko — o ile te warunki otoczenia pozwalają, — czy podobna ją poznać, czy podobna być pewnym jej uczucia i usposobienia?

Dopiero po ślubie otwierają się mężowi oczy, i cóż dziwnego, że nieraz radby je znowu zamknąć!

Bądźcobądź, czy jestem kochany czy nie — rzecz się stała i chodzi teraz tylko o to, by o ile możliwości stanać wcześniej w Żulińcach, nie narażając panny Eleonory i jej matki na przykrą niepewność i oczekiwanie, a siebie na niepochlebną opinią człowieka lekceważącego sobie własne słowo i honor cudzy.

Tak myślałem, kiedyśmy się zbliżali do Iwanowic.

Wszystko na świecie ma swój koniec — skończyła się wreszcie i podróż nasza. Stanęliśmy w Iwanowicach o godzinie piątej po południu, w Piątek. Było to dość późno, zważywszy, że nazajutrz, w Sobotę wieczorem, miał się odbyć nasz ślub w Żulińcach; było zaś dość wcześnie, ze względu na przestrzeń pięciomilową, dzielącą Iwanowice od Żuliniec, przestrzeń, którą w ciągu pięciu, sześciu godzin, możnaby przebyć z łatwością.

Była tym sposobem perspektywa, że nazajutrz, to jest w sam dzień mego ślubu, będę mógł oddać dzień dobry mojej narzeczonej i usprawiedliwić się ze zwłoki w przybyciu.

Nie byłoby to jeszcze niczem tak bardzo złem. Iwanowice, wioseczka, którą rotmistrz trzymał w dzierżawie, leżała tuż przy kolei, a że na stacyi czekały konie, dostaliśmy się w pół godziny do dworu.

Wiedząc, że niema czasu do stracenia, prosiłem gospodarza, aby, jeżeli chce dotrzymać łaskawie mi danej obietnicy, kazał natychmiast zaprzęgać dla mnie konie.

Pocziwy Rotmistrz zatrzymywał mnie wszystkimi siłami, perswadował, że to jest poprostu narażaniem życia wyjeżdżać przed nocą, w czasie zasp i zamieci śniegowych — panna Kazia mil-

czącem, ale wymownem spojrzeniem dodawała wagi radom staruszka, a w dodatku — po tak przedłużonej i męczącej podróży, myśl o ciepłym łóżku i śnie spokojnym, była niemałą pokusą.

Widząc, że nie można inaczej — opowiedziałem pocziwemu Rotmistrzowi dlaczego się śpieszę i co mnie w Żulińcach czeka. Staruszek zwyciężony tym argumentem, ustąpił, a panna Kazia westchnęła, spojrzała na mnie i wyszła. Spostrzegłem to i było mi przykro, chociaż postanowiłem opierać się stanowczo wszelkiej słabości serca, a mieć jedynie na celu — obowiązek.

Po gorącej tedy wieczery, od której nie mogłem się wymówić, konie przeznaczone dla mnie stanęły przed gankiem; zacząłem żegnać gospodarza, który raz jeszcze próbował wstrzymać mnie od wyjazdu w nocy. Wyszła i panna Kazia — dostrzegłem, że miała czerwone powieki, pozwoliłem sobie, na pożegnanie, pocałować jej drobną rączkę, która w dłoni mojej nieznacznie zadrżała — siadłem na sanki, mając w nogach moje tłómoki, a przed sobą na koźle furmana, tęgiego chłopaka, który mi się odrazu podobał.

Kiedyśmy ruszyli — i śnieg zaskrzypiał przeźrażliwie pod żelazami sanek, pocziwy Rotmistrz stał w ganku, widocznie smutny i markotny, a panna Kazia patrzyła przez zamrozoną

szybę. Zdało mi się, że widziałem, jak robiła za nami krzyżyk, a wyobraźnia pokazała mi łezki błyszczące w jej oczach. Dobrze, pocziwe dziecko!

Puściliśmy się tedy w drogę. Noc już była, wiatr powiewał z północy mroźny, suchy i niósł śnieżną kurzawę z jednego miejsca na drugie.

Zacząłem rozmowę z moim towarzyszem, chcąc go sobie zjednać i niejako przebłagać za to, że stałem się przyczyną podróży, do której oczywiście nie mógł on mieć wielkiej ochoty. Zresztą, gdzie natura przytłacza nas swoim ogromem i potęgą, a ludzie zmuszeni są łączyć się społem dla stawienia jej silniejszego oporu, — tam niezmiernie łatwo znikają różnice społeczne pomiędzy sprzymierzonymi — równość staje się faktem.

Co do mnie, nie obeznany zupełnie z miejscowością przez którą przejeżdżaliśmy, nie umiając oryentować się w ciemności, niewprawny nawet do kierowania końmi wśród takiej zamieci i ciągle znikających śladów drogi, widziałem w moim Michałku jedyne go wybawcę, kierownika i opiekuna. Byłem najzupełniej na jego łasce — i podobnie jak Dante czekał skinienia Wiergiliusza w piekle, tak ja czułem się poddanym Michałka. Naturalnie, chodziło mi o dobrą z nim komitwę, zdawało się, że od niej wiele zależeć

może, że jak on szczerze tego zapragnie, prędko staniemy na miejscu i unikniemy strasznego dla mnie zbłąkania się w stepie. — Ale przemysłiwając nad jakimś przedmiotem rozmowy, która mogła nas do siebie zbliżyć, uczułem się prawie bezbronnym w tym względzie. Naprawdę, wstyd mi było mojego wykształcenia, mojego obycia się ze światem, nie mogących mi dać obecnie żadnej gwarancyi przypodobania się prostemu woźnicy, który o tem wszystkiem nie miał najmniejszego wyobrażenia, ale, jako dziecko natury, znał swoją matkę i nie lękał się jej wcale, gdy ja — drżałem przed jej surowem obliczem, jak przybłęda, niemający prawa do łaski.

Przypominałem sobie natenczas, że w szkołach był ze mnie zapalony miłośnik nauk przyrodniczych, co mi zjednywało wielkie uznanie profesorów, pochwały na popisach publicznych i tak dalej. Miałem siebie natenczas za mędrca, teraz uznawałem siebie w duszy za głupca...

Czyż nie jest wierutnem głupstwem, badać naturę w książce, a nie znać jej w rzeczywistości? analizować jej zjawiska w pokoju — a truchleć wobec nich, spotkawszy się oko w oko? Czyż nie jest śmiesznem, chełpić się w salonie potęgą człowieka, która niby zdołała ujarzmić

naturę — a znalazłszy się wobec najzwyczajniejszej zamieci, nie umieć sobie dać rady i ginąć jak mucha, co się miała za słońca?

Spytałem sam siebie: kto jest większym przyrodnikiem, czy ten kto zna naturę tak, jak się zna matkę, rodzinę, dom własny — czy ten co ją analizuje jak trupa na stole anatomicznym?

Pierwszy lepszy chłopak ze wsi wymieni na zawołanie nazwę każdej rośliny, każdego ptaka lub owadu, nazwie co prawda poswojemu, ale będzie znał także praktyczny użytek trawy każdej, barwę kwiatu każdego, głos każdego ptaka. Uczony przyrodnik z przeładowaną łacińskimi nazwy głową, nieraz staje z otwartymi ustami przed żywym kwiatem rosnącym na polu, bo go widział tylko w zielniku, a był tam spłowiały i nadgryziony przez myszy.

Naprawdę, wartoby nad tem pomyśleć wobec rozszerzającej się dziś epidemii przyrodoznawstwa. Dziś panny nawet zaniedbują ortografią dla morfologii roślin i fizjologii zmysłów — niechże przynajmniej, pisząc niegramatycznie, znają tę naturę, którą tak ukochały, bo inaczej, niezdolny ów tetryk — zdrowy rozsądek zaśmieje się z ich nauki i powie...

Ale odbiegłem od rzeczy.

Zacząłem tedy rozmowę z Michałkiem.

— A jak to daleko do Żuliniec?

— Będzie mil z pięć, dobrych.

— A cóż to znaczy dobrych mil?

Michałek spojrzał na mnie.

— No, to znaczy, że będzie małych ze siedem.

Wolałem się nie pytać. Te dobre mile strwożyły mnie naprawdę.

— A dobrze widzisz drogę?

— Ta jeszcze widać.

— Jakto jeszcze?

— Ano, bo zamieć ciągle większa... zamiata nam ślady.

Przyznam się, że ja od początku nie widziałem żadnych.

— Widzi pan? — odezwał się Michałek, pokazując mi coś biczem na śniegu, przyczem słyszałem, że klął siarczyście.

— A co tam?

— Zając przebiegł nam drogę.

— A zkadże wiesz, że zając?

Michałek się zaśmiał.

— Ano przecie widzę. To ślad zająca.

— A gdyby lisa albo wilka, tobyś poznał także?

— Czemu nie? toż każdy inne zostawia ślady.

Daremnie się wysilałem, by cokolwiek na śniegu zobaczyć. Białło było dokoła i tylko białło.

Wdodatku księżyc nie świecił. Potrzeba mieć kocie oczy, aby coś widzieć w takiej ciemności. A miałem przedtem pretensją do wzroku ostrowidza.

Dałem za wygraną i otuliwszy się w futro starannie, patrzyłem przed siebie, myśląc że gdyby mnie samego zostawiono w tej chwili, zginąłbym niechybnie.

— Oho! wilki niedaleko — odezwał się Michałek.

Zimno mi się zrobiło.

— Zkądże wiesz o tem?

— Jak nie wiedzieć? konie czują.

Wzruszyłem ramionami. Mnie konie nigdy jeszcze nie nie powiedziały.

— A ot... nie słyszy pan?

— Czego?

— Wilk wyje. — Tu Michałek uderzył parę razy batogiem po koniach i przemówił do nich w sposób ośmielający.

Wyteżyłem słuch... rzeczywiście gdzieś daleko słyhać było coś naksztadt niewyraźnego jęku. Przyznam się, że nie zwróciłbym na to uwagi.

— Słyszysz pan?

— A słyszę — odrzekłem, chociaż było to z mojej strony do pewnego stopnia błagą...

— To wilczyca.

Ośłupiałem.

— Po czemże to poznałeś?

— A po głosie. Bo to, proszę pana, inaczej wyje wilk kiedy głodny, inaczej wilczyca kiedy wabi, a jeszcze inaczej wilki kiedy się razem zbiorą.

— Spotkałeś kiedy wilka? — zapytał Michałka, chcąc przeciągnąć rozmowę.

— Nietylko spotkałem, alem się z nim mowował.

Byłem zachwycony bliskiem sąsiedztwem człowieka, który z wilkami chodził w zapasy.

— A jakże to było?

— A to, proszę pana, pan rotmistrz darował mi cielaka, to znaczy dla mego synka, bo go trzymał do chrztu. Toż jednej nocy, słyszę niedaleko chaty coś, jakby wilk zawył. Biorę w rękę kij i wychodzę, a ciemno było jak teraz. Patrząc... aż tu zpoza płotu świeci coś, jakby węgiel żarzący. Ja za płot i nie wiele myśląc, kropię kijem wilka... on zawył, i na mnie, i chwycił mnie za nogę. Ja mu w łeb kijem raz i drugi, on znowu na mnie, ja znowu... i położył się niebawem na ziemi. Tylko noga mnie bolała z pół roku, tak mnie bestya zębami się uczepiła.

Myśliwstwo wogóle, a polowanie na wilki

w szczególności, musiały być uprzywilejowaniem przedmiotami rozmowy Michałka; nasłuchiwałem się też najrozmaitszych w tym względzie szczegółów.

W ciągu tej gawędy, minęło już parę godzin od naszego wyjazdu, a nie spotkaliśmy na drodze nic, co by mogło być wskazówką, żeśmy nie zblądzili. Widząc wzrastający mój niepokój, Michałek się odezwał:

— Niech się pan nie boi... ot, już nie widać jak będzie karczma; jesteśmy na dobrej drodze.

— Po czemże można to poznać, kiedy nie nie widać?

— A też bodiaki! — odrzekł, pokazując mi występujące zpod śniegu tu i owdzie kółeczka łożdgi. — Co prawda, potrzeba było wiedzieć o ich istnieniu, aby dojrzeć cokolwiek pod nawalą śniegu.

Jednakże Michałek się nie pomylił. W samej rzeczy, niezadługo zjawiła się przed nami karczma. W jednym z jej zasypanych śniegiem małych okienek, widać było światło.

Wysiadłem na chwilę, kazałem Michałkowi dać wódki, a sam spojrzałem na zegarek. Dochodziła północ, jechaliśmy zatem trzy godziny a ujechaliśmy tylko piętnaście wiorst. Nie pocie-

szyło to mnie wcale, choć widziałem, że inaczej być nie może. Konie były spocone ogromnie — najlepszy dowód, że robiły co mogły. Niewielka to w każdym razie była dla mnie pociecha, zacząłem przypuszczać, że nie będę bardzo rannym gościem w Żulińcach.

Odpocząwszy trochę, a raczej ogrzawszy się w szynkowej izbie, ruszyliśmy dalej.

— Jeżeli tu nie zblądzimy, to będzie dobrze — przemówił Michałek.

— Czemu?

— Bo tu taka przeklęta droga; dyabeł wodzi manowcami. W dodatku i zając przed nami przebiegł... niedobrze!

Nic już nie mówiłem, chociaż zwątpienie Michałka złą dla mnie było wróżbą.

W samej rzeczy, zawierucha wzmagala się co chwila. Wiatr rozrzucał koniom grzywy, nam dał w oczy, miecąc śniegiem, co bynajmniej nie ułatwiało zadania. Konie, kiedyniekiedy stawały, nie mogąc wybrnąć.

— Ha! dziej się wola Boża — powiedziałem sobie, pewny, że moja uwaga i czuwanie na nic się nie zdadzą. Okryłem się lepiej futrem, siedłem sobie wygodniej i anim się spostrzegł jak sen lekki, niezmiernie rozmarzający, skleił mi powieki. Śniła mi się panna Eleonora, a obok

niej panna Kazia, zdawało mi się, że płynę po jakimś bezbrzeżnym oceanie, że ciemno było dokoła, tylko oczy panny Kazi świeciły mi jak przewodnie gwiazdy, a od strony panny Eleonory błyskał szereg świec płonących na ołtarzu i słychać było poważny dźwięk organów... Potem, nagle organy stały się orkiestrą, kościół — salą balową i ja tańczyłem walca z panną Kazią, unosząc ją jak dziecko w powietrzu. Nagle... usuwa się pod nami posadzka... chyliny się na bok... padamy...

Sen pierzchnął... zbudził mnie ból w nodze. Ujrzałem się na śniegu, sanie były wywrócone, Michałek tylko co powstał i klnąc głośno, zaczął pracować nad ich podźwignięciem.

— A co to? — krzyknąłem przestraszonym głosem.

— To nic, panie, wywróciliśmy. Dyabeł zaprowadził na jakiś jarek, którego tu nigdy nie było... dyabła sprawa.

Sanie były ciężkie, zaledwieśmy wspólnymi siłami postawili je jak trzeba, co wszakże zajęło małą godzinę. Kulejąc, umieściłem się podawnemu, ból w nodze mocno mi dolegał i dałem sobie uroczyste słowo, że już raz będąc mężem panny Eleonory, nigdy więcej nie puszczę się w drogę w czasie nocnych zimowych zawiei.

Na dobitkę tego wszystkiego, Michałek mi oświadczył, żeśmy zblądzieli. Tego tylko brakowało do kompletu wszystkich przyjemności, którymi los mnie widocznie chciał ostatecznie zgłębić.

Cóż mi jednak pozostawało do zrobienia? Zrezygnowany na wszystko, zagłębiłem się w moje futro i zacząłem rozmyślać nad możliwymi następstwami mojej Odyssei. Jedno mnie tylko stanowczo pocieszało, to ten telegram, który wyprawiłem z drogi, a który już zapewne oddany, dostał się do Żuliniec, z zawiadomieniem o przyczynach mego opóźnienia. Błogosławiłem chwilę, w której mi myśl ta przysłała do głowy i cieszyłem się jak uczeń z dobrze przygotowanej lekcji, kiedy go nauczyciel właśnie o nią zapyta.

Z tem wszystkim, noc ta trwała do nieskończoności. Zacząłem przypuszczać, że wskutek jakiejś nieprzewidzianej przez astronomów przyczyny, słońce zagasło lub nie miało wcale zamiaru pokazać nam swego oblicza. Gotów byłem przysiąc, żeśmy już ze dwadzieścia godzin jechali, a nie spotkaliśmy na drodze nic, tylko ciągle tę samą nieskończoną jakąś otchłań śniegu, jakieś białe morze będące zawsze do wypicia, choćbyśmy z niego pili przez wieczność całą.

Nareszcie, kiedy się po dłuższej drzemce ocknałem, wydało mi się, że ta otchłań stała

się jaśniejszą. Otoczyło nas półświatło, jakie wschód zimowego słońca po zamglonej przestrzeni roztacza, które o tyle jest już oznaką dnia, że budzi ludzi do pracy; a o tyle jeszcze nocą, że się w pokoju nie można obyć bez świecy. Ale jakież było moje zdziwienie i przerażenie zarazem, kiedy spojrzawszy na zegarek, przekonałem się, że była już godzina dziesiąta. Przepadła więc nadzieja wczesnego przyjazdu do Żuliniec i oddania „dzień dobry“ pannie Eleonorze. Ale jak jeszcze daleko ztamtąd jesteśmy? na jakiej drodze? kiedy się ostatecznie dostaniemy do celu i czy się dostaniemy? Oto były pytania, na które nie miałem odpowiedzi.

Naprawdę, trudno może o przykrzejsze wrażenia od tych, przez które przechodzić musiałem wśród zamieci.

— Konia! królestwo za konia! — woła u Szekspira król Ryszard III.

Podobnie ja gotów już byłem wołać:

— Wszystko co mam przy sobie, za człowieka! za człowieka, któryby nas objaśnił, gdzie jesteśmy i jak daleko od Żuliniec.

Niestety! nie spotykaliśmy nikogo po drodze, konie, ostatecznie zmęczone całonocną jazdą, potrzebowały wypoczynku i paszy. Michałek miał

owies i siano; stanęliśmy na dwugodzinny popas w stepie.

Czem był ten popas dla mnie, gdy każda chwila była drogą... i nie miałem ani jednej do stracenia.

Udało mi się uprosić Michałka, że choć pół godziny ustąpił mi z tego dwugodzinnego popasu, jakkolwiek tłumaczył się, że za zdrowie koni nie ręczy.

Około południa ruszyliśmy dalej. Michałek puścił lejce w nadziei, że nasze rumaki same sobie znajdą drogę. Nie powiem, żeby to bardzo przemówiło do mego przekonania, ale nie miałem nic lepszego do wyboru. Czułem więc tylko, że los mój zmienił opiekuna, zpod opieki bowiem Michałka przeszedł pod opiekę koni; jak na tem miałem wyjść – było dla mnie tajemnicą.

Jechaliśmy więc, a raczej brnęliśmy przez zasy śniegowe, zmieniając często kierunek, stosownie do kaprysu moich opiekunów. Daremnie chciałem się dopatrzeć jakiegokolwiek śladu drogi; daremnie błądząc wzrokiem po widnokręgu, szukałem jakiego lasu, czy karczmy, czy czegokolwiek, coby mogło zorientować Michałka. Nie widziałem nic: byliśmy jak gdyby zamknięci w wielkiej szklanej kuli, bez początku i końca. Niebo i ziemia jednakowo białe, zlewały się z sobą tak

ściśle, że niepodobieństwem było znaleźć ich granicę.

Łzy biegły do oczu od promieni niewidzialnego słońca, błędzących po białej powierzchni stepu. Zimno dawało się nam czuć coraz więcej i głód zwolna dolegał.

W ten sposób przemęczyliśmy się dzień cały. Nadeszła godzina, o której w Żulińcach miał się ślub mój odbyć. Wyobrażałem sobie, jaki niepokój musi tam panować, jak całe towarzystwo weselne skwaszone i zadziwione, rzuca na mnie prawdopodobnie kamienie swego oburzenia.

Jest to wszakże psychologicznym pewnikiem, że skoro jakieś jedno uczucie, choćby jak najbardziej niemiłe czy bolesne, zbyt długo trwa i udręcza — w końcu stajemy się znieczulonymi i w ślad za cierpieniem, smutkiem, czy rozpaczą — idzie apatya.

To samo stało się i ze mną. Poddąłem się konieczności, bom widział, że nie mam sposobu ani siły do zwalczenia jej, że wszelkie miotanie się będzie nadaremne i bezskuteczne. Zresztą, głód i chłód, dotykając mnie coraz boleśniej, przytłumiały siłę wrażeń moralnych, co także jest zjawiskiem naturalnem i wytłómaczonem. Jednem słowem, wpadłem w stan apatii i patrzyłem spokojnie w bezgraniczne śniegowe otchłanie, pyta-

jąc siebie w duchu: — jak się to skończy? kiedy my z tego wybrniemy? I przychodziła mi znowu chęć ujrzenia w mojej pozycji jakiego lorda, któremu się zdaje że może wszystko co chce.

Zaczęło się powoli ściemniać... mróz był coraz większy, a wiatr coraz lepiej zamiatał śniegiem przestrzenie i dmuchał nam w oczy, jak ulicznik ciskający piaskiem. Michałek narzekał, że konie poginą, rozcierał sobie śniegiem nos i uszy a kłął bez ustanku figle dyabelskie, których mieliśmy być ofiarą.

Byłbym zdolnym żartować sobie z niego, gdyby mi było choć trochę ciepłej.

Nareszcie zrobiło się zupełnie ciemno. Zacząłem przechodzić w stadyum zwątpienia, nawet o życiu własnem. Zdawało mi się, że już nigdy nie zobaczę ludzi ani świata i zginę zasypany śniegiem bez żadnej wieści.

Przypuszczenie to było bardzo podobnem do prawdy, ale wcale nie rozkosznem. Żał mi było życia, żał ludzi, z którymi żyłem, a którzy nawet nie będą wiedzieli, gdzie się zapodział. Niewieleby mi wprowadzie przyszło z ich wiadomości, ale nie rozumowałem w tej chwili; gotów byłem płakać jak dziecko, że taką śmierć przeznaczyły mi losy...

Konie wlokły się coraz powolniej... przed nami nie było nic widać... dokoła wszędzie jednakowy mrok i cisza.

Naraz... uczuliśmy jakieś silniejsze wstrząśnienie, jak gdyby sanie zaczepiły o coś twardego. Nie było jeszcze czasu zdać sobie sprawy z tego wstrząśnienia, kiedy dał się słyszeć brzęk stłóconego szkła, konie stanęły jak wryte, a światło jakieś niespodziewane uderzyło nam w oczy.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — ozwał się czyjś znajomy mi głos tuż obok. Spojrzałem... nie mogłem oczom wierzyć. Był to pocziwy rotmistrz z miną przerażoną i kijem w dłoni.

— Gdzie jedziesz, hultaju? a okno, okno, nieponiu! — wołał staruszek, stukając kijem o ziemię.

— Pan nasz! — krzyknął zdziwiony chłopak.

— A to co?

— To my, proszę pana.

Teraz dopiero rozpatrzyłem się dokoła i zrozumiałem o co chodzi. Wjechaliśmy na dziedziniec dworu iwanowieckiego i uderzyliśmy dyszlem w okno pokoju.

— W imię Ojca i Syna... a toż pan, panie Adolfie, z powrotem?

— Niestety! z niespodziewanym powrotem... Bogu dzięki, że przy życiu.

— Bogu dzięki: — powtórzył staruszek — nie zawsze tak się kończy podróż w zamieci śniegowej.

Wszedłszy do ciepłego pokoju, myślałem, że mi z grobu wrócono do życia. Panna Kazia, która wybiegła mnie witać, wydała się jakąś nadziemską istotą. Całowałem po kilka razy drobne jej rączki, ścisnąłem pocziwego rotmistrza, nie mogąc się dosyć nacieszyć ciepłem, światłem i życiem, które podobno miałem już pożegnać. Śliczna gospoia zajęła się natychmiast przygotowaniem podwieczorku, w kredensie szumiał nastawiony samowar i tak mi było błogo i radośnie na duszy, że przez chwilę zapomniałem o pannie Eleonorze, czekającej na mnie u stóp ołtarza.

Przyszła jednak chwila powrotu pamięci, a z nią i dawna chmura niepokoju. Rotmistrz pocieszał mnie i uspokajał.

— Dajże pokój, kochany panie Adolfie. Komuż to nie znane przysłowie, że chłop strzela a Pan Bóg kule nosi. Nie powinienes brać do serca tego, co nie w twojej było mocy. Zresztą, jeżeli otrzymali telegram, to już wiedzą dlaczego nie przyjeżdżasz, zwłaszcza też, że i u nich przecie musi być taka sama zawierucha. Ot, porzuć troski i pokrzep się, bo choć wiem, że przykro zamienić cukrową kolacją na podwieczorek u sta-

rego żołnierza, to wszakże, po takim przegłoszeniu się, nie zaszkodzi. Dziś musisz się rad nie rad wywczasować, a jutro, jak Bóg da doczekać, udasz się tam, gdzie ciebie serce ciągnie. Dla większego bezpieczeństwa, dam ci przewodnika.

Tak perswadował pocziwy rotmistrz, sadzając mnie przy stole, na którym stały już rozmaite posiłki.

Nie było rady, jak tylko zastosować się do jego uwag i czekać jutra.

Po kolacyi więc udałem się do przeznaczonemu dla mnie pokoju, odprowadzony przez gościnnego gospodarza. Czekąco mnie tam łóżko miękkie, ciepłe, z bielizną idealnej czystości i te wszystkie dowody pamięci gospodarza, z jakimi się tylko u nas spotkać można. Gościenna rączka panny Kazi postawiła mi w pokoju butelkę wina, pudełko z tytuniem i cygarami i położyła na stoliku książkę, na wypadek, gdybym miał ochotę czytać do poduszki.

Któżby inny mógł o tem wszystkim pamiętać... ona była panią domu i niezmiernie czynną gosposią.

Nie poprzestając na ogrzaniu się kolacją, wypłem jeszcze przed snem szklankę wina, a gdy sen niepostrzeżenie zamknął mi powieki, miałem najpiękniejsze marzenia o pannie Kazi.

Nazajutrz zrana, zerwawszy się szybko z łóżka, spojrziałem w okno, by ujrzeć co się na świecie dzieje. Okno było prawie całkowicie zasypane śniegiem, tylko wązka struga światła wpływała do pokoju. Zato, nie mogąc nic zobaczyć, słyszałem co się na dworze działo. Wicher szalenie szarpał okienicami i uderzał z taką siłą w szyby, że gdyby nie zasłaniające je śniegowe góry, żadne zapewne szkło nie wytrzymałoby nacisku.

Niezadługo usłyszałem głos rotmistrza rozmawiającego w ganku z jakimś parobkiem.

— A co? zamieć dobra?

— Niech Pan Bóg broni! świata Bożego nie widać.

— Czy myślisz, że nie można zupełnie jechać?

— To pan chce jechać?

— Nie, mój gość potrzebuje być koniecznie w Żulińcach. Obiecałem mu dać przewodnika. Czy dobrze znasz tę drogę?

— Ja? toż ja, proszę pana, tamtejszy! Żeby tyle miał włosów na głowie, ile razy chodziłem piechotą do Żuliniec.

— To trafisz? podejmiesz się przeprowadzić tego pana?

— Jak pan każe, to pojedę, ale czy co po-

mogę, tego nie wiem. Nie w taką, proszę pana, porę poznaje się drogę.

Wyszedłem do przedpokoju.

— Słyszałeś pan może naszą rozmowę? — zapytał rotmistrz po przywitaniu.

— Słyszałem.

— I na cóż się decydujesz? I tak i tak, czy siedząc na miejscu czy jadąc, pan najpewniej w Żulinicach dzisiaj nie będziesz. Lepiej zacząć do jutra.

— Lepiej, proszę pana, — odezwał się parobek — bo jutro, da Bóg, zawierucha może będzie mniejsza, to stanęlibyśmy na miejscu w jakie pięć godzin. Jak wyjedziemy teraz... za nie ręczę. W taką pogodę każdy zbłądzi, choćby nie wiem jak znał drogę.

Co było robić? Widziałem jak ludzie brnęli po pas w śniegu, widziałem chaty literalnie zasypane, tak, że tylko dach wystawał nad powierzchnię, przykryty warstwą, w której duże dziecko mogłoby się z głową schować.

Wczorajsze doświadczenie nauczyło mnie, jaka może być korzyść z podróży w takich warunkach, a Michałek, który jak się okazało, odmroził sobie uszy i policzki, zaziębiwszy się w dodatku tak, że leży w łóżku, kazał mnie mieć

także wzgląd na ludzi, niemających żadnej dobrej racji poświęcać się dla mojej osoby.

Z tych wszystkich powodów, przepędziłem jeszcze dzień cały u poczciwego rotmistrza i dopiero przenocowawszy, nazajutrz, w asystencji parobka, który znał dokładnie drogę do Żuliniec, wyruszyłem w podróż. Dzień był pogodny, zanościło się na odwilż, wiatr ustał zupełnie, słońce zaczęło się pokazywać na rozpogodzonym niebie. W dwie godziny jazdy stanęliśmy przy karczmie. Wszedłem do izby szynkowej, aby utraktować wódką moich przewodników. W izbie, chłopak jakiś podróżny rozpytywał się u arendarza o drogę do Żuliniec. Zaciekało mnie to,

— Ty tamtejszy? — spytałem.

— Nie, proszę pana, ja zdaleka.

— Posłaniec z listem?

— Z telegramem...

Wiadomość ta dziwnie mnie uderzyła.

— Pokaż-no, chłopcze, twój telegram... ja także jadę do Żuliniec.

Posłaniec, z początku niedowierzająco i podejrzliwie spojrział mi w oczy, potem wydobył ze skórzanej torby pakiet w kopercie i oddał mi. Na własną odpowiedzialność, nie pytając o to chłopca, otworzyłem kopertę i... ledwom nie padł, jakby rażony piorunem.

Był to mój własny telegram! Owa jedyna pociecha i jedyne uspokojenie moje. W jednej chwili wyobraziłem sobie co tam się w Żulińcach dzieć musi, skoro o niczem nie wiedzą. Wściekłość mnie porwała... gotów byłem mścić się na posłańcu, gdyby nie uwaga, że on temu zapewne nie winien.

— Tu napisano, że już pięć dni jak ten telegram nadszedł. Czemuż go wcześniej nie odeśleli?

— A któżby tam jechał w taką porę! i dziś nie wiem jak się dostanę, a cóż dopiero w tamte dni!

Znowu mi stanął w myśli ów lord angielski, którego bym chciał w mojej pozycji postawić. Może onby to zniósł spokojniej, chociaż tak jak i ja nicby nie umiał poradzić; co do mnie, byłem wściekły i projektowałem sobie zrobić awanturę zarządowi telegraficznemu miasteczka, który tak śpiesznie ekspedjuje korespondencye.

Zajęty temi myślami, mniej już zwracałem uwagi na drogę jaką przebywaliśmy... może też dlatego prędzej, niżeli się spodziewałem, stanęliśmy w Żulińcach.

Serce mi mocniej uderzyło na widok dworu stojącego na uboczu, gdzie mnie czekały niemiłe a tem przykrzejsze w takich warunkach, sceny

usprawiedliwień i tłumaczeń. Im bardziej zbliżaliśmy się ku dworowi, tem więcej chciałem być od niego zdaleka. Jak uczeń drży z trwogi, gdy z kolei alfabetycznego porządku, przychodzi jego litera i nazwisko i czuje, że za chwilę stanie przed areopagiem profesorów, tak i ja truchlałem w duszy na myśl o wyrzutach, jakie mnie na wstępie spotkają, a przede wszystkim o licznych zastępieciotek panny Eleonory, który ma na mnie złożyć sąd wojenny.

Nareszcie, sanie zatrzymały się przed ganikiem — wysiadłem. Naraz, uczułem się bardzo odważnym... wszelkie trwogi opuściły mnie raptownie, jak żołnierz nabiera ducha przy pierwszym huku dział, wobec groźnego nieprzyjaciela.

Zdziwiło mię trochę, że nikt nie wyszedł na moje spotkanie i dom wyglądał jakby w nim wszyscy wymarli.

Wszedłem do przedpokoju, zrzuciłem z siebie futro i wierzchnie odzienie i polecivszy się Bogu, otworzyłem drzwi do pokoju. W pierwszym było pusto, w drugim również; trzeci był salon — ruszyłem do salonu.

Niegdyś barbarzyńcy wchodzący do Rzymu, podobnie przechodzić mieli przez puste ulice. Dopiero w środku miasta przedstawił się ich

oczom szereg poważnych senatorów, siedzących z marmurową powagą na kamiennych siedzeniach.

W salonie, z niemniejszą zapewne powagą i marmurowym charakterem, ujrzałem siedzące ciotki panny Eleonory. Każda z nich miała w ręku jakąś robotę i wielce nią była zajęta, ale łatwo to było poznać, że wiedziały one o moim przyjeździe i właśnie dlatego usiadły w tak lapidarnym spokoju.

Ich milczenie zbiło mnie z tropu. Gdyby mnie były odrazu obsypały wyrzutami, choćby nawet obelgami, umiałbym sobie dać radę. Ale te ich posągowe postacie, to postawienie mnie w konieczności zaczepnej roli — było oczywiście z ich strony arcymądrym pomysłem, lecz ciężką dla mnie próbą.

Ratując, jak mogłem, honor mój na szwank wystawiony, przemówiłem coś, po ogólnem przywitaniu, w ten sposób, że nie było to aktem mojej pokory i żalu (wcale nieusprawiedliwionego), ale też i nie wyrazem nieuzasadnionej w tej chwili pewności siebie, któraby w podobnych warunkach musiała razić.

Przemówienie to jednak pozostało bez echa; w salonie panowało milczenie ponure. Nie zbity z tropu, jakkolwiek nie wiem sam czem to się działo, chwyciłem się drogi dyplomatycznej. Mia-

łem pomiędzy ciotkami jedną, która zaszczycała mnie nazwą swego faworyta; do tej więc zbliżyłem się z wyrazem pieszczonego dziecka, które wie, że przymileniem najłatwiej sobie zjedna przebaczenie.

— Ciociu kochana, co się tu stało? nie chcecie do mnie mówić? przecież Bóg świadkiem, że opóźnienie nie nastąpiło z mojej przyczyny; blisko tydzień jak jestem w drodze. Czyliż się godzi karać kogoś tak srodze za nie jego winę?

Ciocia Kornelia (pomimo srogiego imienia była to najłagodniejsza z ciotek), spojrzała na swe milczące towarzyszeki, jakby szukając w ich twarzach pomocy dla swej słabnącej surowości.

— Zrobiłeś pan nam wszystkim niezmierną przykrość. Nie godziło się robić żartu ze szlacheckiej rodziny, która mu zaufała.

— Ależ na Boga! czyliż mnie można o coś podobnego posądzić! Ja miałbym żartować?

— To przynajmniej okazałeś pan lekceważenie naszego spokoju, a co gorsza, honoru naszego domu.

— Lekceważenie! Ależ, kochana ciociu, bądźmy sprawiedliwymi! fizycznem niepodobieństwem było przyjechać wcześniej. Czemuż zasłużyłem sobie na tak złe wyobrażenie o moim honorze, sumieniu i sercu.

Tu jedna z dotychczas milczących ciotek, parsknęła ironicznym śmiechem.

— Nie mów pan przynajmniej o sercu; wiemy już co należy sądzić o pańskich zamiarach. Biedna Eleonora! na jakież ją bolesny zawód narażiło posiadanie posagu!

Tego mi już było zawiele. Bóg świadkiem, że posag panny Eleonory nie był wcale przyczyną mego starania się o nią, że jakkolwiek może lekomyślnie dałem się uwikłać kapryśnym zachceniom w sieć matrymonialnej intrygi, to interes bynajmniej mną nie kierował.

— Jak widzę, rzeczy tu zaszły za daleko; gdzie jest moja narzeczona? muszę się z nią sam rozmówić! — odezwałem się tonem dość ostrym.

— Lenorka chora; nie może jej pan widzieć.

— Więc, matka; wytłómaczę się przed matką.

— Matka także leży w łóżku, cierpi na migrenę.

— Ależ, kochana ciociu — zwróciłem się znowu do ciotki Kornelii, — czyliż się godzi odbierać niesłusznie posądzonemu, możność usprawiedliwienia się? Bóg mi świadkiem, że wszystkie te posądzania nie mają żadnej słuszności.

Widziałem, że oczy ciotki Kornelii zaszły łzami rozczulenia, milczała jednak, oglądając się na inne.

— Nie dziw się pan tak bardzo i nie udawaj pokrzywdzonej ofiary — ozwała się ciotka Hermenegilda, najsurowsza ze wszystkich ciotek i mająca zwyczaj zwięzłego wyrażania się. — Zrobiłeś pan skandal, zniesławiałeś dom obywatelski, goście porozjeżdżali się z wesela, cała okolica o tem mówi... wszyscy się nad nami litują i wszyscy są tego zdania, że zasłużyłeś pan, aby mu drzwi tego domu zamknąć i basta.

Przekonałem się z tego oświadczenia, że rzeczywiście nie mi nie pozostaje, jak tylko się wynosić. Ciotka Hermenegilda zaczerwieniona jak piwonia, odwróciła się ode mnie, sapiąc w sposób gwałtowny i nie dostrzegła nawet, że jej czepeczek przechylił się zupełnie na stronę, nadając twarzy wyraz zdeterminowanego junactwa.

— Żegnam więc szanowne panie — ozwałem się z pełnym uszanowania ukłonem. — Postaram się innym sposobem usprawiedliwić przed moją narzeczoną i jej matką i pewny jestem, że gdy się rzecz wyjaśni, przekonam wszystkich o bezzasadności ich podejrzeń i zarzutów.

Po tych słowach wyszedłem z pokoju, szybko wrzuciłem na siebie futro i korzystając z tego, że konie rotmistrza jeszcze nie odeszły, puściłem się natychmiast w drogę.

Niepodobna wystławić, co się we mnie działo.

Byłem zły a zarazem chciało mi się płakać z żalu. Gdyby nie to, żem się do żadnej winy nie poczuwał, przyjęcie, jakiego doznałem w domu mojej narzeczonej, byłoby mię zraziło i przejęło oburzeniem. Ale wiedząc, że tylko pozory przeciwnie mówią, że gdyby się rzecz dostatecznie wyjaśniła, powróciłbym do łaski i przekonał rodzinę o mojej niewinności, żal mi było niewymownie, że fatalny wypadek stanął mi na drodze, miesząc harmonią zawiązanego stosunku i kompromitując mię w oczach ludzi, o których opinią nie mogło mi nie chodzić. Nie miłość to dla panny Eleonory kazała mi czuć się boleśnie dotkniętym tem co zaszło, ale moja miłość własna, która się oburzała na myśl samę o tem, że mnie, poważnego człowieka, wypadek naraził na traktowanie jak błazna.

Moje uczucia dla panny Eleonory zależały wiele od jej uczuć dla mnie, o których nie mogłem mieć dokładnego wyobrażenia. Czułem to wszakże, że jakkolwiek nie byłem naprawdę zakochanym, to nawet w takim razie, gdybym miał dziesięć razy mniej sympatyj dla panny Eleonory, nie zrobiłbym żadnego kroku w celu zaniechania moich małżeńskich projektów.

Byłem zawsze tego zdania, że uczciwy mężczyzna nie waha się nigdy po zrobieniu postano-

wienia, z którym się interes kobiety łączy. Czułem może chwilami, żem zbłądził w zbyt szybkim zobowiązaniu się, bez należytego poznania własnego serca, ale tajemnica tego błędu pozostałaby moją własnością, nie cofnąłbym się przed ołtarzem, choćby mnie to nie wiem ile kosztowało i potrafiłbym być dla mojej żony względny, delikatny i uczciwym mężem.

Mężczyzna, w którego rękę leży cześć lub szczęście kobiety, jako skarb dobrowolnie przez niego przyjęty, przestaje być panem samego siebie, a staje się stróżem powierzonego sobie skarbu. Wolno mu cierpieć wskutek zrobionej pomyłki, ale nie wolno usuwać się przed tem, co się raz dobrowolnie przyjęło.

Takie były zawsze moje przekonania o godności męskiego słowa i powadze charakteru. W tym razie, prosty wypadek, fatalny zbieg okoliczności, przedstawił mnie w postaci, do jakiej największy wstręt miałem. Posądzono mnie albo o lekkomyślny żart, któryby był patentem na ograniczenie umysłowe i brak wychowania, albo o lekceważenie danego słowa — dowód upośledzenia moralnego albo o lękliwą chęć wycofania się z niewygodnej pozycji, bez odwagi wystąpienia z otwartą przyłbicą, a toby było oznaką największej nędzy charakteru.

W każdym więc razie, ładnie wyglądałem wobec tych ludzi, ładną zyskałem sobie opinią u panny, która ma zostać moją żoną!

Te wszystkie myśli rozpieierały mi głowę w drodze do Iwanowic, gdzieśmy stanęli dopiero o godzinie jedenastej w nocy i gdzie zdumionemu rotmistrzowi opowiedziałem ze szczegółami co mnie spotkało, przepraszając zarazem, że do jego domu ośmieliłem się wrócić, jakby do domu starych przyjaciół.

Pocziwy z kośćcami rotmistrz dziękował mi za zaufanie, wyściskał jak najserdeczniej, prosząc abym też inaczej jego dworku nie uważał, gdyż szczerą dla mnie powziął sympatya.

Panny Kazi nie ujrzałem już tego dnia.

— Zamknawszy się w przygotowanym dla mnie pokoju, napisałem dwa listy: do mej narzeczonej i do jej matki. W jednym i drugim usprawiedliwiałem się jak najszczerzej z mimowolnego mego opóźnienia, opisałem najdelikatniej wypadki moje w podróży i uczucia niepokoju i niecierpliwości, jakie rzeczywiście mnie dręczyły. W końcu, prosiłem o pozwolenie osobistego porozumienia się i o przyjęcie zapewnienia niezmiennych uczuć.

Listy te, pocziwy rotmistrz wyprawił zrana; wieczorem miałem już odpowiedź. Panna Eleo-

nora nie obdarzyła mnie ani jednym słówkiem, tylko jej matka, w dodatku do odesłanego pierścionka, dołączyła kilka lakonicznych słów, prosząc o podobną przesyłkę z mojej strony i zaniechanie dalszych do porozumienia prowadzących kroków.

Ostępiałem, przeczytawszy te słowa. W listach moich było wszystko, co tylko w podobnej okoliczności sytuacją wyjaśnić i winę moję wytłómaczyć było w stanie. Nic nad to nie miałem do powiedzenia, pozostawało więc tylko, zgodzić się z mem przeznaczeniem i — odesłać na żądanie pierścionek.

Rotmistrz, którego zrobiłem powiernikiem moich kłopotów, dodał mi objaśnienie do niezrozumiałych dla mnie zmian zaszłych w Żulińcach. Powiedział bowiem, że cała rodzina panny Eleonory ma utartą w okolicy opinią dziwaków, a dziwactwo ma, jak wiadomo, swoje własne drogi, na których często ze słusnością i rozsądkiem się rozmija.

I oto od paru dni, sam nie wiedząc co mam z sobą począć, zatrzymywany przez pocziwego rotmistrza, bawię w Iwanowicach — ja, co miałem już być szczęśliwym małżonkiem p. Eleonory!

Chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi.

8 lutego.

Czy mogłem się spodziewać, że dotychczas pozostanę w Iwanowicach? Wszak to już dwa tygodnie upłynęło od dnia, w którym otrzymałem list z Żuliniec z ostateczną odmową.

W szczególny to sposób wikłają się stosunki ludzkie na świecie! Znajomość dawniejszą, bo całoroczną, stosunek poważnie zawiązany, który miał trwać życie całe — okoliczności, wypadki, rozerwały w jednej chwili. A tymczasem, znajomość przypadkowo zawiązana, stosunek, zdawało się, bez żadnej przyszłości — w coraz ściślejszy zawiązuje się węzeł, coraz serdeczniejszy przybiera charakter.

Wprawdzie na wyjątkowych ludzi trafiłem; z każdym dniem więcej się o tem przekonuję.

Im bardziej poznaję pocziwego rotmistrza, tem więcej podziwiać muszę jego niepospolite zalety. Bo też co to za nieposzlakowana prawość, obok szczególniejszej wyrozumiałości i jakiegoś ciepłego na świat poglądu! co to za niezłomny charakter obok gołębiego serca!

Staruszek łączy w swojej osobie przymioty bardzo rzadko chodzące w parze. Gdyby miał tylko połowę tych przymiotów, możeby przed

nim uciekał; kiedy ma je wszystkie — nie można się od niego oderwać.

Naprzykład, gdyby jego idealna prawość była jedną z tych, jakich okazy spotykałem pomiędzy ludźmi?

Nie znam nic bardziej godnego podziwu, ale też nieznośniejszego na świecie, nad tych kwaśnych pseudo-Katonów chodzących wiecznie z moralą na ustach, gromem w oku i surowością trapiący na czołe. Oni są bożkami dla samych siebie; chcieliby, żeby świat cały leżał u ich stóp i palił im kadzidła zato, że nie w życiu złego nie zrobili; a oni żeby mieli możność strącania winnych z Tarpejskiej skały, jak strącają ich z wysokości swojego sądu.

Nie cierpię podobnych ludzi i stokroć wolę bijącego się w piersi celnika, od tych napuszonych faryzeuszów, chełpiących się ze swojej prawości.

Jakże odmiennym typem jest rotmistrz! Taki czysty jak łza, a taki cichy jak ona. Tak niepostrzebijący ludzkiego pobłażania, a taki wyrozumiały na błędy ludzkie! Taki potulny i skromny z miny i z życia, a taki gorący sercem i zdobywający sobie serca. Taki wreszcie sędziwy wiekiem, a tak młody uczuciem!

Nie znałem w życiu podobnie sympatycznego typu.

A panna Kazia?

Jest godną wnuczką swojego dziadka — to wystarczy.

10 lutego.

Jutro wyjeżdżam do miasta. Czuję, że tak dłużej trwać nie może. Wszystko ma swoje granice — musi je mieć i moja uległość dla rotmistrza, która gdyby dłużej się przeciągnęła, musiałbym chyba zostać z nim na zawsze. Zresztą i interesa moje zaniedbane dla matrymonialnych widoków, potrzebują gwałtownie mego powrotu do miasta. Niema więc innej rady, jak tylko raz się zdobyć na niezmiennie postanowienie i pożegnać gościnnych gospodarzy. Trudno — ale trzeba.

15 lutego.

Znowu więc jestem w mieście. Pusto mi tu jakoś i samotnie. Chcąc się pocieszyć zasiadam do mego pamiętnika i przenoszę się myślą do Iwanowic.

Postanowiwszy raz wyjechać, oparłem się sta-

nowczo naleganiom staruszka, aby jeszcze zostać, choćby na dzień jeden.

— Kiedyś się uparł jak kozieł, to jedź. Żle ci widać u nas kiedy się śpieszysz. — Temi słowa zakończył pocziwy rotmistrz, rozmowę naszą przed wyjazdem. — A pamiętaj, że starzy ludzie nie ręką za jutro i jeżeli chcesz się jeszcze ze mną zobaczyć, to przyjedź, odwiedź nas przecie.

Zacny, kochany starzec!

Ileż to godzin przegawędziliśmy z sobą, siedząc przed ciepłym kominkiem! A o czym nie było rozmowy? Wszystko, co tylko może obchodzić gorącą, kochającą duszę, wszystko co stanowi życie pojedynczego człowieka i społeczeństw ludzkich — wszystko to było na placu i miałem sposobność otworzyć przed staruszką całą głąb duszy mojej i przekonań, zasięgając nawzajem doświadczonej rady i uwag z życia zaczerpniętych.

Zwykle, tuż obok nas, przy małym stoliczku siadywała panna Kazia z robotą w ręku.

Często mieszała się do naszej rozmowy, dodając coś od siebie, lub też rzucając jakieś pytanie, zdradzające niezwykłą ruchliwość jej inteligencji. Dziadek nie krępował rozwoju jej myśli więzami tych błahych względów, które znajdują poważanie u wszystkich prawie ojców i ma-

tek. Wychował ją na istotę gorąco czującą sercem, żywo myślącą główką, a odwołującą się w razach niepewności lub zwątpienia do rady dadunia z najzupełniejszą swobodą dziecka, które nie wie o istnieniu rzeczy dla niego niedostępnych. Nie było w niej tego fałszywego wstydu, który przy lada okazji każe spuszczać oczy i światobliwie sznurować usta. Kazia zawsze patrzyła w oczy, bo przez myśl jej nigdy nie przechodziło coś, czego by się musiała wstydzić. A jeżeli niekiedy zapłonila się jak lilia od czerwonych słońca promieni, to było tylko oznaką czegoś nieujętego w słowa, czegoś co przelotnem wrażeniem dotykało jej serca, jak jaskółka skrzydłem dotyka powierzchni cichego jeziora.

Ta niewinność przemawiająca z całej twarzy dziewczęcia, miała w sobie urok niepospolity, bo się czuło, że nie jest udaną, ani też jedyną jej zaletą.

Niewinność, ten najpiękniejszy kwiat dziewczęgo serca; mało dziś znajduje wielbicieli, bo mało takich kwiatów prawdziwych. Ona w połączeniu z bujnie rozwijającym się rozumem i świeżą, lotną jak ptak wyobraźnią, robiła piękną Kazię istotą fenomenalną. Bezwiedność jej, niepojmowanie własnego wdzięku i własnej urody, nale-

żały właśnie do najpiękniejszych ozdób tej dziewczęcej postaci.

W jej oczach palił się ogień myśli, uczucia, namiętności — a zawsze bezwiednie. Ona nie miała wyobrażenia, co te oczy mówiły i jak nie-dyskretnie odkrywały czasem coś leżącego w najtajniejszym zakątku serca. Jej usta miały uśmiech, za który wszystkoby oddały wytrawne królowe salonów, udające młodość i niewinność, jak sztuczne kwiaty parafialnego kościołka... udają świeżość. A ona nie o tem nie widziała, ona nie przypuszczała, że za pocałunek tych ust, niejednen mężczyzna zapłaciłby chętnie latami cierpień. I kwitła jak kwiat polnego maku w ustroniu, nie wiedząc o świecie, jak świat nie wiedział o niej. I rosła pełna wdzięków i czarów, przy boku siwego dziadka, jak powój co się oplata wokoło starego dębu i tuli go w miłosne ramiona.

Śliczne! cudowne zjawisko! nie mogę jej stracić z oczu, choć wiem że powinienem.

25 lutego.

Kocham! kocham jak w życiu mojem nigdy nie kochałem! kocham całą duszą, całą siłą mi-

łości, gotów na wszystko, na wszelkie poświęcenia, byleby nie stracić tego uczucia.

Czuję coś, jakby rozbitek, który się na chwilę wynurzył z toni i ujrzał przed sobą brzeg zieleni i słońce rozkosznie uśmiechnięte.

Tyle razy kochałem się — pierwszy raz kocham. A jakaż to różnica!

Nie poznaję sam siebie, nie wiedziałem żem zdolny do takiej miłości; nie wierzyłem, że ona istnieje.

Czuję jednak zarazem, że tak kochać więcej nie mogę, że gdyby to uczucie we mnie zagaśło — więcej już nigdy nie zaświeci.

Kocham — nie wszystkimi zmysłami, ale każdą myślą moją, każdą chęcią, wszystkimi siłami mojej duszy i rozumu.

Czyliż mogę pomyśleć o tem, by ona została moją żoną?

Ja — com się tyle razy kochał, tyle razy w życiu sprofanował to uczucie! ja, co jeszcze tak niedawno decydowałem się zaprzysiąc miłość kobiecie, która we mnie tylko jakiś kaprys chwilowy wzbudziła...

Cóż jej dam w zamian za ofiarę jej serca? Czuję, że są kwiaty, których się brudnymi rękami dotykać nie powinno, że są świętości, których dłoń niepoświęcona ująć nie ma prawa...

Może ja przesadzam? Nie wiem — piszę co czuję. Dziwna rzecz, jak to prawdziwe uczucie onieśmiela i trwoży, kiedy ja się obawiam — ja, co sądziłem, żem został nakoniec *chevalier sans peur et sans reproche*...

Widać, że nie wszystko jeszcze ze świętego ogniska młodości we mnie zagaśło.

Dzięki Bogu! dzięki tej, co przyszła, jakby Anioł Zmartwychwstania wywołać w piersi mej gasnące czucie i zamierające pragnienia ideału.

Kocham!

28 lutego.

Nie! to daremnie... nie mogę dręczyć się napróżno, a żyć dalej w takiej niepewności i ustawicznej walce z sobą, byłoby męczarnią.

Dnia 4 marca imieniny cudownej Kazi. Jest pretekst doskonały — pojedę. Zobacze ją przynajmniej. Co dalej będzie — nie wiem. Czuję tylko, że muszę jechać, bo jestem chory, nie mogę sobie dać rady, wszystkie zajęcia leżą odłożeniem, nie poznaję na ulicy najlepszych moich klientów... waryuję.

Pojedę — pojedę koniecznie.

2 marca.

Jutro wieczornym pociągiem wyruszam. Wahać się jeszcze jak zrobić; czy jechać czwartego zrana, wprost do Iwanowic, czy też do miasteczka parafialnego, dokąd rotmistrz pojedzie zapewne z wnuczką na mszę.

O! oni z pewnością nie opuszczą w dniu tym mszy i kościoła.

Przypominam sobie, że ją raz zeszedł niechcący na modlitwie. Było to w pokoju rotmistrza, gdzie nad łóżkiem staruszka wisi blaszany obrazek Matki Boskiej, który go, jak mi opowiadał, uchronił od śmierci. Klęczała ze złożonymi rękami, miała główkę podniesioną a oczy zwrócone na obrazek. Usta jej nie poruszały się wcale; była to niema modlitwa oczu. Nie ta modlitwa, co gwałtem wdziera się w niebiosy, żądając łaski jak żebrak natrętny; nie ta, co mówiona ustami tylko, nieuświęcona sercem, błąkać się musi nad ziemią, jak duszyczki dzieci nieochrzczonych, według wiary ludu; ale ta, co jak rozmowa dziecka z matką płynie cicho, spokojnie i trafia z pewnością do swego celu. Tak się modli lilia polna o wschodzie słońca, skropiona łzami miłości...

Rotmistrz mi mówił, że parę razy dziennie klęka ona na chwilę w ten sposób przed obrazkiem Bogarodzicy, dziękując za ocalone życie dziadka.

Pojadę tedy wprost do kościoła. Niewątpliwie ich tam zastanę. Mój Boże! czy też z niczem powrócę z tej mojej nowej podróży?..

Iwanowice, d. 7 marca.

Od dziś jestem narzeczonym panny Kazi.

Przypisek wydawcy.

Na dniu 7 marca kończy się pamiętnik obecnie przeze mnie wydany.

Czyli wypada mi coś dodać od siebie? Wątpię. Choćby powieść niby nieskończona — któżby się nie domyślił, że się pan Adolf z ukochaną przez siebie Kazią połączył.

I rzecz to najpewniejsza, że nie miał powodu narzekać na śniegową zamięć, która go pozbawiła panny Eleonory.

A jakież sens moralny? Stosownie do upodobania. Zdaje się jednak, że najwłaściwiej z przy-

kładu tego taki wyciągnąć wniosek: chłop strzela, a Pan Bóg kule nosi, — a śmierć i żona, od Boga przeznaczona. Rzeczy to stare jak świat, ale cóż nowego pod słońcem?...

KONCERT.

Bywałem u nich codziennym prawie gościem. Należeli oboje do ludzi, jednających sobie łatwo przychylnych — i gdziekolwiek los ich rzucił, otaczali się wnet gronem przyjaciół.

Co do mnie, liczne miałem powody do sympatii dla nich szczególnej. Ja i oni zwracaliśmy wspomnienia nasze ku Ukrainie, jako wspólnej kolebce: leżało na nas piętno wpływu jednakiej natury, wiele też wspólnych mieliśmy stosunków i znajomości, a to wszystko niezmiernie zbliża ludzi, spotykających się na obczyźnie.

Zresztą, on był artystą, i wiolonczela jego umiała magnetyzować mi duszę, dobrze znanemi tonami. Widząc, że każde niemal poruszenie smyczka, że każdy akord znajduje we mnie odgłos bratni, lubił mię Władysław, jak człowieka bliskiego mu sercem, jak wrażliwego słuchacza, jak ziomka, z którym i bez słów nawet porozumieć się było mu łatwo.

Miałem też względy i u pani Władysławowej, tem cenniejsze dla mnie, im bardziej szanowałem w niej kobietę, dźwigającą z całym zaparciem się i poświęceniem smutny los żony artysty.

Codzienny gość staje się mimowolnie nawet powiernikiem naszym, trudno się przed nim ukryć z tem, co nas boli i niepodobna zataić przed nim ciemniejszych stron naszego życia.

A jednak nie zdarzyło mi się widzieć ani razu gniewu na twarzy pani Władysławowej, albo wyraźnych oznak zniechęcenia, czy goryczy.

Kiedyś, pamiętam — dostrzegłem łzy w oczach, których jeszcze nie miała czasu otrzeć należycie, ale natychmiast wyciągnęła ku mnie rękę z uśmiechem tak naturalnym, przemówiła z taką swobodą, jakby łzy owe były tylko wytworem kokieteryi kobiecej, mającym nadać blasku przygasłym trochę oczom.

Wiedziałem wszakże zbyt dobrze, czemu oczy te straciły blask swój przedwcześnie, czemu twarz młodej jeszcze i pięknej niedawno kobiety, pomimo ciągłego prawie uśmiechu, nosiła wyraźne ślady czasu.

Nie po różach bo, i nie po miękkiej murawie płynęło jej życie — i szło im wszystko, jak powiadają, — z kamienia.

Czemkolwiek jest ów los, w którego rękach obracamy się wszyscy — to pewna, że ma on swoich ulubieńców i znieawidzonych, protegowanych i gnębionych systematycznie.

Wogóle, w stosunkach naszych do bliźnich, powodujemy się niechwalebnem pochlebstwem i służalstwem dla tego losu, dla wszechpotężnego pana.

Dość spojrzeć po świecie, by uderzyło nas, odbywające się na wielką skalę — smarowanie tłustego połcia, dworowanie szlachliwym, hołdowanie powodzeniu.

Ta epidemiczna słabość duszy umie się tak przytłąć, tak zamaskować, że najuczciwszy człowiek — ani się spostrzeże, jak pociągnięty prądem ogólnym, smarować zacznie to, czemu los nie poskąpił okras.

Właśnie dlatego, że ułomność tę uważam za powszechną, a więc taką, której i sam, jako człowiek, ulegać mogę, choćby bezwiednie — odważam się wyznać, że w naturze mej wytworzył się czasami prąd przeciwny, że bywam skłonny niekiedy aż zanadto do ukochania tych, których los gnębi i prześladowuje.

Nie mam tego za jakąś osobliwość, boć jeszcze w pogańskim świecie istniał Kato, sprzyjający naprzekór bogom swoim sprawie zwycię-

zonych; — gdy więc chrystyanizm, opierający się przeważnie na tej właśnie miłości dla wszystkiego, co zgnębione, słabe i nieszczęśliwe, przez dziewiętnaście wieków zaprawiał ludzkość do tej cnoty, — cóż prostszego powinno być dziś nad jej praktykowanie!

Jeżeli więc spowiadam się z tej skłonności mojej, to nie dla chluby wcale, tylko dla wyjaśnienia stosunku mego do ludzi, o których piszę, dla mocniejszego jeszcze uzasadnienia gorącej sympatii, jaką miałem dla Władysławowstwa.

Wardno się bowiem bardziej zawziąć na kogoś, niż los się zawziął na tych dwoje ludzi.

Początki były piękne. Ona miała znaczny posag — a on wielki talent; obojgu zrazu zdawały się przyświecać gwiazdy najjaśniejsze. Młodzi, piękni, pełni przymiotów umysłu i serca, pobrali się z najwyższej miłości, i zaczęły się odtąd walić na nich klęski jedna za drugą.

Kilkoro dzieci wydarła im śmierć — majątek przepadł, zdrowie zaczęło zdradzać, ludzie odstrychnęli się; pozostał artyście talent niezwykłej miary, lecz gdy przyszło zażądać od tego skarbu, ażeby zaważył na szali bytu i dał kawałek chleba, ciężar jego gatunkowy okazał się tak małym, jakby to były liczmany — nie złoto.

A przecież złotem on był niewątpliwie, ów

talent wrodzony, wyrobiony znakomicie przez pracę, oczyszczony w ogniu inteligencji, jak na muzyka — niepospolitej.

Władysław posiadał wszystkie warunki potrzebne do powodzenia w swym zawodzie, z wyjątkiem jednego: nie miał szczęścia!

Ten jeden, jak wiadomo, starczyć może nieraz za wszystkie, — bez niego zaś, inne schodzą do zera.

Rzempoły odbierały przed nim zyskowne lekcye, nieuki znajdowały wydawców dla nieukończonych kompozycji — niejeden fuszerek z niecierpliwym zapalem piłujący struny baranie zbierał oklaski i grosze — on, artysta całą duszą walczył rozpacznie o kawałek chleba.

Oczywiście nie zbywało mu na takich, co go poznać i ocenić umieli; znawcy oddawali wielkie grze jego pochwały, w kompozycjach zaś cenili sztukę i inteligencją; profani, których z dobroduszością prawdziwego artysty dopuszczał do słuchania swej gry w mieszkaniu, czuli elektryzujące działanie prawdziwego natchnienia; — pojedynczo biorąc, miał dużo wielbicieli, — ogół, ten ogół, o który każdemu artyście chodzić musi, — zostawał obojętnym, nie znał go.

Kompozycye jego zalegały napróżno półki księgarskie, mało kto wiedział o ich istnieniu.

Koncerty urządzone bez zabiegów zakulisowych i protekcyj, narażały go tylko na straty — chociaż ci, co na nich byli, czuli się uczestnikami uczty artystycznej.

Nieliczni bardzo uczniowie kochali go, i pod kierunkiem takiego nauczyciela kształcili się z wielkim pożytkiem dla swych zdolności; ale byli to prawie wyłącznie ludzie ubodzy, których uczył on pół-darmo.

Słowem niepowodzenie było wynikiem wysiłowań Władysława; — nie mu się nie udało, dolegał niedostatek pomimo najusilniejszej pracy, — w domu jego bywało niemal chłodno i głodno: trzeba się było ogrzewać zapalem artystycznym i karmić harmonią tonów.

Zrospaczony postanowił na czas dłuższy opuścić kraj i szukać szczęścia za granicą, ale zła dola poszła i tam za nim, włóczyła się jak pies nieodstępny od miasta do miasta, odstraszała wyszczerzonymi zębami wszelkie powodzenie.

Zaledwo było z czego żyć, — choć w dziennikach niemieckich, włoskich, węgierskich i innych nie brakowało pochlebnych o grze artysty wzmianek. Przyznawano prawie jednoznacznie, że miał talent niepospolity i mechanizm wysoki; dziwiono się, czemu publiczność tak leniwo korzysta z możliwości usłyszenia podobnie pięknej gry; — a ogół

nie przestawał być obojętnym, jak i dawniej w kraju.

Pani Władysławowa zbierała skrzętnie owe różnojęzyczne odezwy do ozdobnego albumu — i cieszyła się biedna tą kolekcją, składającą odcios sławy jej małżonka.

Niestety! sława w tym razie była w całym znaczeniu wyrazu tego: czeczym dymem.

Upłynęło tak lat kilka w ciągłej tułaczce, w nadaremnej gonitwie za szczęściem i jakim takim bytem.

Spędzano w jednym mieście miesiąc, w drugim dwa miesiące, w trzecim tydzień lub dwa — i czarne pasmo wędrówki, łączące kilkanaście miast przeróżnych i kilka krajów, było dla nich jednym ciągiem zawodów.

Spotkałem się z nimi, gdy już wracali do kraju, przybywszy na nową stacyą do miasta, w którym czasowo mieszkalem.

Władysław przedstawił mi się, jako człowiek moralnie znużony i wycieńczony fizycznie. Chmura smutku wisiała na jego czole, którą udawało mi się często szczęśliwie odpędzać gawędą z nim o sztuce i poezji, lub wspomnieniami Ukrainy, którą kochał teraz z uczuciem oddalonego i stęsknionego kochanka.

Na pani Władysławowej odbiła się także, jak

już wspomniałem, niedola życia, ale odżegnywała ją dobrym humorem i wesołością niezmienną. Co się tam działo w głębi, w sercu biednej kobiety, wiedzieć trudno; to wiem tylko, że nie miała wcale pozoru męczennicy, zrezygnowanej ofiary, uśmiechającej się przez łzy. Nie! bynajmniej. Wesołość jej nosiła raczej cechę lekkiego charakteru, natury nieusposobionej wcale do smutku, skłonnej do wysnuwania z najmniejszego promyka pomyślności, długich wątków powodzenia, do widzenia w każdej rzeczy i sytuacji czegoś pocieszającego.

Gdyby nie jawna i egzaltowana prawie miłość dla męża, możnaby ją było nawet posądzić o kokieteryą, — tak łatwym, swobodnym, prawie lekkim było jej postępowanie z mężczyznami, którzy stanowili prawie wyłącznie ich towarzystwo.

Pamiętam, jak wesoło ubawiłem się nieraz u nich na herbacie, jakeśmy się śmiali serdecznie, wciągając w ten gwar i wir pustoty nawet Władysława.

Gotówem prawie przysiąc, że przywiązanie do męża usuwało z jej serca możność chwilowej choćby niechęci albo żalu...

A jednak miałyby do tego pewne prawo, bo opłakana pozycja ich obecna była poniekąd wy-

nikiem winy Władysława, który stracił jej kapitał posagowy.

Otóż mamy i winę — niby dla zadośćuczynienia moralności naszej, która wymaga od autorów, aby bohaterów swych robili bodaj częściowymi sprawcami ich losów. Grom z jasnego nieba nie może już spadać na ludzi, bez ich w tem współudziału. Wbrew pojęciom i upodobaniom starożytnych, którzy w ślepem *ananke*, w nierozumującym przeznaczeniu widzieli grozę tragiczną, dziś chcemy koniecznie, by nóż mający ugodzić w pierś bohatera, wyostrzony był własną jego ręką — i pod tym jedynie warunkiem wzrusza nas tragiczna jego dola.

Poglądowi temu na istotę wrażeń dramatycznych nie mało robi kłopotu Szekspir, ów gienialny barbarzyńiec, który nie zawsze liczy się z kwestyą i niejednokrotnie pozwala czystemu fatalizmowi na scenie swego teatru niszczącą rozlewać się falą.

Są też tacy, co usiłują potępić np. Desdemonę, dopatrując się w niej ujemnych popełdów — byle tylko nadać jej doli tragicznej pozorem bodaj uzasadnienie.

Więcej wszakże, niż Szekspir, zakłopotać może ich życie samo, w którym widzimy mnóstwo takich ślepych ciosów, nieszczęść spadających na

ludzi, bez żadnego z ich strony przyczynienia się i bez winy. Odwrotnie — ileż powodzeń niesprawiedliwionych jakąbądź zasługą!

Prawdopodobnie, jedno i drugie ma swe uzasadnienie — tylko ukryte przed nami — i, kto wie, może dopiero w przyszłości ujawnić się mające.

Bądźcobądź, my, świadkowie podobnych niesprawiedliwości losu, odnosimy tymczasem wrzenie gorszące.

Pomimo, że Władysław zawinił w życiu istotnie, nie mogłem i ja się oprzeć uczuciu pewnej goryczy na widok rozpaczliwej walki jego z losem.

Bo i czemu zawinił on? — Oto prawdziwie artystyczną lekkomyślnością, z jaką w pierwszych latach zawodu swego, ufny w siebie i nielekąjący się jutra — strwonił swoje i żony swej fundusze. Poszło to na fantazyje, w których nie było żdźbła krzywdy cudzej, owszem, z hojnością nieopatrzoną obdarzał tych, którzy potem nawet do wdzięczności się nie poczuli — a niekiedy mieli czoło potępiać go za to.

Otaczał się zgrają dyletantów muzycznych, urządził orkiestry, komponował opery, budował w majątku żony swej salę teatralną; — czasem, wciągnięty przez fałszywych przyjaciół — grał... nietylko na wiolonczelli, ale i na zielo-

nym stoliku, trawiony gorączką wrażeń; — tym sposobem, w najrozmaitszych kierunkach uciekało z rąk jego złoto.

Była to słowem, w odnowionej edycji, historia Tymona Ateńskiego — z tą tylko ważną różnicą, że Władysław nie wzgardził wkońcu całym światem, jak utracysz Szekspirowski, nie znienawidził ludzi — owszem, pozostał zawsze ufnym, serdecznym, przyjacielskim i nie skarżył się na nikogo.

Gdyby tylko ci, którzy czerpali pełną garścią w jego niegdyś kieszeni — zechcieli wrócić co byli winni — nie potrzebowałby tułać się za groszem. Ale o tem żaden z nich nie myślał. Przeciwnie, dawni to прияjaciele, uczestnicy nieopatrzego życia, co go niegdyś okrzyknęli gieniuszem i mistrzem wyższym nad Servais'go — pierwsi ogłosili go potem, jako talent zmarnowany. Wszyscy go opuścili wraz z fortuną, nie skąpiąc słów potępienia i obłudnych ubolewań nad losem biednej żony.

Widzimy więc, że jeżeli była wina, to ją Władysław okupił gorzko; ja zaś, com miał sposobność przypatrzenia się zbliska, jakim kosztem odbywała się ekspiacya — musiałem go kochać i szanować za to nieskażone serce, jakie wyniósł z pożaru życia.

To też pamiętam, że raz o mało nie zrobiłem awantury właścicielowi hotelu, w którym Władysław mieszkał — o niego.

Grube Niemczysko wdało się ze mną w rozmowę o swych lokatorach — a udawał melomana i znawcę.

— Panie! — zawołałem gorąco — gdyby powodzenie zawsze odpowiadało zasłudze, powinienbyś pan na murze swego hotelu umieścić marmurową tablicę z napisem złotymi literami, że tu mieszkał przez kilka miesięcy wielki artysta!

— Ja! ja! — odrzekł ironicznie, obracając w zębach gasnące cygaro. — Co mi za wielki człowiek, który pół roku na kredyt mieszka i grosza z niego nie można wydusić. Wielcy artyści mają dziś miliony — a na takich charłakach ja się znam.

Czułem, że ślina zebrała mi się w ustach i gotówem był odpowiedzieć szanownemu melomanowi argumentem, polskim wprawdzie, ale mocno nieparlamentarnym.

Przyszła mi wszakże w porę uwaga: alboż to bydlę opasłe jest unikatem? Alboż on jeden tylko kłania się powodzeniu, nie mając pojęcia o istotnej wartości?

Grosz lgnie do grosza, oklaski wywołują oklaski,

powodzenie artysty utłumu zależy najwięcej na sławie, jaka go poprzedza, — a sława czyliż zawsze wieńczy zasługę istotną? czyliż nie polega często na szczęśliwym zbiegu okoliczności! Tyle się w życiu widuje przykładów.

Bądźcobądź z tej rozmowy z Niemcem, wyniosłem smutek wielki. Przekonałem się, do jakiego stopnia biedował Władysław, skoro nawet mieszkanie brać musiał na kredyt.

Pomimo zażytych stosunków, nie było między nami nigdy mowy o środkach, jakimi rozporządza. Widziałem, że się krząta, zapobiega, domyślałem się, że na mieście zarabia, lecz nie mogąc mu w niczem dopomódz, jakim prawem wdzierać się miałem w jego rachunki.

Biedny Władysław! zrozumiałem teraz, czemu bawią tak długo w mieście, które nie przedstawiało potrzebnych dla niego warunków do stałego pobytu. Nie miał poprostu o czem wyjechać.

Tegoż dnia wieczorem nadmieniłem pani Władysławowej w rozmowie, że powinna męża nakłonić do dania koncertu.

— Nie zgodzi się! — odrzekła z cichem westchnieniem.

— Czemu?

— Jest zniechęcony, nie wierzy w powodzenie.

— Rozumiem, że poprzednie koncerty mogły

go zniechęcić, ale myślę, że teraz mamy wszelkie szanse. Jesień zaczęła się już na dobre, sezon koncertowy nadszedł, żadnego wirtuoza niema w tej chwili, powinno się nam udać.

— A jak się nie uda?... Władek jest wrażliwy niezmiernie, każde wystąpienie publiczne kosztuje go dużo...

— Byleby tylko pani mi dopomogła, urządzimy koncert, i jestem pewien, że się powiedzie. Jest tu nas dosyć Polaków, rozrzucimy bilety, ktoś z artystów miejscowych weźmie udział, uproszę pannę Izabelę, żeby zaśpiewała, i zobaczy pani, sala będzie pełna.

Nadmieniam, że panna Izabela była jedyną i ukochaną córką państwa P. z Warszawy, mieszkających tu czasowo, i kształciła się jako śpiewaczka w tutejszem konserwatorium.

Ucieszony własnym pomysłem, wziąłem się nazajutrz do rzeczy. Chodziło najpierw o Władysława. Nie zgadzał się.

— Żebyś ty wiedział, bracie, ile mnie te występy kosztują! Tobie, przyjacielom gotów jestem grać dobę całą bez znużenia. Na estradzie duszno mi, ciężko — a widok pustej sali...

— Kiedy zaręczam, że nie będzie pusto.

— Tak ci się zdaje!

— Mam przecucie.

Władysław uśmiechnął się i wyciągnął do mnie rękę.

— Dziękuję ci serdecznie, ale w przecucie nie wierzę.

— Zrób na ten raz wyjątek! Zresztą, zrób to dla mnie.

Ten ostatni argument poskutkował. Zaczęliśmy mówić o koncercie.

Serdecznie, gorąco chciałem dopomóc cokolwiek przyjacielom, a przytem łechtała mnie nadzieja, że gdy wezmę się za bary z fatalnością, prześladowając Władysława, przemoję ją, choć w tym jednym razie.

Nie byłem też całkowicie bezbronnym. Miałem trochę stosunków w mieście. Najprzód z młodzieżą, którą tak łatwo zachęcić do dobrego czynu, potem z kilku domami polskimi, gdzie Władysława ceniono, jako artystę, — wreszcie myśl pozyskania panny Izabeli wydawała mi się bardzo szczęśliwą. Panna była piękną, miała duży głos kontraltowy — i tyle łaskowości dla mnie, że nakłonić ją do pomożenia rodakowi-artystcie nie mogło być rzeczą trudną.

Pozyskawszy pozwolenie Władysława, wziąłem się do rzeczy.

Nazajutrz miałem już afisze i bilety, z którymi obszedłem wszystkich znajomych moich, — dając

temu kilka, temu kilkanaście, w miarę jak kto zażądał, do rozsprzedania.

Z panną Izabelą, jak spodziewałem się, poszło mi łatwo. Wzbraniała się trochę, gdyż dotąd nie występowała na estradzie, chyba na popisach w konserwatorium, — ale jakoś się to zrobiło.

Z Niemcem, który miał grać na fortepianie, ułożył się sam Władysław, co mi się nie bardzo podobało, bo byłem pewny, że zaoferował mu znaczny procent z przyszłych dochodów koncertu.

Wiedząc o słabostce, jaką miał mój przyjaciel: rozdawania biletów *gratis*, nie dałem mu do ręki ani jednego; uprosiłem natomiast panią Władysławową, by się zajęła rozesłaniem gratysówek do redakcyj i gdzie było koniecznie potrzeba. Miała w tem ona doświadczenie.

Salę najeliśmy największą, jaka była w mieście, a latając parę dni bez ustanku, dopełniłem rzetelnie wszelkich potrzebnych przygotowań.

Władysław projektował wezwanie do udziału jeszcze dwóch skrzypków, ale odradziłem mu stanowczo, by nie powiększać kosztów wieczoru, który urządzać należało z największą oszczędnością.

Wszystko mi się udawało, — czas zdawał się

sprzyjać, ha! mówiłem sobie, spróbujemy się, panie losie przekorny! Choć raz nie uda ci się zgnać ucziwego człowieka!

W wigilią dnia koncertu zebraliśmy się w sali na próbę, wszyscy w najlepszych humorach, — szczególnie ja i pocziwa żona koncertanta, w którą łatwo mi przyszło wmówić, że powodzenie zapewnione.

Panna Izabela śpiewała, jak anioł, a matka jej przyniosła wiadomość, że jak słyszała, bilety rozdane przeze mnie Polonii naszej znajdują łatwo zbyt. Ostatecznie mogłem wiedzieć o rezultacie jego dopiero po koncercie, chyba gdyby nazajutrz zabrakło w kasie biletów i przyszło ściągać nierozsprzedane od osób prywatnych.

Na to się jednak nie zanosilo, — do kasy zgłazano się dotąd skąpo, — ale że mieliśmy przed sobą jeszcze dzień cały, — byłem spokojny.

Przy końcu próby, Niemiec-pianista pokazał nam afisz, świeżo odebrany. Była to tymczasowa zapowiedź, że Joachim, — ów sławny Joachim, zjeżdża w tych dniach do miasta naszego dla dania koncertu.

Choć każdemu wielkiemu artyście należy się cześć i poszanowanie, posłałem w duchu wielkiego Joachima do kroć stutysięcy, że tak nie w porę wybrał się z zapowiedzią.

Oczywiście, mogła nam ona zaszkodzić. Nie jeden mając przed sobą możliwość usłyszenia artysty takiej sławy, nie pójdzie na nasz koncert.

Uspokoiła mnie na ten raz pani Władysławowa.

— Skrzypek nie przeszkodzi wiolonczeliście, — rzekła — zresztą, on przyjedzie dopiero za dni kilka.

Uwierzyłem. Tak łatwo wierzy się w to, czego się pragnie.

Kiedy późnym wieczorem wracałem do siebie, niebo zdawało się zapowiadać pogodę — i pogoda była w mem sereu, choć te wszystkie zabiegi znużyły mnie trochę.

Nazajutrz, obudziłem się wcześniej i spojrzałem w okno. Do licha! na dworze szkaradny dzień listopadowy, z deszczem, wiatrem, błotem, słowem, gorszego trudno sobie wyobrazić.

— Głupstwo! — zawołałem, po przejściu pierwszej chwili. — Przecież są w mieście dorózki i powozy, słota nam nie przeszkodzi. Młodzieź, między którą rozrzuciłem sporo biletów tanich, przyjdzie i po błocie, reszta publiczności przyjedzie.

Ubrawszy się, szybko pobiegłem do kasy, zobaczyć, jak tam idzie rozsprzedaż. Siadłem sam za stolikiem, myśląc, że coś pomogę. Siedziałem

godzinę — kupiono przez ten czas dwa krzesła po guldenie.

Wpadam więc jeszcze do Władysława, by mu dodać ducha, gdyż przypuszczałem, że jak się dowie o niepowodzeniu w kasie, gotów koncert odwołać. Widzę, jakoś niezłe mi wygląda, pieści swoją wiolonczelę, no, to i dobrze, idę dalej.

W bramie hotelu spotyka mnie poślaniec z listem. Poznaję go — lokaj od rodziców panny Izabeli. Coś mi tknęło, porywam list, rozdieram kopertę... nie patrząc nawet do kogo adresowany i oczom własnym nie chcę wierzyć!

Szanowy Panie!

Z największą przykrością muszę zawiadomić pana, że z powodu nagłej chrypki nie mogę dziś śpiewać.

Izabela.

A to dopiero śliczna historia! Z temi kobietami tak zawsze! — Chrypka! no proszę! znalazła też porę właściwą, by ochrypnąć... I pisze to z takim spokojem, jakby rzecz była najzwyczajniejsza! „Nie mogę dziś śpiewać“, — krótko i jasno. Nie, moja panno, z tego nic nie będzie! Zaśpiewasz pomimo chrypki — wszak idzie tylko o to, by się koncert odbył i sala była pełną.

Pomimo zbyt wczesnej jeszcze pory biegnę do państwa P.

Przyjmuje mnie najpierw matka z miną zafrasowaną, skarży się na niepogodę, opowiada coś o reumatyzmie, — natarczywie domagam się widzenia panny. Zjawia się tedy śpiewaczka moja z ciepłą chusteczką na szyi, tłumaczy mi, że stanowczo śpiewać nie może.

Wpadam w zapał i tak przekonywająco zaczynam mówić o niemożliwości tej chrypki, że panna dla przeświadczenia mnie i siebie, siada do fortepianu i zaczyna na próbę coś śpiewać.

Istotnie, chrypka jest, ale nie daję jeszcze za wygraną. Wszak do wieczora ustąpić może, zresztą są na to środki, — śpieszę do znajomego mi aptekarza po jakieś płókanie i pastylki, zostawiając pannę Izabelę zdecydowaną na poświęcenie tym razem swojego gardziółka dla dobrej sprawy.

W parę godzin jednak powracam dla upewnienia się jeszcze w tym względzie — i widzę z największym przerażeniem, że biedaczka, pomimo nadesłanych medykamentów, ochrypła tak, że ledwo mówić może.

— Niepodobieństwo! — co tu począć z wyraźnym fatalizmem! Żadna jeszcze śpiewaczka nie miała takiej chrypki, jaką on obdarzył pannę Izabelę, w sam dzień koncertu Władysława.

Ten, dowiedziawszy się ode mnie o wszystkim, opuścił ręce.

— To moje szczęście! — rzekł z gorzkim uśmiechem, — niema innej rady, jak odwołać koncert.

— Władku! nie rób tego! jak mnie kochasz, nie rób! — Co się odwlecze, to uciecze, a widziałem, że przy kasie ruch niezły.

— Ale cóż pocznę?

— Jedźmy do teatru! Dziś nic nie grają, uprosimy którąś śpiewaczkę, by zastąpiła Izabelę i to jakoś ujdzie.

Nie dając mu wiele do myślenia, wsadzam do doróżki i jedziemy.

Nowe przeszkody!.. Primadonna miejscowego teatryku leży w łóżku, bo właśnie dziś zrana zwichnęła sobie nogę.

Druga nie może odstąpić dziecka, które wczoraj zachorowało na szkarlatynę! (Niech mi kto powie, poco śpiewaczce teatralnej dziecko?)

Nareszcie *Fräulein Nina*, piskliwym śpiewająca sopranem (co jej wszakże nie przeszkadza być faworytką publiczności), po wielu korowodach zgadza się odśpiewać dwa kawałki.

Zwycięstwo! będzie koncert!

A teraz na obiad. Idzie mi nie o siebie, lecz o Władysława. Widzę, że zdenerwowany i zmęczony — niech się posili, kto wie, co go czeka!

Tymczasem deszcz leje, wiatr wyje, błoto bryzga w oczy przechodniów, — chłód jakiś przenikliwy, obrzydła wilgoć w powietrzu, ku wieczorowi robi się czas taki, co to, jak mówią, psa z domu nie wypędzić!

Zbliża się siódma. Zostawiwszy Władysława opiece żony, biorę powóz i jadę po Fr. Ninę.

Sądziłem, że już na mnie czeka, — gdzietam! jeszcze nie ubrana. Okazuje się, że służąca, wyjmując z szafy suknię jedwabną, zaczęła ją o jakiś gwoździk i rozdarła tak nieszczęśliwie, że trzeba było koniecznie myśleć o stroju innym; gdy zaś ten inny nie był zupełnie do wzięcia go przygotowanym, należało czekać, aż się przyszyją jakieś koronki, czy hafty, bez których panna Nina w żaden sposób śpiewać nie mogła.

Niema więc rady! siedzę jak na szpilkach i czekam, aż kapryśne soprano wyanieli się dostatecznie, by je porwać. Czas już wielki, godzina w afiszach oznaczona przeszła, bez nas prawdopodobnie zacząć nie zechcą, bo mamy właśnie drugi numer programu, — publiczność będzie się niecierpliwić a Władysław dostanie gorączki. Co chwila więc pukam do drzwi sypialni, gdzie się moja *diva* ubiera i grożę wtargnięciem do tego panieńskiego przybytku, jeżeli cierpliwość moja długo jeszcze nadużywaną będzie.

Nareszcie doczekałem się, i wsadziwszy ustrojonego słowika do karety, skoczyłem do niej prędko, zatraskując za sobą drzwiczki.

Jak się spodziewałem, oczekiwano nas w pokoju przyległym do sali koncertowej z niecierpliwością, ale tam, tam, z kądem radbym był słyszeć gwar tysiąca głosów i niecierpliwe tupanie tysięcy nóg, panowała cisza jakaś złowroga.

Uchyliłem lekko drzwi, by spojrzeć na salę. Niestety! — pustki! — W pierwszych rzędach, na których obsadzenie liczyłem najwięcej, zaledwo kilkanaście osób. Dwa razy może tyle w dalszych. Tylko studenci nie zawiedli mnie i zebrali się dość licznie, za co wdzięczny im byłem bardzo, bo choć przedstawiali oni kwotę małą, zajęli trochę miejsca w sali, która bez nich wydawałaby się pustynią zupełną.

Zgrzytnąłem mimowolnie zębami, widząc, jak zły los Władysława zadzwiał z moich usiłowań. Oczywiście, że nie warto było dawać koncertu nato, by do niego z kieszeni jeszcze dopłacić; a należało się teraz takiego rezultatu spodziewać, gdyż godzina była już późna i nikt już nie nadejdzie.

Miałem ja wprawdzie nadzieję, że jeszcze jutro zbiorę trochę grosza za bilety kupione, któ-

rych nabywcy na koncert przyjść nie mogli, — ale wielkich rzeczy być już w tem nie mogło.

Nie zbliżałem się do Władka, i cóż mu zresztą mogłem powiedzieć? Widziałem tylko, że bledszy był niż zwykle i gotował się wyjść na estradę z taką ochotą, z jaką skazańcy idą na rusztowanie.

Ach! ta niewinna z pozoru estrada! ileż razy bywa ona rusztowaniem lub pręgierzem dla biednego plemienia Orfeuszowego.

Udałem się do sali i usiadłem gdzieś na boku. Po chwili koncertant wszedł. Rozległy się przyjacielskie oklaski i szyderczym jakimś szmerem obijały się o ściany.

Mechanicznym ruchem skierowane, zwróciły się ku niemu lornetki i spojrzenia.

Artysta mój nie posiadał zewnętrznych cech swego fachu. Wysoki, szczupły, włosy nosił krótkie, brodę golił, ubierał się starannie, ale bez żadnych oznak szczególnych. Powierzchnownie sądząc, wzięłby go można było za jakiegobądź zwyczajnego człowieka.

Dopiero gdy się wpatrzyło w twarz jego podczas gry lub w czasie rozmowy, gdy się wzięło pod uwagę niezmierną ruchliwość tej fizyognomii a żywość i wyrazistość zapadłych nieco oczu; gdy się wreszcie spojrzało okiem psychologa na

twarz tę, młodą jeszcze, a pooraną brózdami lekkich zmarszczek w różnych kierunkach i pokrytą na skroniach siatką błękitnych żyłek, — wiedziało się napewno, że to nikt inny, tylko artysta — i to artysta całą duszą.

I te ciemne oczy o rzęsach długich, nad którymi zarysowały się cienko brwi czarne; i ten nos długi, suchy, z charakterystycznie ruchliwymi nozdrzami; i te usta blade, skłonne do smutnego uśmiechu, pod wąsem niepretensjonalnie spuszczone, — i to wreszcie czoło, po którym tłumnie przesuwają się mrozące chmury życiowe, zostawiając po sobie, niby śnieg, siwiznę, którą przyprószyły się włosy; — wszystko to nie znamięmionowało kupca, urzędnika, rolnika, piwowara lub jakiegobądź filistra, wszystko świadczyło, że na tem czole anioł harmonii złożył swój fatalny pocałunek, piętnując nim ofiarę swoją na ciężkie życie, bez chwili spokoju i ciszy.

Odpowiedziawszy lekkim uśmiechem na powitalne oklaski, Władysław usiadł, wziął przed siebie wiolonczelę — i po pierwszych taktach towarzyszącego mu pianisty, grać zaczął.

Któżby go po tej grze poznał! — Jakby chłód i pustka sali obwiał go swem technieniem, artysta grał zimno, mechanicznie, bez czucia — a ja

rozumiałem dobrze, czem ta gra przymusowa była dla niego.

Odczuła to i zrozumiała także pani Władysławowa, przede mną siedząca, gdyż poblądła i smutno głowę spuściła.

Po mojej głowie przemknęła myśl pełna obawy: co byśmy też poczęli, gdyby naraz Władek odrzucił smyczek i oświadczył, że grać nie może?

U ludzi, jak on, krok podobny zawsze jest możliwym, a do wszelkich fatalności, jakie się zmówiły przeciwko nam — tego tylko brakowało.

Ale nie! pierwszy numer programu skończył się bez przerw, publiczność jednak zostawił tak zimną, że nikt prawie nie śmiał klaskać. Jeden tylko jakiś pocziwy szlachcic z Ukrainy, którego znałem trochę z widzenia, zaczął walić w olbrzymie dłonie, wydając tem huk taki, że się wszyscy ku niemu zaczęli obracać. Było mu widocznie obojętnem: co i jak się gra, — przyszedł klaskać rodakowi, więc klaskał. Niech bestye Niemcy wiedzą!

Zato, gdy się pokazała na estradzie Frl. Nina, szlachcic ostentacyjnie odwrócił się bokiem i zaczął przypatrywać się tym, co przed chwilą na niego patrzyli, jak na raroga.

W porządku oznaczonym, jeden po drugim przesuwali się numery programu koncertowego;

usposobienie zarówno artystów jak i słuchaczy zdawało się odpowiadać atmosferze listopadowego wieczoru; od czasu do czasu jęczenie wichrów dawało się słyszeć w sali.

A wlokło się to wszystko! — ot, jak wlec się zwykła każda rzecz niemiła, przykra, chybiona, o której chciałoby się zapomnieć jak najprędzej.

Niestety! koncertu tego nigdy nie zapomnę, bo zdaje się, że wszystko co czuli pojedynczo Władek, żona jego i publiczność, — ja połączyłem w sobie i odczuwałem naraz, — nieszczęsny inicjator wszystkiego złego.

Szczęściem, upływał czas i zbliżył się koniec koncertu. Myślałem sobie, że tego, co jutro napiszą recenzenci muzyczni, nie przyjmie chyba do swego albumu pani Władysławowa. Najżyźliwiej sądząc, trzeba było jednak zarzucić grze bezdusność i martwość.

Tak grającego nie słyszałem Władka nigdy. Rzuciłem okiem do programu, zostawało jeszcze Pot-pourri z pieśni ukraińskich, ułożone przez niego samego i będące jednym z ulubionych utworów artysty.

— To go rozgrzeje! — powiedziałem sobie — i zagra po swojemu. Szkoda tylko, że kompozycją tę umieszczono na końcu programu! — Publiczność znużona już, zapóźno.

Obrazem wymownym znużenia był ów szlachcic z Ukrainy, który umieściwszy się przy ścianie, poprostu spał.

Gdy jednak ze skombinowanych wstępnych akordów wiolonczeli wypłynęła czysto i wyraźnie melodia:

Sobrały sie wsi burłaki
Do jidnoi chaty,

szlachcic otworzył oba oczy, przetarł czoło i oparłszy się szeroko o poręcz stojącego przed nim krzesła, wpatrzony w artystę, słuchać zaczął z widoczną przyjemnością.

Jednocześnie ocknął się i drugi Ukrainiec, to jest sam koncertant, i grał, jak grywać zwykł zawsze, z głębokiem uczuciem i mistrzostwem tonu. Świeżość, śpiewność i wdzięk pieśni ludowych, znalazły znakomitych tłumaczy w najmłodszych z instrumentów muzycznych i w ręce, która smyczkiem kierowała.

Szlachcica aż podnosiło coś z krzesła! nie mógł usiedzieć, wstał, wyszedł na środek sali i stanawszy, jak kolos Rodyjski z założonemi w tył rękoma i podniesioną głową, słuchał widocznie poruszony.

Wielka barczysta postać tego słuchacza nie mogła oczywiście nie wpaść w oko Władysława:

i kiedy ja bałem się, by mu nie zrobiła dystrykcji, ona przeciwnie, usposobiła go jeszcze lepiej.

Opowiadał mi później Władysław, że mu się wyobraziło, iż ma przed sobą prawdziwego *burłakę* i step wokoło, i czyste niebo w górze, i — rozkołysało go to, jak rzadko.

Co do mnie, widziałem, że nawet słuchaczom nie przeszkadzały na ten raz demonstracye szlachcica, tak nad wszystkiemi zapanowała potęga muzyki.

Koniec był już tryumfem: cała publiczność co do jednej osoby klaskała, — wielu krzychało *bis* i *fora*, a nasz szlachcic nie zadowolniejszy się już przerażającym klaskaniem, wgramolił się na estradę, potem wpadł jak bomba do pokoju artystów i porywając koncertanta w żelazne swoje ramiona, krzychał:

— A bodaj cię, mościdgeju, z taką grą! Rozrzewniłeś mię, jak Boga kocham!.. A toż my sami mościdgeju burłaki *sobrały sie do chaty, taj żurko* nam jakoś za swoimi. Niechże cię uściskam! My się z sobą znamy z pewnością! Niech mnie w oczy naplują, jeżeli nie jedliśmy razem w Żaszkowie... albo w Bałcie, czy coś. Ja też przypatruję się do ciebie i mówię sobie: znam go! niech mnie paralusz, jeżeli nie znam! Bułhowski Oktawian — wszak przypominasz sobie? —

z Iwanówki! toż to i jest. Ale grasz — niech cię nie znam!

Ledwo się wyrwał Władysław z objęć rozczulonego burłaki, by wyjść ukazać się publiczności. Nikt nie myślał o wychodzeniu z sali, jakby to nie był koniec, lecz początek dopiero koncertu. Wołano: fora!

Trzeba było grać, a ja poznałem i to, że Władkowi chciało się grać jeszcze. Atmosfera naraz podniesiona rozgrzała go. — chciał też zatrzeć wrażenie poprzednich występów.

Zaczął więc grać znowu — a w sali, po ustaniu burzy, zapanowała cisza owa, którą się czi wielkich artystów.

Grał więc Władysław, — ale co to było? nie wiem, i podobno on sam nie wiedział. Improwizacya jakaś, rapsodya — coś, co się nawet właściwie nazwać nie mogło żadnym wyrazem technicznym. Była to harmonijna spowiedź człowieka, który cierpiał dużo, w którego sercu dużo nakłapało gorczy i żalu, i bólu, których wszakże słowami nie dałoby się wyrazić. Chłód otoczenia, przymus konwencyonalnych grzeczności, mrozą serce, każą mu jak drażliwej roślinie kurczyć się, stulać liście, lub nawet nazewnątrz wystawiać kolce. Trzeba ciepła, żeby się serce mogło swobodnie odkryć, wywnętrzyć, wypłakać, — jest

w tem jakaś bolesna rozkosz, która potem przynosi ulgę.

Władysław nawet wobec mnie zaciskał zęby pod razami losu, skarżył się na ludzi rzadko bardzo, choć miałyby się poskarżyć racją, ale spowiedzi tonów potrzebował tak, jak są ludzie, którzy się wypłakać potrzebują.

Zdarzyło się, że właśnie na tym nieszczęsnym koncercie owiała go niespodziewanie atmosfera serdeczna: ów szlachcic, śmieszny ale pocziwy, owa młodzież, która z zapałem błyszczącym w oczach, otoczyła tłumnie estradę, spragniona natchnionej muzyki, — cała publiczność, choć tak jej było niewiele, niechęcą wychodzić z sali i sykająca gniewnie na tych, co się ruszali, — to wszystko usposobiło artystę do wyśpiewania duszy.

I tem właśnie, niczem innem, była improwizacya Władysława. Lecz cóż jest piękniejszego nad śpiew taki, gdy dusza przepełniona uczuciem a śpiewak jest mistrzem w swojej sztuce.

Nie zapomnę nigdy tej gry i tego koncertu, i nigdy też nie wyjdzie mi z pamięci zapał, jaki wywołała ta improwizacya. Mniejsza, że Ukrainiec hukał poprostu, jak u siebie w Iwanówce, gdy mu wołać przychodzi Hawryłę, będącego o wiorstę, — mniejsza, że łyzy mu grochem polały się po twarzy, a sam nie wiedział czego; — była tam

przecież młodzież inteligentna, młodzież dzisiejsza krytyczna, w dodatku przeważnie niemiecka, a jednak i ta, szlachetnym zapalem porwana, krzyczała *hoch!* chwytala artystę za ręce i podniosła go nareszcie w górę z okrzykami.

Domagano się, by grał jeszcze, — i on chciał, ale siły już odmówiły posłuszeństwa.

Wpół omdlonego wyniesiono z estrady.

Nie! nie zapomnę tego koncertu! nie zapomnę pocziwej pani Władkowej, która śmiała się i płakała z radości i wzruszenia, będąc świadkiem niebywałego dotąd tryumfu męża.

* * *

I cóż powiecie?

Przyszło dopłacić do tego koncertu!

Moja pielgrzymka nazajutrz do tych, co po-brali bilety, skończyła się smutno.

Jeden tylko z tych kolektorów, mający pięć biletów zapłacił mi wspaniałomyślnie za wszystkie, choć ich nie rozsprzedził. Niedroga była to wspaniałomyślność, bo tylko na 10 guldenów, — dobre wszakże i to.

Gdzieindziej pozwracano mi bez ceremonii wszystkie, tłómacząc się nagłem niezdrowiem, interesami lub fatalną pogodą.

A byli to rodacy i nie brakło między nimi ta-

kich ukraińców, co to ledwo czupryny swojej nie zaplatali w *oseledec!*

Niektórzy z nich wreszcie znali artystę osobiście i czule ściskali rękę ziomka przy spotkaniu, albo slinili go z obu stron twarzy!

Jeden z takich, gdy go trochę ostro napadłem, odezwał się:

— Kiedyż mój panie, między nami mówiąc, Władysław nie jest żadną znakomitością... zawsze goły...

— O ty! smarowozie złotego cielca! — chciałem zawołać na jegomościa, — ty wiesz, co to jest znakomitość? Ona dla ciebie będzie póty wilkiem żelaznym, póki ci jej nie wyprowadzą na piedestał, uwieńczoną banknotami, póki nie zobaczysz jej w ramach złotych, póki nie usłyszysz: oto ten i ten zebrał tyle i tyle tysięcy za swój koncert, ten a ten sprzedał obraz za cenę wioski i t. d.

Oczywiście, nie powiedziałem mu tego wszystkiego, ale żem miał ochotę — wierzyć.

A możecie jeszcze ciekawi, co się stało z Władysławowstwem?

Udało im się wyjechać nareszcie do kraju, i odtąd już się z nimi nie widziałem.

Podobno otrzymał on posadę jakąś, i jak słyszałem dzieje się im lepiej,

Daj to Boże.

Jeśli się kiedy z sobą spotkamy, — z pewnością wątkiem do pierwszej naszej rozmowy będzie ów pamiętny z wielu względów koncert, którego byłem winowajcą.

LIST BEZIMIENNY.

— Za tydzień tedy przeprowadzimy młodą parę do kościoła, a tymczasem wypijmy zdrowie narzeczonych.

Na to hasło ruszono się z miejsca i wszyscy obecni, za przewodem gospodarza, zaczęli składać życzenia swojej pięknej pannie Annie i wybranemu przez nią panu Karolowi, którzy stanowili istotnie parę dobraną.

I nie tylko pod względem powierzchowności dobrali się szczęśliwie. On miał lat dwadzieścia ośm, ona dwadzieścia; on miał ładny majątek po ojcu, obciążony jednym tylko dożywociem matki, i zajmował nadto, jako inżynier, zyskowną posadę przy kolei; ona wносиła do spółki małżeńskiej, jak powiadano, pół miliona złotych, w papierach procentowych. Więc i wiek i fortuna były odpowiednie...

I na tem jeszcze nie koniec...

— Co mnie najwięcej cieszy w przyszłym

związku Andzi z Karolem — mawiał pan sędzia, ojciec narzeczonej — to przekonanie, że Karol jest wyjątkiem z dzisiejszej młodzieży, że oddaje los dziecka w ręce człowieka prawego, uczciwego i wychowanego w całej surowości zasad moralnych. Bo to, niech sobie mówią co chcą, że młodziemiec powinien koniecznie wyszumieć się! Widzę ja w życiu i miałem liczne przykłady w mojej praktyce sądowej, do czego to prowadzi... Nierządna młodość odbiera człowiekowi najwonniesze kwiaty uczuć i wiary, zostawia po sobie szumowiny jakieś, coś przedwcześnie zużytego, znudzonego, do niczego — i my ojcowie takim bankrutom oddajemy nasze córki. Gdzież tu możliwość szczęścia! jaka gwarancya losu! Karol nie uwikłał się z pewnością w żaden skandaliczny stosunek, żony nie bierze na kilka tygodni miłości, aby się potem zrazić do niej i zniechęcić; ojciec, nieboszczyk Michał, był człowiekiem surowych obyczajów, matka — najzaczniejsza z kobiet, dobre gniazdo — Andzia będzie szczęśliwą.

Mówiący to pan sędzia znanym był, jako urzędnik surowy i niepobłażający. Słuszność wszakże nakazuje przyznać mu, że nie pobrażał i sobie. Nie bardzo go lubiono, ale szanowano.

Z drugiej strony matka Karola w podobny też

sposób wyrażała swoje zadowolenie z projektowanego małżeństwa.

— Najwięcej mnie to cieszy, — mówiła składając ręce — że mój Karol będzie miał żonę z tak zacnego domu. Bo dziś na świecie bywa różnie... Czasem panienka, napozór skromna i cicha, staje się potem nieszczęściem dla męża. Niech nas Pan Bóg ma w swojej świętej opiece! Ale ja o mego Karola jestem spokojną! — dodawała pani Michałowa, tuląc do siebie zarumienioną Andzię — ty go uszczęśliwisz... A z dumą zapewnić cię mogę, że on, mając taki wzór przed sobą, jakim był nieboszczyk mąż mój, a jego ojciec, potrafi być najlepszym mężem. Nie mogę ci nawet, dziecko moje, serdeczniejszego złożyć życzenia nad to, aby Karol dla ciebie był takim, jakim ojciec jego był dla mnie...

Przy tak szczęśliwej harmonii i zadowoleniu ogólnem rodzin — cóż dziwnego, że ów czas przedślubny upływał młodej parze rozkosznie. Nie było dnia bez jakiej zabawy: spaceru, koncertu, teatru, obiadu proszonego, wieczorki z tańcami — wszystko to snuło się wątkiem nieprzerwanym.

Dziś, po obiedzie, na którego koniec trafiliśmy, całe towarzystwo przeszło do ozdobnego pokoju bawialnego i rozsiadło się tu, gwarząc i śmiejąc

się z całą swobodą ludzi szczęśliwych. Lokaj roz-
nosił na srebrnej tacy kawę czarną i likiery. Mło-
dzież skupiła się około fortepianu, matki zajęły
kanapę, a gospodarz zabrał się do codziennej po-
obiedzie party pikiety z radcą, przyjacielem domu.

— Kiedyż spodziewacie się syna — zapytał
radca, rozdając karty — czy nie było nowego
listu?

— Nie, nie było, ale ja Zygmunta lada chwila
się spodziewam. Wpadnie pewno bez zapowia-
dań; to jego sposób, wiesz że w gorącej wodzie
kapany.

— No tak, gorączka jest pan Zygmunt.

— I czy wiesz, że on najmniej z nas wszystkich
cieszy się z małżeństwa siostry?

— A toż czemu?

— Uprzedzenie ma jakieś do Karola. Zwykle
bywa, że ludzie sprzecznych temperamentów sym-
patyzują z sobą; tu przeciwnie, Zygmunt nazywa
Karola pedantem i widocznie go nie lubi. Może
też nasz inżynier sam temu winien trochę, bo go
cokolwiek po mentorsku traktuje, jako starszy
i poważniejszy. Niech się tylko lepiej poznają, to
się pokochają, jestem pewny...

Rozmowa się przerwała, gdyż pikietą należy
do owych gier zazdrosnych, które potrzebują wy-
łącznego zajęcia się niemi. Opowiadano więc od-

tąd jedynie o sekwensach i czternastkach, a sę-
dzia, gdy mu się udało dać partnerowi „kapotę“,
coraz lepszego nabierał humoru.

Tymczasem pani sędzina z panią Michałową
prowadziły ożywioną rozmowę o szczegółach wy-
prawy ślubnej, jedna zaś z obecnych kuzynek
grała na fortepianie melodyjnego walca.

Narzeczeni znaleźli się przy sobie koło okna.
Ona zamyślonem okiem goniła gdzieś w dal, mi-
jając rozwijający się przed nią ruch uliczny; on
obejmował ją miłosnem spojrzeniem, jak skarb,
którego się jest pewnym i który napełnia nas
uczuciem szczęśliwej dumy.

Po niejakej chwili, jakby pod magnetycznym
wpływem utkwionego w nią wzroku, Anna ode-
rwała oczy od owej dalekiej przestrzeni i zwró-
ciła je ku narzeczonemu.

Patrzyli tak na siebie długo, słowa nie były
im śnać do rozmowy konieczne...

— O czym pani myślała przed chwilą, panno
Anno?

— Myślałam o ludziach, którzy nigdy w ży-
ciu nie zaznali szczęścia. Tacy stanowią podobno
większość na świecie. Radabym podzielić się
z niemi wrażeniami, jakich doznaję...

Karol ujął lekko rękę narzeczonej i do ust ją
przycisnął.

— Widzę w tem nowy dowód, że panie lepsze jesteście od nas. Ja np. nie mam się bynajmniej za samoluba — a przecież szczęście doznawane uważam za własność moję niepodzielną i należną. Gdyby mię zaś nieszczęście spotkało, sądzę, że potrafiłbym również znieść je sam, nie szukając podziału...

Anna spojrzała nań z wyrzutem.

— W takim razie cóżby się stało z tem, co stanowi przeznaczenie kobiety w małżeństwie, z obowiązkiem dzielenia z mężem wszelkich ciężarów, jakie życie nań wkłada?

— Proszę mi wierzyć, panno Anno, że nie chciałbym nigdy widzieć łez w oczach jej z mojej przyczyny, gdyż widok ten byłby dla mnie stokrć cięższym do zniesienia niż jakiegobądź inne brzemie życia, któreby mi spaść mogło na barki. Zresztą, jestem tego zdania, że człowiek bywa zwykle sam sprawcą swojej niedoli — nie powinien więc nikogo obarczać ciężarem własnej winy...

Wszedł lokaj zbierać opróżnione po kawie filiżanki i podał sędziemu list jakiś...

— Czy od Zygmunta? — zawołała Anna, zbliżając się z pośpiechem do ojca.

— Nie, moje dziecko, to z poczty miejskiej, pewnie interesant jakiś. Skończmy radco króla,

to pójde do gabinetu i dowiem się o co idzie; nie mam przy sobie okularów.

Grali więc dalej, a panna Anna obracała ów list w rękę, jakby mając powód interesowania się jego treścią.

— „Bardzo pilno“ — odczytała na boku koperty...

Radca roześmiał się.

— Oryginał jakiś nie wie, że komu pilno, ten nie pisze pocztą miejską tylko używa posłańca.

Pomimo tego napisu, sędzia nie śpieszył się z odczytaniem listu, bo mu właśnie karta szła i radca był w niemałym kłopotcie. Nie pozwoliwszy przeciwnikowi przejść Rubikonu i nakarbowawszy na nim sporą ilość punktów, które się zapisywały w osobnej książeczce, zwycięzca wstał, wziął list do ręki i ziewnąwszy lekko, co zwiastowało drzemkę poobiednią, udał się do swojego gabinetu.

— No, zobaczmy co tam pilnego — szepnął, rozcinając kopertę — pismo mi obce zupełnie.

Twarz pana sędziego, nosząca na sobie znamię pewnej surowości urzędowej, niełatwo zdradzała poruszenia wewnętrzne; teraz jednak, w miarę czytania listu, przebiegały po niej oznaki gniewu i niecierpliwości. Zmarszczył brwi naj-

pierw poznawszy, że list był bezimiennym — czytając go zaś, pogardliwie wydał usta.

Oto co stało w liście:

„Szanowny Panie Sędzio Dobrodzieju!

Znając zacne pojęcia i zasady Jego moralne, śpieszę zawiadomić Go o fakcie niewątpliwie dla Niego nieobojętnym. Narzeczonej córki Pańskiej, p. Karol N., pomimo bliskiego z nią podobno ślubu, utrzymuje wciąż stosunek tajemny z młodą osobą, którą ustawicznie nawiedza, a stosunku tego i po ślubie z córką Pańską zaniechać bynajmniej nie zamierza.

Pomimo pospolitego, niestety, w naszych czasach zepsucia obyczajów między młodzieżą, uważałem sobie za obowiązek sumienia zawiadomić o tem Pana Sędziego Dobrodzieja. Na dowód zaś prawdziwości tego co piszę, załączam imię i nazwisko owej młodej osoby, jakoteż adres jej mieszkania“.

Tu następowało jedno i drugie najczytelniej wypisane, a pod tem, zamiast podpisu, podpis: „Życzliwy“.

— Głupstwo! nikczemność! — zawołał sędzia, gniewnie rzucając list odezany na biurko. — Każdy anonim jest godnym pogardy, a zwłaszcza taki! Rzucić na Karola podobne oszczerstwo —

kryje się w tem z pewnością jakaś zemsta osobista a głupia.

Oburzony stróż prawa i sprawiedliwości, nie uspokoiwszy się jeszcze tym sądem, mającym jak widzimy całą słuszność za sobą, gniewnie targał faworyty.

— Społeczność nasza — myślał w dalszym ciągu — doszła do wysokiej deprawacy, kiedy ta plugawa epidemia anonimów tak się między nami rozpościera. Dawniej mściliśmy się także i popełniali bezprawia, ale jawnie, z bronią w rękę, twarz w twarz lub wreszcie przemocą, ale bez maski. Dzisiaj obrażona ambicya pełza i kąsa jak wąż cichaczem, przybierając nawet czcigodne pozory... Co za nikczemność sięgać ukrytą w ciemnościach ręką po honor i szczęście rodziny! plamie oszczerstwem zacnego młodzieńca! Szczęściem znam Karola zbyt dobrze i dość długo żyłem na świecie, by mnie lada czem podejść było można. Ramota twoja życzliwy nikczemniku chybiła celu...

Pan sędzia przedarł raz i drugi złożony papier, poczem rzucił go do kosza.

Pozornie uspokojony tem, wstał, położył się na obok stojącym szezlongu i oczy przymknął jak do snu.

Sen jednak nie przychodził i nie przyszedł, pomimo długiego nań oczekiwania.

— Ztemwszystkiem jednak — myślał dalej — musi w tem być jakaś cząstka prawdy... Przynajmniej nazwisko i adres nie mogą być zmyślone, gdyż łatwo dałyby się sprawdzić, a wówczas cała denuncyacya nie mogłaby znaleźć wiary... Niewątpliwie więc istnieje owa panna, którą Karol znać może; nigdy jednak nie posadzę go o tak przewrotne postępowanie... Choćby nawet miał romans jaki, nie utrzymywałby go dotychczas a tembardziej nie myślałby o systematycznej zdradzie na przyszłość. To fałsz! niepotrzebnie nawet zastanawiam się nad tem lichem oszczerstwem.

To powiedziawszy, obrócił się pan sędzia na boku z widocznem postanowieniem zapomnienia o anonimie, który go zirytował...

Trudno się było jednak uspokoić troskliwemu ojcu. Po niedługim czasie wstał i zaczął chodzić po pokoju. Przechodząc koło kosza, w którym na wierzchu leżał list wpół rozdarty, podniósł go i znowu odczytał.

— Zemsta jakaś! Czuję w tem zemstę osobistą. Nędznik ten spodziewał się widocznie, że zniweczy małżeństwo Karola z Andzię tym świstkiem! Nikczemny!

List poraz drugi poszedł do kosza, a sędzia,

otworzywszy pudełko cygar hawańskich, zaczął z zimną krwią wybierać zpomiedzy nich, obcinać wybrane osobnym do tego nożykiem i zapalać wreszcie takowe starannie.

A tymczasem dyablik jakiś szeptał mu do ucha...

— Bądźcobądź zbytne zaufanie równie jest złe, jak i podejrzliwość. Zostawić takiego listu bez żadnych konsekwencyj nie można. Ludzie są ludźmi, może i Karol mieć jakąś namiętność ukrytą, która potem stanie się zgubą dla żony... Ostrożność nigdy nie zawadzi, a zwłaszcza gdy idzie o szczęście jedyne dziecko!

I nie mógł pan sędzia zaprzeczyć, że była w tem racya.

Jakby dla uwolnienia go od przykrego niepokoju, zapukał w tej chwili do drzwi radca.

— Już nie śpisz?

— Nie, chodź, w porę nawet przyszedłeś... Pokażę ci ów list pilny... Masz, czytaj!

Radca poznał odrazu, że przyjaciel jego jest czemś poruszony, z ciekawością więc zabrał się do czytania, trzymając papier daleko od oczu i podniósłszy głowę. Sędzia chodząc spozierał nań ukradkiem.

— No, cóż ty o tem myślisz?

— Łgarstwo jakieś i basta!

— I ja też tak myślę.

— Zresztą, choć wiem, że z ciebie wielki rygorysta, przyznam się, tak, między nami, że gdyby nawet Karol i miał jakiś stosunek, jeszczebym w tem zbrodni nie widział. Przecież każdy z nas zamłodu...

— Proszę cię! — przerwał sędzia — najpierw nie każdy, a potem, przynasz sam, że żaden uczciwy młodzieniec nie będzie utrzymywał stosunków, żeniąc się z dzieckiem porządnego domu.

— To też powiedziałem odrazu, że to kłamstwo.

Milczeli obaj przez chwilę. Radca odczytał znowu ów list fatalny.

— Wiesz co? — przemówił wreszcie — jabym dla spokoju uważał za potrzebne udać się według podanego tu adresu i poznawszy ową pannę, wybadać ją zręcznie, co tam było z Karolem. Bo chyba znać ją musi...

— To znaczyłoby szpiegować człowieka, któremu się pozwoliło być narzeczonym córki. Nie, mój kochany! możeby to było praktyczne, ale ja się tego nie chwycę. Przywykłem sądzić, śledztwo nie moją rzeczą...

Znowu milczenie, które przerwał nagle sędzia, zrobiwszy snąć postanowienie niezłomne.

— Muszę się rozmówić z samym Karolem.

Zapytam go wprost. Niech on temu kłamstwo zada, a będę miał spokój. To człowiek prawy, w czemkolwiekby zawinił, kłamać nie będzie. Poproś go, niech tu przyjdzie na chwilę. Chcę z nim być sam na sam...

Gdy się to wszystko działo w gabinecie gospodarza, tymczasem w salonie młode towarzystwo bawiło się w najlepsze i Karol, wchodząc do pokoju przyszłego teścia, miał twarz szczęśliwego człowieka.

— Mam cię o coś zapytać — przemówił do niego sędzia, wskazując miejsce naprzeciwko siebie. — Czy znasz tę osobę?

Tu podkreślił paznogciem ustęp listu, gdzie było nazwisko i adres i pokazał go Karolowi, patrząc nań uważnie.

Młody człowiek zbladł nagle, co na jego zdrowej i czerstwej twarzy odbiło się tem wyraźniej... Bez wahania jednak odpowiedział:

— Znam ją.

— List ten bezimienny, który otrzymałem przed godziną, ostrzega mnie, że utrzymujesz z nią stosunek stały.

— To prawda — rzekł Karol śmiało.

— Jakto? i dotychczas?..

— Tak, panie sędzio...

Tego się sędzia nie spodziewał. Nie rozumiał

podobnej otwartości. Nie wiedział co o tem myśleć. Tymczasem indagowany przebiegł oczyma list cały, a na jego twarzy odmalowało się cierpienie. Widocznem było, że nie spodziewał się odkrycia swojej tajemnicy.

— W liście tym — przemówił — wszystko jest prawdą, brakuje tylko jednej rzeczy: oto stosunek mój z tą osobą nie jest stosunkiem miłym i w niczem innym uczuciom moim i obowiązkom przyjętym nie zawadza...

Twarz sędziego rozjaśniła się.

— No, widzisz, — rzekł — rad jestem, że po rozwiązanie tej zagadki udałem się do ciebie wprost. Byłem pewnym, że dowiem się prawdy i że ona przedstawi cię w takim świetle, w jakim cię widzieć przywykłem. Ale bądźże szczerym i otwartym dalej. Sądzę, że mam prawo do twego zaufania. Wytlómacz mi więc, jakiego rodzaju jest ów stosunek, jeżeli, jak mówisz, nie miłosnego?

— Owszem, szanowny panie, mogę powiedzieć i to... Powierzono mi opiekę nad tą osobą; dlatego prawdę mówi anonim, że stosunku tego zerwać nie mogę i po zawarciu przeze mnie małżeństwa z panną Anną.

— Opiekę... — mówił z niedowierzaniem pe-

wnem sędzia — jesteś tej panny opiekunem. Więc chyba to osoba niemłoda już i niepowabna?...

— Przeciwnie, panie, ma lat siedemnaście i powierzchowność bardzo ujmującą.

— Więc wprowadzasz mię z zagadki w zagadkę. Niełatwoby przyszło komu innemu uwierzyć w prawdziwość i bezinteresowność podobnej opieki młodego człowieka nad młodą i ładną dziewczyną, ja przecież wierzę ci. Potrzebuję jednak zato dowiedzieć się od ciebie, kim ostatecznie jest ta osoba i kto ci powierzył nad nią opiekę? Dalej nie pójde!

— Niestety! szanowny panie, nie mogę odpowiedzieć na to pytanie, bo nie mam prawa.

Stanowczość, z jaką powiedział to Karol, dotknęła znów boleśnie sędziego.

— Nie możesz mi powiedzieć?

— Nie mogę nawet panu!

— I musi to pozostać tajemnicą dla wszystkich bez wyjątku?

— Tak, szanowny panie, bez wyjątku.

— Więc ja — rzekł stanowczo sędzia — w imieniu twojego szczęścia i szczęścia Andzi, która cię kocha z całem bezgranicznem zaufaniem młodości, wymagam od ciebie nieodwołalnie, abyś mi tę zagadkę wyjaśnił, nie nie ukrywając. Gdyby tu nie chodziło o moje dziecko, poprzestałbym

z pewnością na zapewnieniu twojem, że nie zdrożnego niema w tej tajemnicy i nie cofałbym ci mojego zaufania, które posiadałeś dotychczas w zupełności. Ale gdzie idzie o los dziecka, tam ja muszę się zaprzeć swoich osobistych ufności i sympatyj i żądać, jako ojciec, aby ten, któremu córkę powierzam, nie miał żadnej ciemnej karty w życiu.

— Panie sędzio, — zawołał z uczuciem niekłamanem Karol — zaręczam, że w tem wszystkim niema nic, coby jakibądź cień rzucało na mój charakter...

— Chciałbym ci wierzyć, Karolu, ale owa twoja tajemnica! 'To, co jasne i czyste, osłaniać się nią nie potrzebuje. Jest więc snąć w tem coś wątpliwego.

Karol spóchnurniał i zamilkł. Sędzia przeszedł się kilka razy po pokoju.

— Posłuchaj mnie — rzekł zatrzymując się przed młodzieńcem. — Nie znam, nie domyślam się wcale przyczyny twojego uporu. Ale pomyśl że zagraża on małżeństwu twemu, że z twojej przyczyny może być wszystko zerwanem. Bo przypuśćmy nawet, że ja poprzestaję na tłómaczeniu twojem, iż jesteś opiekunem tej młodej osoby, na mocy danego ci przez kogoś prawa, to przecież i w takim razie, dla szczęścia dziecka mego, za-

żądaćbym musiał od ciebie, abyś ten stosunek opiekuńczy zerwał przed ślubem. Opieka w takich warunkach jest niebezpieczną, mogła nią nie być dotychczas a stać się odtąd. Aby ci dać dowód zaufania, gotów jestem wreszcie wyrzec się prawa do zbadania tej tajemnicy, ale daj mi słowo uczciwego człowieka, że dziś jeszcze zerwiesz tamten stosunek i na zawsze...

— Nie mam, niestety, prawa! — zawołał Karol — osoby tej odstąpić nie mogę, mam względem niej obowiązki!

— Kręcimy się więc w błędnem kole, — rzekł sędzia — z którego jedynie nas wyprowadzić może otwarte i szczere wyznanie twoje. Żądam tego nie jako człowiek i przyjaciel twój, lecz jako ojciec Andzi. Z miłości dla niej, powinieneś zrobić ustępstwo, którego wymagam...

— Drogi panie i ojcie! — rzekł z boleścią Karol — niema rzeczy, niema ofiary, którejbym nie poniósł dla panny Anny. Gdybym miał ją stracić... życie moje byłoby złamane. Ale każdemu wolno poświęcać tylko siebie, tajemnica zaś moja jest własnością cudzą, rozporządzać nią nie mogę...

— Ha! — rzekł posępnie sędzia — sumieniu twojemu gwałtu zadawać nie chcę. Jednak, zanim treść rozmowy naszej stanie się komubądź wia-

domą, zanim będę zmuszony porobić kroki w celu odwołania waszego ślubu, namyśl się, Karolu, daję ci czas do jutra. Pamiętaj jednak, że ja od żądania mego nie odstąpię. Nie mogę zaprzeczyć się zasad, któremi rządziłem się całe życie, w chwili gdy mam do spełnienia jeden z najważniejszych: obowiązek ojca.

Powiedziawszy to, sędzia podał rękę Karolowi i rozeszli się obaj do gruntu poruszeni...

Nazajutrz zrana posłaniec publiczny przyniósł do domu tego dwa listy. Jeden adresowany do sędziego składał się zaledwo z kilkunastu wyrazów, w których Karol, stosownie do umowy, zawiadamiał ojca swej narzeczonej, iż sumienie nie pozwala mu być posłusznym jego żądaniu. Wraz z oświadczeniem tem składa on szczęście swoje w ręce sędziego i nie przestąpi progów jego domu, aż go sam wezwie.

List do narzeczonej zawierał te słowa:

„Nie ostrzegło mnie wczoraj przeczcucie serca, że mówiąc o nieszczęściu, którego człowiek z nikim dzielić nie powinien, mówiłem o bliskiej przyszłości własnej. Nieszczęście takie spadło na mnie, droga panno Anno, w postaci listu bezimiennego, który oskarżył mnie przed ojcem pani o taką przewrotność, że jej nawet wymienić tu nie śmiem... Pozory są przeciwko mnie, a skrepo-

wany tajemnicą nie mogę położenia wyjaśnić tak, by mię to z zarzutu całkowicie oczyścić mogło. Cokolwiek bądź się stanie, jakibądź obrót powzięmie fatalny dla mnie zbieg okoliczności, chciałbym mieć tę szczęśliwą pewność, że przynajmniej u pani słowa moje znajdują wiarę zupełną. Zaręczam, że w bolesnem dla mnie powikłaniu winy mojej niema i że oskarżenie, pomimo pozorów prawdy, jest oszczerstwem. Gdy zaś wobec możliwości postradania szczęścia, które już za swoje uważałem, nie składałem zeznania, któreby mnie uniewinniło, pani uwierzysz, że mieć muszę ważne powody milczenia... Ufam, że ciężka próba, jaka niespodziewanie spadła na mnie, skończy się dla nas pomyślnie i tylko ta nadzieja pozwoli mi znieść bez rozpaczycy ciężar oddalenia od pani, którego każda chwila będzie mi się wydawała rokiem...“

Następował podpis.

Cała noc przeszła bezsennie Karolowi na pisaniu tych dwóch krótkich listów. Napróżno snać usiłował znaleźć punkt wyjścia z fatalnej kolizji. Sto razy pisać zaczynał i znowu rzucał. Pragnienie własnego szczęścia walczyło z poczuciem obowiązku i skrupułami sumienia, a tysiące sprzecznych uczuć i myśli wichrzyły w głowie i w sercu...

Duch kusiciel zapytywał wciąż sceptycznie:

czy to zgodne z rozsądkiem narażać na zgubę szczęście własne, a nawet szczęście narzeczonej, dla jakiegoś skrupułu sumienia, którymby się na jego miejscu może nikt inny nie kępował?

Na to odpowiadała moralność, że są przecie dla uczciwego człowieka rzeczy droższe nad szczęście osobiste i że kwestya korzyści własnej nie rozstrzyga kwestyi słuszności...

Gdy bliska przyszłość zagrożona w swojej pewności wystawiała kuszące obrazy szczęścia, z mroków przeszłości wyzierały widma jakieś posępne o surowem obliczu obowiązku.

A kiedy wola młodzieńca, stanowiąca stronę silną jego charakteru, słabła w tej walce, jakby dla podtrzymania jej, nadzieja odzywała się ze słodką pociechą.

Czyż postępowanie sędziego — mówiła ona — nie zdradza wyraźnie, że on pierwszy cierpiałby na zerwaniu ułożonego małżeństwa? Czyliż nie robił ustępstw ze swej strony, by usunąć przykre nieporozumienie? Jeżeli więc upiera się na jednym punkcie, czy to nie jest z jego strony próba tylko charakteru przyszłego zięcia, po której obdarzy go podwójną wiarą i zaufaniem?

Jaki był rezultat tej męczącej nocy — już wiemy.

Troskliwe oko matki spostrzegło odrazu jej

ślady na twarzy Karola, gdy przyszedł zrana oddać dzień dobry. Musiał się więc tłumaczyć, że miał do przygotowania referat jakiś i zapowiedział zarazem, że zajęcia na kolei nie pozwolą mu dnia tego wrócić na obiad.

Był pewnym, że matka pójdzie odwiedzić swoją ukochaną synową, jak już nazywała pannę Annę i wołał, aby o tem co zaszło powiadomił ją kto inny, nie on...

Tymczasem około południa, bez zapowiadań się, jak ojciec przypuszczał, wpadł do domu państwą sędziowstwa syn ich, Zygmunt, student politechniki w Rydze.

Pieszczony niezmiernie przez matkę i całą rodzinę, a nawet na surowość ojca mający swoje sposoby, przywykł Zygmunt widzieć za pojawieniem się swoim w domu same rozpromienione twarze — zdumiony został, znalazłszy w tym razie wszystkich powarzonych i smutnych.

— *Per Bacco!* co tu się stało? Andziu! dali-bóg zapłakana! Mamo, co to takiego? Czy ja się nie dowiem od nikogo, dlaczegoście tak posmuceni... Może kochany Karolek co przeszkrobał? O! tożbym mu dał, nauczkę! Mówcież, na Boga, bo skonam z ciekawości...

Sędzia zamknął się z synem w gabinecie, aby go wtajemniczyć w powody rodzinnego smutku,

a zarazem poskromić zawczasu wybuchy burszowskiej jego fantazyi.

Po wysłuchaniu całej rzeczy, z ledwo powstrzymanem oburzeniem, Zygmus bąknął z zaciśniętymi zębami:

— Niechno ja się z nim rozmówię!

Sędzia zmarszczył się groźnie...

— Tylko proszę cię bardzo: nie mieszaj się w to! Wiem że go nie lubisz, o to mniejsza. Ale dopóki ja żyję, do mnie należą sprawy rodzinne i nikomu w prawa moje wdziierać się nie pozwalam. Pamiętaj więc, Zygmuncie, żadnej braweryi! Zakazuję ci stanowczo, jako ojciec, co ma moc i władzę żądania od dzieci posłuszeństwa. Jeżeli cicho siedzieć nie myślisz, wracaj do Rygi.

— Więc już nie będzie ze ślubu?...

— Ślub musi być odłożony na później, pozór znajdziemy łatwo. Ludzie nie potrzebują tymczasem wiedzieć co zaszło, co się zaś stanie — zobaczymy. Ty sobie pamiętaj, że ja Karola cenię i mieć w nim zięcia chcę...

Zygmunt zamilkł. Wiedział dobrze, iż w chwilach takich spierać się z ojcem nie można. Pozorna jednak uległość była tylko maską. Zapaleńcowi, który tem większe rościł pretensye do znaczenia w rodzinie, im mniej miał do tego praw, wskutek swej niedojrzałości, wydało się, że po-

winien koniecznie wystąpić, jako mściciel pokrzywdzonej siostry. Pochlebiała mu sama rola; że zaś Karola nie cierpiał oddawna, wierzył w całej rozciągłości anonimowi i nie wątpił, że człowiek przeznaczony siostrze jego za męża, był niekczemnikiem.

Wróciwszy wieczorem do mieszkania, które obecnie wraz z matką zajmował, Karol zastał ją mocno zaniepokojoną i czekającą nań z niecierpliwością. W domu sędziego dowiedziała się pani Michałowa niewiele, zachowanie się jednak rodziny całej, smutek i bladeść Anny, dały jej dużo do myślenia. Że zaszło nieporozumienie jakieś — było to widocznem. Ale cóż to za tajemnica przed matką? Czemuż jej przedewszystkiem Karol nie powiedział całej prawdy...

Zapytamy o nią teraz z żalem, wyrzutami i łzami, młodzieniec namyślał się przez chwilę, jakby szukając najlepszego sposobu uspokojenia matki.

— Matko droga — przemówił wreszcie, siadając u nóg jej na stołeczku i patrząc w oczy z najpogodniejszą twarzą, na jaką się mógł tylko zdobyć w tej chwili. Nic w tem zatrważającego niema. Gdym był jeszcze na uniwersytecie, biedna wdowa, znajoma moja, umierając, powierzyła mojej opiece dziecko swoje, dziewczynkę

wówczas dziesięcioletnią. Sierota owa oddana była na pensję, gdzie mieszkała i uczyła się razem, ja zaś zobowiązałem się słowem dowiadywać się o nią, aby nie miała jakiej krzywdy, odbierać w pewnym miejscu niewielką kwotę przypadającą dla niej rocznie i wydawać takową na jej potrzeby...

— Nigdy mi o tem nie wspominałeś synu! — odezwała się pani Michałowa z akcentem zdziwienia.

— Tak, matko, bom się zobowiązał nie mówić o tem nikomu. Były do tego powody ważne, głównie materyalne.

— No, mów dalej, mów!

— Otóż, matko droga, dziecko stało się dziś panną, ukończyła pensję i kształci się dalej na nauczycielkę. Pomimo to, obowiązek mój względem niej nie ustał i trwać będzie, dopóki nie wyjdzie za mąż. Zresztą, przyzwyczajona od lat tyłu widzieć we mnie jedyne go człowieka, który się zajmował jej losem, udaje się do mnie w każdej potrzebie, jak do przyjaciela — i oto taki jest nasz stosunek. Ktoś złośliwy wytłómaczył to sobie inaczej albo rozmyślnie chciał rzucić potwarz na nas oboje i w tym celu zawiadomił sędziego listem bezimiennym o tej mniemanej przewrotności mojej...

— Co za nikczemność — zawołała pani Michałowa. — Ale przecież sędzia nie mógł chyba potwarzyć takiej uwierzyć!

— To też i nie uwierzył, matko. Ale dla uspokojenia własnych skrupułów żąda ode mnie, abym mu odkrył wszystkie szczegóły tej sprawy; ja zaś żądaniu temu odpowiedzieć nie mogę, gdyż zobowiązałem się o nich nie mówić nikomu.

— A powiedziałeś mu wszystko, jak mnie?

— Prawie wszystko.

— Wie, że jesteś opiekunem?

— Wie, ale tego mu nie dosyć. Ja zaś mówić więcej nie mogę.

— Przysiękłeś?

— Przysięgłem, matko.

Pani Michałowa westchnęła i zamilkła. Świętość przysięgi zamykała i jej usta.

— Więc cóż będzie? czyż o to miałyby się rozbić wasze szczęście? Na Boga żywego, Karolu mój, znajdź jakiś sposób zmiękczenia tego surowego człowieka...

— Czas to robi, matko moja! Sędzia, przekonawszy się, że wymaganie jego niemożliwe, odstąpi sam. Tymczasem musimy przecierpieć. Wierzę, iż Anna nie zmieni swego dla mnie uczucia.

— Kochana, biedna Andzia! co ona dziś już

cierpi! Zapomniałam, że mam list od niej do ciebie. Masz... niech to cię pocieszy, mój synu.

Karol otworzył skwapliwie list od ukochanej. Niósł on mu istotnie pociechy niemało: ufność bez granic, miłość niezachwianą, zapewnienie wierności — cokolwiekby zaszło i wiecznie — do śmierci!

Podeczas, gdy Karol odczytywał list po kilka razy i mimowolnym ruchem do ust go przyciskał, matka jego chodziła po pokoju zafrasowana.

Nie mogła odmówić jasności opowiadaniu syna, uznawała rację szanowania zaprzysiężonej tajemnicy, lecz z tem wszystkiem ciężko jej było na sercu, chciała, a nie mogła ulżyć jedynemu dziecku boleści.

— Ach, ten list nieszczęsny! list opłakany — powtarzała — cóż to za wróg twój go napisał! Zły duch chyba kierował jego ręką. Nie wpadasz na myśl, ktoby to mógł pisać?

— Nie, matko. A cóżby mi z tego przyszło; zrobił on już swoje..

Wistocie łatwo było Karolowi wiedzieć prawie napewno, kto podszył się pod ów anonim.

Jeden z tej plagi każdego wielkiego miasta, która się na ironią „złą młodzież“ nazywa, znęcony widokiem młodej i pięknej dziewczyny, której wypadało częstokroć o zmroku powracać

z pensji do mieszkania, zaczął ją prześladować, a raczej napastować, zwyczajem Don Żuanów ulicznych. Gdy ją raz Karol odwiedził, poskarżyła się na to opiekunowi. W kilka dni potem traf zrządził, że odprowadzając przeleknioną dziewczynę do domu, był świadkiem naocznym bezwstydnego zaczepki Lowelasa. Oburzony tem młodzieniec porwał silną ręką napastnika za kołnierz i odrzucił go precz tak gwałtownie, że ten straciwszy równowagę, upadł na bruk.

Jego to niewątpliwie sprawką był ów list bezimienny i trafnie odgadł sędzia, że dyktowała go zemsta osobista.

— Karolu mój! — odezwała się pani Michałowa — ja chcę poznać tę panienkę...

— Skoro matka sobie życzy, — odrzekł z pewnem wahaniem się — dobrze.

— Nie dlatego abym ci nie wierzyła, broń Boże! Znam pocziwe serce twoje i prawy charakter; ty nie byłbyś zdolny oszukać nikogo, a cóż dopiero narzeczonej i matki własnej. Ty masz ojca twego naturę, brzydzisz się wszystkim co nieuczciwe i zdrożne, na twojem, jak na jego życiu, żadnej plamy być nie może. Ale właśnie dlatego, że ci wierzę, chciałabym poznać pupilkę twoją, bym mogła potem i sama świadczyć lu-

dziom, że w stosunku waszym niema nic zdrożnego. Wszak mię z nią poznasz, synu, prawda?

— Dobrze, matko droga, kiedy każesz. Po wyjściu z pensyi zamieszkała ona przy rodzinie jednego urzędnika, gdzie daje lekye i gdzie ją cenią i kochają. Szczęśliwa będzie, gdy jej powiem, że matka moja poznać ją pragnie. Ona rodziców swoich tak dawno straciła, a ojca nawet nie pamięta...

— Biedne dziecko — rzekła pani Michałowa.

I na tem się rozmowa syna z matką skończyła.

Nazajutrz, wracając z biura, Karol wstąpił do jednej z pierwszorzędných cukierni, gdzie przesiadywać zwykł o tej porze pan radca, przyjaciel sędziego. Potrzebował się z nim, jako z powiernikiem domu tego, rozmówić. Radca przesiadywać zwykł aż w trzecim pokoju „na górce“, gdzie czytając gazety, lubił spozierać w przestankach na rozegrywające się przed nim partye bilardowe.

Przechodząc przez pokój drugi, Karol zastał w nim grono młodzieży, gwarnie obsiadającej stolik marmurowy, na którym stały szklaneczki mrożonego ponczu rzymskiego i oplatane butelki likierów. Był w tem towarzystwie ów niefortunny lowelas uliczny, był i Zygmunt, ale Karol nie spostrzegł ich wcale...

Radcy na miejscu jego nie było, więc bohater nasz wracał za chwilę tą samą drogą, gdy od okrągłego stolika doleciały go wołania:

— Oto szanowny opiekun sierot pełnoletnich. Rycerz bez trwogi i skazy!

Okrzyki te, przeplatane śmiechem głośnym, zwróciły jego uwagę. Spostrzegłszy Zygmunta, wstrzymał się mimowolnie, gdyż brat Anny, choć wartogłów, nie przestawał dlań być jej bratem.

Kto inny wolałby uniknąć spotkania, gdyż miny biesiadników były wyzywające.

— Cóż tam, panie szwagrze! — wołał zbliżając się Zygmunt — siostra zapytuje, jak się ma sierotka twoja?

— Nie kompromitujże siostry — odrzekł półgłosem Karol.

— A to mi się podoba! — wybuchnął tamten — ciekawa rzecz, kto z nas ją więcej skompromitował! Nie myśl też wcale, że ci to ujdzie na sucho!

— Bądźcobądź, tu, i *na mokro* nie wypada nam o tem mówić.

Zimna krew, z jaką powiedział to Karol, patrząc spokojnie w oczy rozognionego młodzieńca, wstrzymała dalszy bieg rozigranej jego fantazyi, pozwolił nienawistnemu sensatowi odejść i wrócił do swego towarzystwa.

— Jakoś zamiękko z nim się obszedłeś!

— Należało mu przecież dobitniej wyrazić uczucia. Potraktował cię prawie z góry!

— Nie troszczcie się! — rzekł Zygmunt — między nami jeszcze się nie skończyło. Zobaczymy. *Rira bien, qui rira le dernier!*...

Autor bezimiennego listu snąć nie był jeszcze zadowolonym z rezultatu, gdyż nie przestawał podniecać Zygmunta przeciw Karolowi. A zręcznie się brał do tego i rzecz sama musiała być łatwa, gdyż nazajutrz po spotkaniu owem, zrana, dwóch wytwornych elegantów z ufryzowanemi grzywkami zjawilo się w gabinecie Karola.

— Przyszliśmy w imieniu pana Zygmunta żądać od pana satysfakcyi honorowej.

— Zaco? — zapytał zimno gospodarz, wskazując przybyłym miejsca.

— Przyjaciół nasz czuje się obrażonym po-dwójnie: raz, jako brat panny, którą uważa za skompromitowaną postępowaniem pańskim; drugi raz, osobiście, okazywanem mu systematycznie przez pana lekceważeniem.

Karol zdawał się namyślać przez chwilę. Wzdając to, głos zabrał sekundant drugi:

— Jesteśmy upoważnieni — rzekł — do oświadczenia, że pan Zygmunt postanowił bądź-

cobądź strzelać się z panem. Gdybyś więc dał nam odpowiedź odmowną...

— A toż dlaczego? — przerwał mu Karol — jeżeli strzelanie sprawia Zygmunto wi tyle przyjemności, czemużbym go jej pozbawiał! Jestem gotów... dziś jeszcze świadkowie moi ułożą z panami rzecz całą.

Po wyjściu złotych młodzieńców, ucieszonych rezultatem swojego poselstwa i smakujących już w wyobraźni szampana, obficie lejącego się na zgodę, Karol z uczuciem niesmaku potarł czoło.

Pojedynek w takich warunkach, z przeciwnikiem, którego pomimo lat dojrzałych za pół-dziecko uważać mógł, przedstawiał mu się, jako wierutne głupstwo.

Ale byłże jaki inny sposób wyjścia w tym razie wobec bijącego w oczy fakt, że młody zapaleniec zawziął się na niego i wyraźnie szuka awantury. Żadna perswazyja skutku nie odniesie; każdy opór bardziej go jeszcze rozogni. Może właśnie huk pistoletu i cała komedia rozprawy honorowej są jedynemi środkami ostudzenia rozpalonej a niemądrej głowy.

Burszowska mania pojedynkowania się o byle co owładnęła nią zupełnie, a chcąc uspokoić mania-ki, najlepiej postąpić w duchu jego mania-ctwa. Chce gwałtem pojedynku, niech go ma!

wszakże i tak jemu, jako bratu Anny, żadne nie może grozić niebezpieczeństwo.

O niebezpieczeństwie własnem nie pomyślał nawet Karol. Cała ta awantura była mu właśnie tem przykrejszą, że miał ją za dzieciństwo i wstyd mu było, że się w nią zamieszał.

Z tem wszystkiem, jako człowiek systematyczny, nie zaniedbał Karol żadnej formalności. Po wyprawieniu swoich świadków wieczorem napisał dwa listy, do matki jeden, do sędziego drugi, w których zawarł — na wszelki wypadek wolę swoją ostatnią co do majątku i kilku ważniejszych interesów. Ponieważ zaś zawiadomiono go, że spotkanie ma się odbyć zrana o 9-ej w lasku bielańskim, oddając dobranoc matce, uprzedził ją, że jutro wstanie bardzo wcześnie i prosił, aby żadnej sobie z tego subiekty nie robiła...

Ale pani Michałowa, podrażniona i smutna ciągle wskutek sprawy owego listu bezimiennego, nie mogła dobrze sypiać nocami. Tym razem okazała nawet nie zmróżyła; trwożące mary jakieś nie dawały jej zasnąć, choć odzęgnywała się od nich krzyżem świętym i modlitwami.

Karol, wstawszy cichutko, aby matki nie zbudzić, z największem zdziwieniem ujrzał ją siedzącą za stołem, na którym parująca herbata i kawa czekały tylko na młodego gospodarza.

Choć mu śpieszno było, nie mógł się od śniadania tego wyprosić, zwłaszcza, że widoczne ślady cierpienia na twarzy matki odbiły mu się boleśnie w sercu.

— Jakże spałeś, synu, czy dobrze?

— Wybornie, matko droga. To jeden z przywilejów mojego wieku, że się śpi dobrze, pomimo trosk i zmartwień...

— O dziecko moje! cobym ja dała zato, żebyś tych trosk nie miał. I może nie ja sama tylko boleję nad tem, duch twego ojca niepokoić się musi także.

— Duch mego ojca? — powtórzył Karol z tajemnem drżeniem — jak to matko mam rozumieć?

— Myślę, że ci, którzy przed nami zeszli ze świata, a kochali nas za życia, interesują się losami naszymi i po śmierci. Ojciec twój nie schodzi mi dziś z oczu; ile razy zadrzemać chciałam w nocy, zjawiał się przede mną smutny i blade... Zmówiłam koronkę za duszę zmarłych i pójdę jeszcze do kościoła pomodlić się na jego intencją... Nadchodzi już ósma rocznica zgonu. Ośm lat a mnie się zdaje, że to było wczoraj! Karolu mój! gdybyś mi był nie został pociechą jedyną, nie przeżyłabym tego ciosu!

Słowa matki robiły dziś na synu wrażenie

drażniące. Usiłując utrzymać krew zimną, pił szybko kawę, aby rozmowę tę przerwać coby prędzej.

— Cnoty i zasługi ojców błogosławieństwem Bożem spływają na dzieci; powinienes być szczęśliwym, mój synu, bo ojciec twój był człowiekiem bez skazy — mówiła p. Michałowa dalej.

Karol skończył pić i schylił się do rąk matki.

— Do widzenia, matko droga, muszę iść...

— Idź z Bogiem, dziecko — ja także wyjdę za chwilę na mszę św. do kapucynów...

Wybiegłszy z domu, Karol w cukierni na rogu ulicy połączył się ze swoimi świadkami i razem powozem na nich czekającym udali się na Bielany...

Młodzież, bawiąca się w pojedynki, których jedynym celem i racją jest szampan i... szampan, nie zadaje sobie pracy, aby zachować należyłą ostrożność i dyskrecję.

Mówi się o tem z pewną brawurą w miejscach publicznych, opowiada się z przechwałkami o roli swej w poprzednich takich awanturach i tym sposobem żaden prawie pojedynek nie odbywa się w tajemnicy zupełnej.

Temu przypisać należy, iż pan radca, będąc wieczorem w cukierni, mimowolnie się prawie dowiedział, że nazajutrz zrana, na Bielanach ma być pojedynek Zygmunta z Karolem.

Jako przyjaciel rodziny, nie miał oczywiście nic pilniejszego, jak donieść o tem natychmiast sędziemu.

— Błazen! — zawołał gniewnie ojciec Zygmunta, ściągając brwi — najsurowiej mu zakazałem mieszać się w tę sprawę. Ale dobrze przynajmniej, żeśmy się dowiedzieli dość wcześnie. Jak się tylko panicz pokaże, będzie musiał zabrać swoje mańatki i jechać ze mną na kolej. Sam bilet mu kupię i do Rygi wyekspeduję. A za karę nie pozwolę mu przyjechać na ślub siostry. Ci smarkacze nie szanują żadnej władzy. Dziwię się tylko, że Karol, człowiek poważny, wdał się w taką awanturę.

Długo czekał sędzia na Zygmunta, ale ten przewidując może co go czeka, nie wrócił do domu wcale.

— To dobrze: — powiedział sobie sędzia — pojadę na Bielany, głupstwa nie dopuszczę, owszem korzystając z okazji, pogodzę tego warchołę z Karolem i obu zabiorę tu do nas...

Kładąc się spać, wydał rozporządzenie, aby powóz i konie gotowe były na godzinę siódmą najdalej.

Woźnica nieprzyzwyczajony do tak ранego wyjazdu pana, spóźnił się o dobre pół godziny,

tak, że dopiero około ósmej sędzia puścił się w drogę, rozkazując jechać jak najśpieszniej.

Dzień był pogodny, ciepły, majowy, po dobrej drodze i dobrymi końmi było jeszcze czasu aż nadto do przebycia przestrzeni dzielącej Bielany od Warszawy.

Ale któż z nas nie wie, że gdzie śpieszno, tam czyha zawsze лихо jakieś, by opóźnienie sprowadzić? W rzeczach ważnych należy zawsze liczyć na podobne nieprzewidziane przypadki — a i to jeszcze nie zabezpiecza nas zupełnie.

O wiorstę za rogatką zepsuło się coś w powozie sędziego, trzeba było poświęcić z pół godziny na naprawę. Sędzia, któremu chodziło, aby jaknajprędzej stanąć na miejscu, wyszedł z powozu i udał się pieszo w drogę, rachując, że w każdym razie zyska na czasie łatwiej, niż czekając aż woźnica da sobie radę. Uszedł w ten sposób dwie wiorsty, a gdy go dopędził wóz jakiś jadący w kierunku Bielan, zabrał się nań, ofiarując wieśniakowi co chce, byle go wiozł jaknajprędzej...

Tymczasem w lasku bielańskim o umówionej godzinie stawili się przeciwnicy wraz ze świadkami i doktorem, w którego roli występował felczer jakiś, do podobnych okazji używany.

Miano się strzelać „do baryery“; sekundanci

odmierzyli starannie kroki, nabili pistolety i wezwali uroczyście strony do pogodzenia się.

— Gdybym się chciał godzić — zawołał Zygmunt — nie potrzebowałbym na to jechać na Bielany.

— Co do mnie, — dodał Karol — powtarzam, iż nie miałem żadnej do pana Zygmunta pretensyi i stawilem się tu jedynie na stanowcze jego żądanie...

— Więc nie traćmy czasu! — bo przecież i ja odwoływać wezwania nie myślę...

Stanęli więc przeciwnicy na oznaczonych miejscach, świadkowie podali im broń i zaczęli komendę...

Karola zimna krew nie opuszczała; blady był, ale twarz najmniejszej nie zdradzała zmiany, przeciwnie Zygmunt zdawał się wzburzony widocznie.

Gdy z podniesionemi pistoletami dochodzili raz pierwszy do baryery, Karol podniósł nagle rękę i zmierzwszy do wróbla siedzącego opodal na gałęzi — strzelił. Ofiara kaprysu ludzkiego spadła na ziemię nieżywa.

Na ten widok Zygmunt zawrzał gniewem i krzyknawszy: dopókiż mi będziesz imponował! — pociągnął gwałtownie za cyngiel.

Rozległ się huk strzału, Karol opuścił pistolet chwycił ręką za pierś — i... upadł...

Było to tak dla wszystkich niespodziewanem, że na razie nikt się nie ruszył z miejsca. Dopiero po chwili sekundanci i felczer podbiegli do leżącego...

Z otwartej głębokiej rany poniżej serca obficie sączyła się krew, zabrano się do szarpi i bandażów.

Tymczasem Zygmunt na widok tej krwi pobladł jak chusta i osłupiał. Satysfakcya otrzymana przeszła wszelką miarę jego wymagań i zaciężyła na nim niby głaz olbrzymi...

Gdy naciskał cyngiel, był prawie nieprzytomny, w oczach mu czerwieniało od wściekłości chwilowej, nie mierzył wcale, ręka mu drgała, nie zdziwiłby się, gdyby kula poszła daleko od stojącego przed nim przeciwnika.

Lecz gdy ten strzał machinalny fatalną owę kulę pograżył w samą pierś Karola, uczuł się nagle jakby pod władzą jakiejś demonicznej siły, przejęła go trwoga zabobonna, był w stanie uciekać, jak uciekał niewątpliwie Kain, ujrawszy przed sobą raz pierwszy trupa w postaci brata...

Stał jeszcze, nie wiedząc co się z nim dzieje, gdy turkot wozu rozległ się opodal i blady, zdy-

szany, przybiegł na miejsce wypadku sędzia; za późno, niestety!...

Karol, który był omdlał na razie, szybko odzyskał przytomność; na widok sędziego uśmiech mu przebiegł po ustach...

— Do miasta... do miasta — powtarzał proszącym głosem — może jeszcze jest co do zrobienia...

Rana była istotnie ciężka i groźna, ratunek doświadczonego chirurga konieczny.

Zanim dopełniono niezbędnego na razie opatrunku, nadszedł powóz sędziego, w którym, jako w najwygodniejszym dało się urządzić posłanie rannemu, poczem sędzia usiadłszy obok z przodu, kazał jechać do domu.

Pomimo nakazanego mu milczenia, Karol mógł zacząć śpiesznie, chciwie, jakby się bojąc, że śmierć dokończyć nie pozwoli.

— Nie chciałem odkryć przed panem tajemnicy mojej... teraz muszę, chcę, powinienem... Osobą, którą anonim oskarżył, iż jest moją kochanką, była córka mojego ojca... moja siostra. O istnieniu jej nie wiedział nikt, oprócz mnie... Ojciec, na krótki czas przed śmiercią, pokazał mi ją i opiece mej polecił... A na śmiertelnem łożu wymógł przysięgę, że nigdy i nikomu nie powiem o niej, nie zdradzę tajemnicy, która była troską

całego jego życia... Matka moja nie wiedziała, nie przypuszczała wcale możności tego faktu... Jakże mogłem mówić w takich warunkach!

— Uspokój się, Karolu! — przerwał sędzia, — świętem było twoje milczenie! narażałeś szczęście dla wypełnienia obowiązku, znajdziesz zato nagrodę, żyć będziesz i synem moim będziesz najukochańszym. Tamtego znać nie chcę.

Karol uśmiechnął się smutno.

— Zygmus zawinił lekkomyślnością. Ten przypadek go poprawi, jestem pewny. Co do mnie — wątpię czy żyć będę... Ty więc, szanowny panie, którego miałem ojcem nazywać, weź w opiekę matkę moję i siostrę — proszę o to jak o łaskę największą, ale niech nigdy matka nie dowie się o tajemnicy.

— Zaręczam ci, że stanie się według woli twojej.

— W biurku mojem znajdzie się list do ciebie, panie, w którym poczyniłem pewne wskazówki majątkowe. Oto wszystko...

Wypowiedziawszy co mu na sercu ciążyło, Karol stał się milczącym, czasem tylko ścisnął lekko rękę sędziego, powtarzając: matka i siostra... bądź dla nich ojcem i opiekunem...

Gdy powóz zatoczył się na bruk miejski, ranny

zamilkł zupełnie. Turkot uliczny zagłuszyłby jego ciche słowo.

Zatrzymali się wreszcie przed domem sędziego, tuż znalazł się felczer i świadkowie Karola, zajęto się starannie przeniesieniem rannego do domu...

Na dalsze sceny rozpacz, żalu, łez nieszczęśliwej matki i narzeczonej, opuszczam zasłonę. Co było znakomitszego w świecie lekarskim miasta — wszystko to znalazło się przy łożu Karola. Jednak...

Skonał nazajutrz wieczorem...

Gdy w dwa dni potem wynoszono z domu ciało, pod nogą zasmuconego radcy zaszeleścił papier jakiś... Podniósł go i spojrzawszy, odrzucił ze wstydem, jak węża.

Był to ów list bezimienny.

Nr. 2,564.

SZKIC POWIEŚCIOWY.

Była to chwila przed świtem.

Miasto jeszcze uśpione — tylko liczne słupy dymów, oraz tu i owdzie błyszczące światełka w oknach poddaszy mówią o przebudzeniu się tych, co najpóźniej spać poszli.

Na wschodzie z każdą chwilą jaśniej — już wierzchołki kominów stoją w promieniach słońca, gdzieniegdzie szronem okryte drzewa świecą, jakby je kto brylantami osypał.

Na szybach fantastyczne zakwitły kwiaty... a najwięcej ich w okienkach poddasza. Mróz je pielęgnuje, promień słońca zbłąkany, padając na białą szybę, — tysiącem kolorów zdobi, jakby na rozweselenie smutnych — bezsennych może oczu, patrzących na zamrożone okienko.

Czy przypomną patrzącym te kwiaty — pokrewne im lilie polne, co to nie sieją ani orzą?...

Zajrzyjmy do izdebki na trzeciem piętrze, z któ-

rej najwcześniej zabłysło światelko. Komuż tu tak wcześnie sen z powiek uleciał?

Ludno w tych czterech ścianach... kobieta młoda jeszcze, choć zwiędła przed czasem, kołysze dziecię przy piersi, dwoje innych, starszych śpi tuż obok matki, na twardym tapczanie lichu zasłanym, mężczyzna — ojciec rodziny. Pięcioro zatem i — nędza ze wszystkich kątów wyziera — szóstą.

Tu i owdzie jakieś zabytki lepszego mienia... zabytki, których spieniężyć już nie chciano, lub — nie można. Nad łóżkiem krzyż z kości słoniowej... na ścianach para portretów dobrego pendzla — w kącie fortepian zarzucony nutami — oto wszystko.

Mężczyzna miał sen niespokojny. Na twarzy jego bladej i zbiedzonej malowały się jakieś bolesne wrażenia, ręce skrzyżowane nad głową chwilami kureczowo się ścisnęły — z ciężkiem westchnieniem wyrwały mu się z piersi jęki, a usta szepotały niezrozumiałe wyrazy, skargi i liczby...

Błada kobieta spoglądała nań smutno... coś nakształt łzy kręciło się niekiedy w zaczerwienionych oczach — wtedy zwracała się ku uspiotemu na jej rękach dziecku i tonęła wzrokiem w uśmiechu zaczerwienionej snem jego buzi.

Lampka stojąca na stole zagasła, ale promień

wschodzącego słońca padł w tej chwili do pokoju i rozjaśnił smutne jego ściany. Kobieta uśmiechnęła się boleśnie, jakby na przyjście gościa, który nam upłynione przypomina szczęścia. Może to słońce poranne przypomniało jej także jakąś szczęśliwą przeszłość? może marzenia dziewczę... złote sny szczęścia, pierwszych upojen dreszcze, uśmiechnęły się doń w tym jasnym promieniu.

Nagle mąż zerwał się z posłania z gwałtownym okrzykiem, kobieta wzdrygnęła się.

— Karolu, — co ci jest? — czyś chory?

— Ach! przepraszam cię — krzyknąłem ze snu i musiałem cię przestraszyć. Ale bo też sen szczególny...

— Cóż ci się śniło?

— Słuchaj — wszakże to dziś ciągnięcie?

— Tak jest — dziś wieczorem — odparła z westchnieniem.

— Śniło mi się, że wygrał — że główna wygrana padła na mój numer... Poczekaj, przekonam się jeszcze czy ten sam mi się przyśnił... Tak jest — nie inaczej — Nr. 2,564. To szczególne, wiesz, że nie miałem tej liczby w pamięci — Kaziu, wygramy na tej loteryi.

Żona milczała.

— Słuchaj, Kaziu — wiem, że ty się gnie-

wasz na mnie za moję wiarę w taki rzadki wypadek, jakim jest wygrana na loteryi. Ja sam wyrzucałem sobie nieraz, że krwawo zarobione pieniądze rzucam na stracone, kiedy tu tyle potrzeb w domu. Ale wierz mi — dziś będzie to po raz ostatni. Czy wygram — czy przegram, więcej już grać nie będę — daję ci na to słowo.

— Mężu, nie mamy węgla, na dworze mróz, trzeba zapalić w piecu.

— Mam tu trochę drobnych, — natychmiast wyjdę z domu i przyszlę ci miarkę węgla. Od rana czekają mnie lekcye — może wieczorem przyniosę ci więcej pieniędzy — kto wie — może i bardzo dużo przyniosę... dodał z uśmiechem.

Zaczął się szybko ubierać, a po gwałtownem jakimś nerwowem usposobieniu, można było poznać, że wrażenia senne nie zatarły się bynajmniej.

— Karolu, — trzeba odesłać buty naszych chłopców do reparacyi — nie mają kaloszków, pozależbiają się nieboraki.

— Wszystko to zrobimy. Niech tylko przekonam moję panią, że nadzieja nie zawsze uwodzi, a wtedy będziemy mieli wszyscy.

— Ale, ale — dodał — wszak to dziś piętnasty Grudnia?

— Cóż sobie przypomniałeś?

— Masz racya, — przypomniałem sobie wypadek, który się zdarzył dwadzieścia lat temu. — Rzecz szczególna — jak to się wszystko razem dziś zbiegło! Ten sen, ta rocznica, to ciągnięcie loteryi...

— Cóż to jest? mój drogi — jesteś dziś podrażniony.

— Słuchaj! Było to dwadzieścia lat temu, gdy uczęszczał na wykłady do konserwatorium. Właśnie piętnastego Grudnia wybrałem się z kolegami na imieniny jednego z uczniów. Mróz był okropny, — śniegu dużo, — biegliśmy co żywo, aby się ogrzać przy ponczu i toastach. Naraz na zakręcie ulicy, zatrzymuje nas stara cyganka, prosząc jałmużny. Sięgnąłem do kieszeni paltota — i znalazłem w niej — guzik. Przyszła mi pusta myśl do głowy oddać go żebraczce zamiast pieniędzy. Musiała być bardzo głodna i osłabiona, bo z drżeniem chciwości porwała moję rękę. Koledzy moi parsknęli śmiechem, a ona dotknięta tem do żywego, rzuciła nam kilka wróżb. Jeden z nas miał za rok umrzeć, drugi stracić ojca, dla mnie tylko — rzecz dziwna — może odwiedzając się za szczerą chęć udzielenia jej jałmużny — dla mnie najszcześniejszy postawiła horoskop — przepowiedziała bowiem wielką wygraną.

— I ty wierzysz! wierzysz wróżbom cyganki — ozwała się żona z przymuszonym uśmiechem, widząc, że to opowiadanie wzruszało Karola do głębi.

— Czy wierzę? — niekoniecznie, ale jeden z ówczesnych moich towarzyszy umarł rzeczywiście w rok potem, według przepowiedni. Drugi stracił niezadługo ojca, a ja... dziś ciągnienie... w dwudziestą właśnie rocznicę tego dnia... ten sen dziwny...

— Wstydz się, Karolu, — wrażliwy jesteś jak dziecko. Nie utrzymuję tego, aby wygrana była niemożliwą, ale lepiej być przygotowanym na przegraną, bo pocóż sobie powiększać jeszcze przykrość zawodu.

— Masz słuszość, — odrzekł Karol, wdiewając wierzchnie ubranie — masz słuszość, jednak gdy sobie przypomnę ile to już pieniędzy wydałem na tę nieszczęśliwą loteryą...

— Mam twoje słowo, że dzisiejsza będzie ostatnią.

— Ostatnią — powtórzył machinalnie i pocałował w czoło uśmiechniętą żonę.

Po chwili już go nie było, a biedna kobieta pod wrażeniem uczucia, z którego sobie nie mogła zdać sprawy, ukłękła przed krucyfiksem i ukryła twarz w dłonie, a jednocześnie z pobliskiego ko-

ścioła doleciał jęk dzwonu, wzywający na Anioł Pański.

* * *

Zimowy dzień przeminał jak chwilka... Piąta wybiła na miejskim zegarze — w ulicach ciemno — śnieg skrzypiał pod nogami przechodniów, uciekających przed dokuczliwym mrozem.

Z szerokich okien pierwszorzędnego wekslowego kantoru obfite światło padało na ulicę. Przed jednym z nich, na chodniku stał Karol. Błady i niespokojny zaglądał do wnętrza, jakby walcząc z jakimś postanowieniem. Nareszcie, po długim wahaniu, otworzył gwałtownie drzwi kantoru i wpadł do izby.

— Czy są już wiadomości o rezultatach dzisiejszego ciągnienia?

— Nie, jeszcze — odrzekł sucho otyły, ciemno zarośnięty jegomość siedzący za ladą kantoru — wkrótce otrzymamy depesze.

— Czy prędko?

— Może za pół godziny, może za godzinę, ktoś to może wiedzieć — mówił z pewną niecierpliwością jegomość, patrząc z lekceważeniem na przybysza.

— Więc ja zaczekam.

— Jak się podoba.

Karol usiadł, ale jakaś wewnętrzna burza rozpierająca mu piersi, podnosiła go z miejsca. Wstał i zaczął szybkimi krokami chodzić po pokoju. Czarny jegomość przypatrywał mu się uważnie, obracając w zębach grube cygaro, przyczem bogate sute pierścienie połyskiwały mu na czerwonej i pulchnej ręce. Posiadacza takich sygnetów i wekslowego kantoru dziwiła ta niecierpliwość i gorączka jakaś, śnać pieniężna, człowieka, którego powierzchowność i strój nie nadawały się do roli spekulanta. Przeczuł on w nim artystę i tembardziej lekceważąco traktował sobie człowieka tak nisko w opinii finansistów stojącego. Ironiczny uśmiech igrający na wypasionych policzkach zdawał się mówić Karolowi:

— Naiwny człowieku! czy ty możesz przypuszczać, aby ci się fortuna uśmiechnęła? Czy nie wiesz o tem, że złoto lgnie do złota? że *my* mamy przywilej na jej uśmiechy, a *wy* na jej wzgardę?

A wielkie szyby okien kantorowych, które mróz porysował w palmowe liście, przypominały obfitą roślinność indyjską i indyjski stosunek paryi do bramina...

Minęło pół godziny, które było wiekiem dla oczekującego Karola. W ciągu tego czasu — wobec szczególnych wrażeń, jakich mu dzień dzisiej-

szy dostarczył, cała przeszłość stanęła mu przed oczami, łudząc go pozorami rzeczywistości. Lata dziecinne... życie w domowym zaciszu, w dostatkach i pokoju... marzenia młodzieńcze, złote sny o sławie, zapal ognisty z jakim się rzucił do sztuki, — pierwsze powodzenia, późniejsze zawody, straty, zwątpienie, praca ciężka i krwawa, chwila szczęścia opłacona latami ciężkich trudów i cierpień, obowiązki — przyszłość żony i dzieci — wszystko to stanęło przed nim widomie, dręcząc, boląc, niepokojąc mu serce.

A z drugiej strony — tajemnicza mara przyszłości stawała przed nim z uśmiechem rozkosznym, syreny głosem śpiewała mu w duszy o szczęściu, o spokoju, o skończonych troskach... Nie marzył on o złocie, nie umiał chciwem patrzeć okiem na stosy banknotów i brzęczącej monety, ale kiedy widział ojców rodziny spokojnie zasypiających bez myśli o jutrze, kiedy widział artystów mogących się swobodnie oddać swej sztuce, bez zaprzędania się rzemieślniczemu wyrobkowi, kiedy widział ludzi swobodnie uśmiechniętych, spokojnych, nie rzuconych w piekło walki o kawałek chleba, — to im szczerze zazdrościł szczęścia, spokoju i niezależności...

— Jest telegram — odezwał się protekcyjnalnie czarny jegomość o grubem cygarze, gdy w tejże

chwili drzwi się otworzyły i młody człowiek wszedł do kantoru z papierami pod pachą. — Zobaczymy jaka wiadomość — ciągnął on dalej, biorąc z rąk przybyłego z depeszą telegraficzną.

Karol zdrętwiał. Jakieś dziwne uczucie wstrząsnęło nim, jak iskra elektryczna, odbierając możliwość ruszenia się z miejsca. Tymczasem właściciel kantoru czytał grubym, uroczystym głosem, przedłużając o ile możliwości wymawianie każdego wyrazu.

„Główna wygrana 200,000 talarów padła na numer 2,564“...

— Pokaż pan! — krzyknął Karol, rzucając się jak szalencie na czytającego i wyrывая mu z rąk czytaną depeszę. Czytający cofnął się z przestraszeniem, aż mu cygaro z ręki wypadło, a oślepiałym oczom Karola przedstawił się czarno na białym wypisany numer jego biletu 2,564.

— Jest... jest... wygrałem!! Dzieci moje, macie zapewnioną przyszłość!...

Z temi słowy wybiegł z kantoru, zapominając nawet czapkę na stole i leciał bez pamięci do domu. Przechodnie oglądali się ze zdziwieniem i strachem, rozstępuwano się przed nim na chodnikach, a paru policyantów puściło się w ślad za biegnącym, którego łatwo można było wziąć za waryata lub złodzieja.

Niełatwo go jednak było dopędzić. Dopadłszy domu, w parę minut był już na trzecim piętrze, a przestraszona widokiem męża żona nie mogła na razie zrozumieć co się stało.

— Wygrałem! — jęknął nareszcie, chwytając powietrze ściśniętą ze zmęczenia piersią — cyganka miała słuszość — wygrałem!

I ścisnął rozplakaną żonę i sam płakał jak dziecko i całował wszystkie pokolei dzieci i wrzało radością ubogie poddasze, jakiej może nigdy nie było świadkiem.

Czyliż potrzeba opisywać jak przeszła noc po takim wzruszeniu, czy trzeba dodawać, że o śnie nie myślano wcale?

Wyobraźmy sobie galernika wypuszczonego na wolność — a będziemy mieli przed sobą Karola.

* * *

Noc przeminęła... przyszedł dzień pochmurny i wietrzny, blade, bezbarwne światło zajrzało w okno poddasza. Karol, doczekawszy się godziny ósmej posłał starszego syna do miasta po gazetę. Chciał czempredzej pokazać żonie drukowaną wiadomość o wygranej. Paliła go jakaś dziecinna chęć zobaczenia raz jeszcze szczęśliwej liczby swego numeru i ucieszenia żony tym widokiem.

W oczekiwaniu powrotu syna, wymawiał jej

pół żartem niewiarę w zrządzenia losu i wymówki, jakie go niejednokrotnie z jej strony spotykały.

— Spotkało nas zapewne wielkie szczęście, Karolu, ale dla własnego spokoju przypominam ci twoję obietnicę.

— Jaką?

— Że raz ostatni grałeś na loteryi.

— Nie inaczej, moja Kaziu droga, dałem ci słowo i dotrzymam. Ostatni raz!

— A czy ci nie brakuje węgla do pieca? — zapytał z uśmiechem, tuląc usta do gorącego czoła żony. — Czy nie kłopotujesz się o buciki dziurawe naszych synów?

— Nie żartuj, mój drogi, sama nie wiem czasem, ale nie jestem tak zupełnie spokojną, jakby się należało spodziewać...

— Cóż znowu! Zły masz zwyczaj, moje dziecko, który ci każe w każdej chwili i w każdej okoliczności samo złe tylko upatrywać. Nie bądź Kassandrą, moja Kaziu — dziś tem bardziej rola podobna jest śmieszną i niewłaściwą. Ot — lepiej powiedzmy sobie, jak się odtąd urządzimy. Chcesz i nadal pozostać we Lwowie?

— I owszem — zostaniemy.

— Ale — na zimę wyjedziemy do Włoch — o! — tak — koniecznie wyjedziemy! Wiesz, że to było mojem marzeniem oddawna. Zwiedzimy

Florencją, Medyolan, Wenecją, Rzym, Neapol... dobrze?

— Jak zechcesz, mój Karolu.

— Potem — w lecie udamy się do Szwajcarii — odżyjemy oboje górskim powietrzem, z Białej Góry rzuciwszy okiem na całą Europę, wśród śniegowych zasp św. Bernarda, przypomnimy sobie naszą minioną niedolę, co nas jak lawina śniegu chciała zasypać i zgubić. Potem — na zimę, jeżeli zechcesz i jeśli dostatecznie zaopatrzymy się w siły, przez Monachium, Wiedeń i Kraków, wrócimy do Lwowa. Z Krakowa zboczymy do Częstochowy, podziękować Bogu za podróż szczęśliwą i złożymy bogate votum przed obrazem Matki Bożej... Nieprawdaż Kaziu?

— Tak, — mój drogi — ale nim się udamy za granicę, będziemy w Częstochowie — prawda?

— I owszem — a przy okazji zawadzimy i o Warszawę. Rozkoszny program, moje dziecko! rozkosznie jest mózdz tak marzyć na jawie i urzeczywistniać marzenia. O! bo też długo przedtem cierpiałem! i ciężkie było to życie... bardzo ciężkie!... Czemu się wzdrygnęłaś?

— Słyszę kroki powracającego Tadzia.

— Więc cóż? jakie z ciebie dziecko! Żebyś doznała tych co ja wczoraj wrażeń... No -- ale się one nie powtórzą — było to raz ostatni...

Drzwi się otworzyły i wpadł Tadzio z gazetą w rękę.

— Ot masz, — bierz i czytaj — na samym początku kroniki miejskiej.

Kazimiera wzięła z rąk męża gazetę i we wskazanem sobie miejscu czytać zaczęła głośno:

„Wczoraj wieczorem nadeszła wiadomość telegraficzna o głównych wygranych z ostatniego ciągnięcia loteryi berlińskiej. Pierwsza wygrana w ilości 200,000 talarów, padła na Nr. 2,364...

— Mylisz się przerwał Karol — dwa tysiące pięćset nie trzysta.

— Owszem, tu stoi wyraźnie 2,364.

Karol zbladł. Drżącą ręką wziął gazetę, podniósł ją do oczu i rzekł:

— To widoczna omyłka! sam widziałem...

— Ale czekaj — tu jest coś jeszcze — pozwól, Karolu, niech dokończę, ozwała się żona, — ręce ci drżą — nie możesz czytać.

— Weź, — to widocznie omyłka w druku... widziałem na własne oczy... Czytaj dalej.

„Druga wygrana padła... no, tu kilka liczb następnych — a to dopisali: Dodać należy jako ciekawy szczegół, że przez niezwykłą i niepojętą omyłkę telegrafisty depesza podała fałszywą wiadomość co do pierwotnej wygranej. Zamiast bowiem Nr. 2,364 wymieniła Nr. 2,564, co też nie-

zwłocznie drogą telegraficzną sprostowaniem zostało...

— Karolu! co ci jest — jęknęła czytająca, widząc, że twarz jej męża okryła się trupią bladością. Nim jednak zdołała to wymówić — padł on bez zmysłów na ziemię.

— Ratunku! — krzyknęła nieszczęśliwa, rzucając się na leżącego bez życia. Ale było już za późno — ratunek był zbyteczny.

Dzwon pobliskiego kościoła zwoływał na Anioł Pański.

ŚNIEŻYCA.

Bajka zimowej nocy.

W głębi przezroczych wód, pod olbrzymiem lodów sklepieniem, kędy kryształowe gmachy tyśiącami kolumn się pyszną, drzewa błyszczą szronem brylantowym a opalowe strumienie szemrzą w muszlami usłanem łożysku, — król Zima państwo swe miał. Daleko, szeroko rozciągało się ono, bez końca i granic. Wzrok gubił się w mgle nieprzejrzanej, w którąkolwiek obrócił się stronę, — a jeśli przed nim stanęły lodów turnie wyniosłe, — to od ich blasku ślepotą wzrok dotykała, — a jeśli bory odwieczne tęcz milionami na drodze mu się pokładły — z otchłani ich tajemniczych wyjścia nie było...

Skrzydłata dziatwa śniegowa, co lekka jak puch łabędzi kąpała się w mglistem przestworzu, ciekawie aż na szczyty lodowe wlatując, — daremnie usiłowała dotrzeć do jakichś krajów ościenionych: za górami był step nieprzejrzany, dalej

bory nieskończone, dalej nieprzebyte morze lazururowe o dnie perłowym, okryte tu i owdzie wyspami czarodziejskimi, na których słaniały się jak cienie lilie wodne i leżały się ciche, nieprzeliczone stada łabędzie...

I tak dalej i dalej, bez końca, bez granic rozciągało się potężne państwo Zimowe, pełne skarbów, tajemnic i czarów.

Chodziły wieści, jak owe błędne promyki, co niewiadomo z kąd powstałe, niewiadomo gdzie giną, chodziły wieści, że gdzieś, daleko, gdzieś za dziesiątą górą, za trzydziestą rzeką jest państwo Wiosny, nad którym piękny panuje młodzieniec; państwo to cudownem być miało, a Wiosna czarodziejem potężnym, — nikt wszakże cudów tych nie oglądał i za bajkę je miano powszechnie...

A zresztą, któż mierzyć się może z bogactwem królestwa Zimy? Ziemia jego usłana piaskiem brylantowym, którym gdy ciska na siebie swawolna dziatwa, to zda się pada deszcz blasków;... perłowym żwirem tu drogi okryte, liściem szmaragdowym szumiące drzewa uginają się pod tym ciężarem, — łomy szafirów stoją nietknięte, — gmachy bursztynowe wznoszą się wysoko, a gdy dziewczyna nad strumieniem schylona białą dło-

nią wody zaczerpnie — zamiast mułu ujrzy srebro i złoto — czyste jak błękit jej oczu...

Lasy, gaje, strumienie, góry i doliny wszystko tu piękne, bogate, choć smutne i milczące; wśród bujnej roślinności, ptastwo tu, chociaż nieme, połyskuje pierzem różnobarwnem; — w strumieniach, rzekach, jeziorach i morzach miriady rybek migają srebrną, złotą lub tęczową łuską, syreny pieśni zawodzą czarowne, wieloryby, jakby góry ruchome żeglują okazale, w osłonie srebrnej mgły...

Dziś w państwie tem ruch niezwykły. Na dwór królewski dążą ludy wezwane rozkazem pana. Wieher, herold nadworny, ujawszy muszlę olbrzymią, na cztery strony kraju przesłał tę wieść — i kraj cały rozbrzmiał nią od końca do końca!

Oto z najdalszych krańców ściaga się ludność różnorodna, tłum jakby olbrzymie morze ruchome otacza zamek królewski w milczeniu i ciszy.

Dziwny to lud... jego niewiasty piękne mają lica, jasne oczy lazururowe, postać powiewną i długie aż do ziemi włosy, ale lica ich zawsze smutne i nieruchome, ale w oczach nigdy się iskra życia nie żarzy a postać cała gnę się za wiatru powiewem, jak trzcina...

Dziwny to lud... jego mężczyźni, chociaż rośli

i silni napozór, wyglądają również, jak widma, jak duchy, — w spojrzeniu ogień energii nie płonie, a na bladym czole osiadła chmura tajemnicza...

Rozwarły się zamku królewskiego podwoje i lud zaczął płynąć do wnętrza.

Król Zima pałac miał godny swej potęgi. Gmach to był tak olbrzymi, że gdyby morze wystąpiło z brzegów i w podwoje jego się wdarło — jeszczeby miejsca w nim nie zabrakło! Ściany jego kryształowe, lśniące odbijały w sobie, jakby w zwierciadle, obraz tłumów w nim zebranych, że zaś nieskończone szeregi kolumn lodowych stropy zamczyska podpierało, w zwierciadle tem przedstawiała się nieskończona, nieprzejrzana okiem kolumnada, w której wzrok się gubił, jak w bezgranicznej przestrzeni państwa Zimowego.

Patrzac w górę, nie widziało się nad sobą również nic, tylko ten sam las kolumn wznoszący się gdzieś w nieskończoność... Arkady i łuki tęczowe wieszały się między słupami i powtórzone w milionowym odbiciu ginęły w mroku. Gmach cały jaśniał światłem srebrzystem, promieniającem z każdej kolumny... było to światło blade, drżące, ale obfite, jakby rozsnuta przędza srebrzysta...

Na wzniesieniu ze skał szafiru, wsparty na

odłamie bryły srebrnej, stał tron z czystego jak kryształ lodu, brylantami sadzony. Gdy tłum zaległ całą przestrzeń olbrzymiej sali, nad jego falującą powierzchnią pojawił się król Zima w otoczeniu swego dworu.

Był to starzec sędziwy, postaci wyniosłej i dumnej. Na śnieżnej białości włosów koronę miał z kryształów lodu, z których każdy migotał barw tysiącem. Nad zapadłymi szaremi oczami, białe brwi krzaczyste się jeżyły, a bujna, długa do pasa sięgająca broda, rozstrzępiona szeroko, mlecznej białości, spadała mu na pierś wyniosłą. Miał płaszcz na sobie z puchu łabędziego, po którym błyski błędziły różowe, jak gdy słońce poranne zarumieni śniegów powierzchnię...

Tuż poza tronem stanęli królewscy dworzanie: Mróz, Szron, Tuman, Zawierucha, Zawieja i cały szereg innych dostojników — a u stóp monarszych usiadła na stopniach tronu biała, wiotka, smutna Śnieżyca. Obok Zimy ukazali się ludowi dwaj wasale królewscy: Śmierć i Nędza. Po chwili zabrzmiał głos:

— Topielcy i Topielice! duchy ziemi, wody i powietrza! — znużony wiekiem i trudem, zdając od dziś władzę moję najwierniejszemu ze sług — Mrozowi. Będziecie mu poddani, jak mnie — niech wami rządzi!

Wówczas skinął monarcha na wybranego przez siebie zastępcę, potężny Mróz zbliżył się do tronu.

Olbrzym to był! — Bujny, biały włos kędzierzawy spływał mu na szerokie ramiona, ostry, przenikliwy wzrok błyskał dokoła niby błyskawica, szeroką pierś okrywał pancerz ze lśniącej srebrzystej stali a w rękę trzymał on miecz olbrzymi.

Król Zima dał mu swe berło i skinął na obok stojących hołdowników. Zbliżyli się obaj: w czarnej zbroję od stóp do głów zakuty, z przyłbicą spuszczoną i dłonią na mieczu opartą — Śmierć; i drugi chudy, kościsty, w wytartej zbroi szarej, w podartym płaszczu na ramionach — Nędza. Ten ostatni nie miał zgoła miecza ani hełmu na głowie — zato u boku rąk wyrastały mu palce długie niezmiernie, chude, kościste, szponami uzbrojone, zpod bladych wywiedłych warg wystawały białe, długie i ostre zęby, gdy zaś się w bok zwrócił, u ramion jego widziano wielkie skrzydła niedoperze. Sowa dała mu swe oczy, krogulec — nos, a na obnażonej czaszce gdzieś niegdzie błąkały się resztki płowych włosów...

Obaj rycerze — Nędza i Śmierć zbliżyli się razem do wielkorządcy i dłoń jego uścisnęli, — na znak przymierza.

— Mróz, Śmierć i Nędza! — zaszemrały fale ludu i jak odgłos daleki grzmotu szmer ten rozszedł się w przestrzeni. — Niech żyje Zima!

Król Zima zwrócił się znowu do swego zastępcy.

— Na znak mej łaski dla ciebie, słuchaj, co powiem jeszcze. Dziecko twe jest perłą w mojej koronie — chcę jej los zapewnić. — Pójdź do mnie, Śnieżycyco!

Na rozkaz ten powstała siedząca u stóp króla dziewczica.

Była to niby lilia wodna, obdarzona życiem chwilowem. Twarz jej śnieżnej białości w tej chwili nader lekkim i przelotnym zakwitła rumieńcem. Smutne, ciemne oczy zwróciła na ojca, na którego twarzy jaśniała duma i władza. Biała, powłóczysta jej szata spłynęła miękkimi fałdy na szafirową tronu podstawę, ona uklękła przed królem i jasną, wieńcem nieśmiertelników strojną głowę przed nim schyliła.

Spojrzał na nią z uśmiechem sędziwy Zima, drżącą dłoń na białe jej czoło położył i, patrząc w smutne oczy, przemówił.

— Chcę, żebyś sobie obrała męża — powiedz, kogo miłujesz?

— Nikogo — odrzekła Śnieżycyca, a głos jej szmerem łagodnym rozplynał się wśród ciszy.

— Więc szukaj sobie i znajdź, według serca. Ktokolwiek on będzie, jakiegobądź rodu i znaczenia — przyrzekam ci, że przy mym tronie usiądzie, by sercu memu był bliski.

— Dzięki ci, Panie! — wyszeptała Śnieżyca, tuląc swe chłodne usta do ręki króla Zimy. — Król powstał z tronu i zszedł z niego powoli, trzymając drobną drzącą dłoń dziewczycy — za nimi udali się wszyscy dworzanie.

Fala tłumu zwróciła się ku podwojom gmachu.

* * *

Śnieżyca jest perłą w mojej koronie, — powiedział król Zima i prawdę powiedział, — nie było od niej piękniejszej dziewczycy w państwie zimowem. — Rumieniła się lilia wodna, spojrzawszy na twarzy jej białosć, skrzydło łabędzie wydawało się ciemnem wobec śnieżystej jej szyi, — w trzewiczku puchowym zaledwo ptaszyna gniazdko usłaćby mogła, a drobna dłoń gdy zaczerpnęła wody, było jej tyle ile pomieścić może listek brzozy, płynący na falach strumienia.

Jej źrenice ciemne, jak bywa jeziora głębia gdy na nią żaden promień nie pada, ocienione były jeszcze rzęsami długimi, jak gałęzie brzozy płaczącej nad strumieniem.

Usta miała jakby dwa listki bladej róży, a drobne ząbki lśniły jak lodu kryształ. Nie każdy wiedział, że u śnieżno białych ramion Śnieżyca miała dwa skrzydełka gołębie, które wydawały szmer cichy; dzięki im mogła płynąć w powietrzu, nie dotykając ziemi stopkami. Kryła się z tą ozdobą, gdyż skrzydełka były jedyną oznaką jej rodu i odróżniały ją od grona towarzyszek, topielic.

Więc piękna, młoda, miała skarby o jakich się jej tylko zamarzyć mogło, zaszczyty i łaskę króla Zimy, którego była pieczęcią; — służyła jej wolność zupełna, mogła w zaczarowanych przebywać ogrodach, lub na liliowem kołysać się łożu, mogła snuć przędzę srebrną z promieni księżycowych, lub wyszedłszy na powierzchnię ziemi bujać po polach, lasach i wioskach ludzkich; — wszystko jej było wolno, wszystko czekało jej skinienia — czemuż wiecznie tak smutna i zadumana?..

Napróżno Mróz usiłował rozweselić swe ukochane dziecko, napróżno sprawiał jej srebrne sukienki, sadził dla niej gaje drzew srebrnolistnych, — nie nie pomagało — Śnieżyca nie przedstawiała smucić się i tęsknić. Była ona córką chmury z południa płynącej, ztąd ta wieczna tęsknota.

Rusałka ją wyniańczyła; w długie wieczory zimowe opowiadała dziecku cuda o słońcu, którego gorące promienie uszczęśliwiały całą ziemię, o rozkwitających w promieniach jego kwiatach wonnych, o gajach wesoło szumiących, o dziewczętach puszczających wianki na wodę, a każda marzy, że komu się wianek dostanie, ten kochankiem jej będzie, oplecie ją ramion łańcuchem, słodyczą pocałunków upoi i będą iść z sobą razem wiecznie...

— Czemuż — pytała się Śnieżyca — ja tego słońca co grzeje ujrzyć nie mogę, ani się widokiem kwiatów ziemskich ucieszyć, ani z kochankiem dzielić pieśnyczoty? Czemu? Słonko, które ja widzę — nie grzeje! — rzadko kiedy uśmiechnie się na chwilę, ale smutno jakoś i posępnie, — a łąki i pola czarne, póki ich srebrnym śniegiem nie osłonię...

Ja nie wiem, co to jest ciepło, wszystko dookoła mnie zimne, ja sama mrozę oddechem. Zimne łabędzie nasze, gdy je całuję drżą jeszcze bardziej, wszystko tu u nas chłodne i martwe. A jednak.. jakże rozkosznem być musi to ciepło, o którym mi mówisz!

Opowiadania rusałki zakłóciły spokój Śnieżycy przedwcześnie, — zaczęła marzyć o innym świecie, gdzie było jasno i ciepło; — serce je-

dnak nie miało w tem udziału: w główce się roily sny cudowne.

Aż pewnego razu, w noc księżycową, pod słuchała czarownej pieśni łabędzia konającego na jeziorze: pieśń ta mówiła o cudownem państwie Wiosny, o jego królu młodzieńczym, przed którego pięknością gaśnie wszystko, co piękne na świecie; opiewała władzę, jaką on posiada:

„Na cokolwiek spojrzysz — wszystko garnie się ku niemu z miłością, gdziekolwiek się zwróci, najpiękniejsze kwiaty u nóg mu wyrastają! Ziemia cała, jak kochanka rozmarzona, wyciąga ku niemu ręce, — czarodziej nad wszystkimi sercami panuje! — Szczęśliwy kto w kraju jego żyć może, szczęśliwy kto może nań patrzeć, stokroć szczęśliwy na kogo spojrzysz łaskawie — wielki, potężny, piękny król Wiosna!“ —

Tak śpiewał łabędź, a w piersi słuchającej go Śnieżycy serce biło gwałtownie: uczuła, że nikt inny jak Wiosna nie będzie jej kochankiem! — Niestety, gdy z drżeniem niepokoju pobiegła ku białemu śpiewakowi, by zrobić go powiernikiem dziewczęcego serca — już on nie żył, tchnienie jego ostatnie upłynęło z ostatnim pieśni dźwiękiem...

Odtąd jeszcze więcej posmutniała Śnieżyca, jeszcze rzadziej uśmiech przelotny gościł na jej

twarzy, usta bardziej pobladły, skrzydełka gołębie nie podnosiły się do lotu — ciężki uciskał ją smutek...

„Szukaj sobie i znajdź według serca“... powiedział król Zima. Niestety! on sam nawet, pomimo że potężny i silny — nie mógłby jej dopomóc w tym razie, gdyż nikt w całym państwie nie wiedział, gdzie jest królestwo Wiosny.

Po dniu, w którym król Zima oświadczył ludowi, że ten, kogo Śnieżyca sobie za męża obierze, tuż obok tronu usiadzie, rój wielbicieli otoczył ją, składając dary i hołdy. Srebrny Szron, czarnooki Tuman, szalony Wicherek, dziarski Zawierucha, i wielu, wielu innych — a nawet Śmierć i Nędza stawili się przed nią, a każdy chwalił się swymi bogactwami, władzą, potęgą — Śnieżyca na żadnego z nich patrzeć nie chciała. Więc odeszli, mówiąc sobie, że kocha już kogoś, bo czyżby mogła nie zrobić wyboru, gdyby serce jej było wolne!

Ona — została sama, schroniła się w najgęstszy las srebrnych paproci, dopiero gdy noc nadeszła, ujrzały ją lilie wodne wypływające w muszli perłowej na środek chłodnego jeziora.

Uroczysta cisza zaległa lasy, gaje i wody... w blasku księżycowym całe państwo Zimy srebrną jaśniało białością, tylko w czystej toni wód

czerwieniały drzewa koralowe, w głębi krajobrazu stały milcząco skały szafiru i malachitu, złościły się groty bursztynowe i łożyska strumieni połykiwały złotem.

Jakby nie śmiejąc przerwać ciszy nocnej, ci-chutko szemrały wody, po których senne łabędzie płynęły powoli, jak cienie... Czasem nad morską głębiną wznosiły się wysoko fontanny, w których mienił się blask księżyca... To wieloryby z wodą morską igrały...

Obojętnem okiem patrzyła Śnieżyca na te cuda krainy Zimowej, — obco tu jej było i smutno... od kiedy tęsknić zaczęła do Wiosny — wszystko dla niej obojętnem się stało.

„Cóż mi po gajach, — myślała — choć srebrnymi drzewy nęcą oczy ku sobie! — gdy wiatr konarami porusza — zimny szron opada z nich na ziemię... Cóż mi po złotym piasku, którego pełne strumienie, gdy blask jego kurzem się wydaje wobec blasków wiosny! Co mi po klejnotach wszystkich, gdy wobec ognistych oczu jego — one by się prostemi zdały kamyczkami! — Co mi po władzy, jaką mam nad całym tym krajem, gdy ona nie jest w stanie zaspokoić pragnień serca! — Gdzie on? — woła łkając do stada białych łabędzi, — czyście go nie widziały?

Nie było na to odpowiedzi.

— Czyście widziały go, góry wyniosłe? —
wszak po to wzniosłyście się wysoko, by patrzeć
w słońce!

I góry odpowiedziały milczeniem.

— Więc wy, powiedźcie, rybki złote, co wę-
drujecie daleko — czyście go widziały? Czyż
tajemnica jego królestwa zginęła dla mnie na
wieki, wraz ze zgonem owego łabędzia, który
o Wiośnie śpiewał?...

Gdzie on? gdzie on?!... rozlegało się dokoła,
jakby smętne synogarlicy gruchanie, głos jej po-
dawały sobie nawzajem drzewa i fale, lecz nikt
odpowiedzi nie dawał!...

Biedna Śnieżyca łamała białe rączki, z ciem-
nych jej oczu płynęły łzy lodowe i perłami spa-
dały na marmurowo białe i marmurowo chło-
dne łono...

Późno w noc muszla perłowa zatrzymała się
u brzegu i wysiadła z niej ukochana króla Zimy,
a najbiedniejsza w jego państwie całą dziewczicą.
Zaledwo odgarnęła z czoła włosy i raz jeszcze
wkoło smutnem powiodła spojrzeniem, — stanął
przed nią jej rodzic, potężny Mróz, w hełmie
i pancerzu stalowym.

— Patrz! — wyrzekł wesół — by cię po-
cieszyć, zabawkę ci przyniosłem! masz — czy nie
ładna?

I nim Śnieżyca odpowiedzieć mogła, złożył
na jej rękach przedmiot jakiś dziwny i znikł.
Ona, zaciekawiona, coby to być mogło — posta-
piła ku miejscu, gdzie padał snop promieni księ-
zycowych i dar ojcowski do oczu zbliżyła.

Było to dziecię. Oczęta miało w pół przy-
mknęte, pobladłe wargi nieco odchylone, drobne
rączki odpadały mu bezwładnie, podobnie jak
i główka, opromieniona kędziorkami jasnymi. Cu-
downie piękne to ciało skostniałe było z zimna
i sztywne.

Gwałtownym ruchem Śnieżyca przytuliła głowę
do piersi dzieciny — słabo, niewyraźnie biło w niej
jeszcze serce...

— Żyje! — krzyknęła radośnie — pocałun-
kami memi wleję w nie życie!...

Niestety! pod mrozem jej pocałunków zamil-
kło serce dzieciny, ostatnie tchnienie uleciało
z jego ustek cicho, jak puch łabędzi...

— Nieszczęsna! — jęknęła Śnieżyca — zabi-
łam je całowaniem!

Po chwili zaczęła lecieć w stronę dworu kró-
wskiego, zdawało się jej, że wielki, że możny,
że potężny król Zima zdoła powrócić małej, dro-
bnej, biednej dzieciny życie.

Zdziwił się król, widząc u nóg swych leżącą
z płaczem i skargą Śnieżycę, — zdziwił się wię-

cej Mróz nagłej dziecka swego boleści, ale nikt nie mógł wysłuchać prośby dziewczyny, gdy na czółku dzieciątka Śmierć, władca nielitośny, pieczęć swoją położył. Posłano doń gońca, goniec wrócił, niosąc ziele cudowne, które mogło dziecinę w rusałkę przemienić. To wszystko, co było w mocy Śmierci.

— W rusałkę! — zawołała Śnieżyca — nie! niech lepiej nie żyje, jeśli ma tęsknić bez końca, — niech lepiej nie czuje nic!

I z żalem opuściła komnatę królewską, raz pierwszy z niej wynosząc zwątpienie o potęgę Zimy...

— Dziecko życia pozbawić! nad słabością tryumfować — czyż to jest wielkość? — Wiosno! — wołała, — przyjdź ty! zawitaj! — Łabędź śpiewał, że życie powracasz, że z grobów je nawet wskrzeszasz, — promienny, piękny, dłoń królewską podnoszący wszystko ku sobie, — uwielbiany, przybądź do nas!

Głos ten, jak dawniej, rozplitnął się wśród ci-szy nocnej, lecz tym razem nie bez echa: odpowiedział mu gdzieś zdaleka płacz żałośny...

To matka płakała za swem dziecięciem.

U ramion Śnieżycy skrzydełka się poruszyły, w jednej chwili znalazła się na ziemi i u stóp zrozpaczonej matki złożyła jej dziecko umarłe.

Potem oddaliła się śpiesznie w stronę, gdzie ludzkie czerniały siedziby i gdzie srogie sprawiali rządy Mróz, Nędza i Śmierć...

* * *

Smutna była ziemia, gdy Śnieżyca, opuściwszy zaczarowane królestwo Zimy, wybrała się na wędrówkę. — Niebo szare, brudnymi chmury, niby szmatami mogilnemi okryte, schylało się nad polem zczerniałem, lasem nagimi kościotrupami sterczącym i rozpierchłą gromadką widniejących tu i owdzie gniazd ludzkich. Jęła tedy Śnieżyca srebrną przędę księżycową rozsnuwać po ziemi, by okryć jej nagość.

Płynąc w powietrzu na swych skrzydełkach gołębih, patrzyła ze smutkiem na to opuszczenie i ubóstwo, którego obrazy przesuwają się przed nią w mglistej panoramie. Wicher szalał po lasach, szarpiąc nielitościwie drzewami, z dachów chałup wieśniaczych zrywał garściami słomę i cisnął z poświstem szyderskim na wszystkie strony. Po drogach stały kałuże błota. Tuman złośliwy podróżnych prowadził na manowce, Mrok szarą pajęczynę rozwieszał w powietrzu, że niepodobna było rozpoznać przedmiotów.

Nęciły Śnieżycę gniazda ludzkie, — przez krzywe okienka chałup wieśniaczych widziała ona

światła błyskające, światła, jakich w podziemnem królestwie Zimy nie było.

Zbliżywszy się do jednej z takich, zajrzała przez kawałeczek niezamarzłej szyby do wnętrza. Widok, jaki jej się przedstawił, pobudził do mocniejszego bicia serca... W piecu płonął ogień czerwonym płomieniem...

Jej się marzyło, że ów młodzieńczy, piękny, upragniony pan królestwa wiosennego musi chodzić w takim wieńcu płomiennym na czole, gdyż jak ten ogień, rozacza wkoło siebie jasność i ciepło...

Ciepło to marzeniem jej było, śniła o niem, jak o czemś dziwnie rozkosznem. Czasem, gdy swawolny Wicher, uprzedzając jej chęci, gwałtownie drzwi chaty otworzył, próbowała wcisnąć się do izby; — niestety! nie chciano jej tam wpuścić! drzwi się zamykały z łoskotem i słychać było głos gniewny:

— Przekłety Wicher! przekłeta Śnieżyca!

Przekłeta? — zaco? — Innym razem, gdy spotkawszy podróżnych na drodze, cisnęła na nich dla zabawy garść przedzy srebrnej, — usłyszała też samo: przekłeta Śnieżyca! — Przeklinają jej ojca, przeklinają Zimę, drżą przed Nędzą i Śmiercią... Czyżby więc znowu tylko on jeden, on — cel jej marzeń, czarodziej — Wiosna, czyżby

on tylko miał przywilej miłości? czyżby więcej nic i nikogo kochać nie było można?

O! ona czuła to! w jej sercu dla nikogo więcej miejsca nie było. Stała więc za oknem ubogiej chaty i cheiwie patrząc w płomień czerwony, marzyła o upragnionym kochanku. Przed ogniskiem siedział na krzywym zydelku ojciec rodziny i trzymał dziecko na kolanach — kilkoro innych u nóg jego się bawiło, staruszka w rogu izby krzątała się około wieczery.

— Biedna sierotko — mówił ojciec do dziecka — Śmierć twoją matulę zabrała, odeszła od nas i nie powróci!

W tej chwili rozwarły się drzwi chaty i powstać potworna wkroczyła do izby. Była to starucha garbata, poczwarnie niska, na wielkich małych nogach. Kościste jej ramiona sięgały prawie do kostek. Na karku, pomiędzy dwoma garbami siedziała głowa wielka, z wylupionemi na wierzch białemi oczyma, szerokim płaskim nosem i wielką obwisłą, siną gębą. W jednej ręce trzymała kij, a w drugiej wił się i syczał wąż, okręcony śliskiem swem cielskiem wokoło jej ramienia.

Nikt nie spostrzegł jej przyjscia, tylko najmłodsza dziecina niespokojnie przytuliła się do ojca, ramiona mu zarzucając na szyję.

Potwora przyczołgała się do niego, wyciągnęła

ramię węzowe a gad żądłem swoim poślinił mu czoło...

Poznała Śnieżycą potworę ową: była to Choroba; chciała rzec coś do niej, lecz w jednej chwili widmo znikło. Człowiek ów podniósł się nagle, dziecko postawił na ziemi a sam blady jak ściana, obiema dłońmi uchwycił się za głowę, postąpił krok dalej i runął na lichy barłóg, za łożę mu służący...

Śnieżycą oddaliła się od okna; wiedząc, że Choroba siostrą Śmierci, chciała pójść jej śladem, by przekonać się naocznie, jakimi były rządy sprzymierzonych, — miała nadzieję, że siostra stanie przy boku brata.

Po śladach olbrzymich jej stóp na śniegu, łatwo odgadła w którą udała się stronę. I sama się tam skierowała.

Zdaleka już tysiące błyszczących światel zdradzało obecność wielkiego miasta. Istotnie było tam wielkie mrowisko ludzkie.

Śnieżycą uniosła się w powietrze i za chwilę dosięgła celu.

Nad miastem dziwna płynęła harmonia: jęki i śmiechy szalone, skargi, przekleństwa i dźwięki muzyki wesołej, akordy żalu, radości i rozpacz — wszystko to mieszało się razem, tworząc dziką, szaloną całość.

Mury miejskie, szpitale, więzienia, świątynie i pałace — szare, posępne wyglądały jak groby. Pomiędzy nimi, stąpając jak duchy po śniegiem uślanej ziemi, pojawiały się sługi Śmierci: Głód, Rozpacz, Szal, Niedola... i sługi Nędzy: Zbytek i Bieda...

Były to ostatki karnawału: Nędza, gość nieproszony, wcisnął się przez okazałe podwoje jakiegoś pałacu, w którym wrzała uczta wesoła... Mróz zwiedzał poddasza... Wyniosła jego postać ukazywała się na szczytach domów, które mu były niby tronem wysokim... Śmierci tylko widać nie było...

Nagle — z wież kościelnych północ wybiła... dwanaście uderzeń dzwonu, jakby dwanaście wystrzałów działowych zabrzmiało... Za ostatnim dźwiękiem, wśród ciszy jaka zaległa gwarne przed chwilą miasto, pokazał się w ulicy orszak jakiś, długim ciągnący się łańcuchem, niemy, tajemniczy. Na jego czele jechał rycerz w czarnej zbroi na kruczej barwy koniu, w hełmie ze spuszczoną przyłbicą...

W posępnem milczeniu przeciągnął orszak ten przez ulicę, podążając za swym wodzem na pole...

Śnieżycą zbliżyła się ku niemu.

Orszak to był liczny i różnorodny: starcy

i dzieci, dziewice i młodzieńcy, staruszki i niemowlęta...

Szli w milczeniu głębokiem, powolnie, cicho i miarowo. Przed nimi leciały puszczyki z ponurem hukaniem. Szli, oglądając się poza siebie, na miasto: tam ojciec zostawił dzieci, żona męża, brat siostrę, córka matkę — za nimi szedł płacz i żal...

Wreszcie miasto zginęło w oddali, otaczał ich Mrok pajęczyną mogilną, Wicher szaloną pieśń nucił — oni szli, ciągle dalej, kędy ich wiódł rycerz na czarnym koniu.

Upłynęło tak czasu niemało, — nakoniec w oddali zamajaczyły jakieś mury wyniosłe. Był to zamek starożytny, mchem starości porosły, z basztami wybiegającymi w chmury, ze strzelnicami, z których patrzyła ciemność, z oknami, w których sowy świeciły żrenicą okrągłą. Na najwyższej wieży powiewała chorągiew czarna, na której świeciło godło pana zamku: *Non cedo*.

Po moście zwodzonym rycerz, a za nim orszak cały, dostali się do murów zamczyska, którego podwoje szeroko były roztwarte. Tu rycerz zsiadł z konia, zarzucił mu wodze na kruczą grzywę i szedł dalej pieszo, prowadząc jeńców za sobą. Ponuro kroki jego, jakby miał stopy kamienne,

odbijały się od granitowej podłogi w ciszy korytarzów sklepionych.

Szli tak długo, aż wreszcie nowe się podwoje rozwarły i orszak cały wszedł do olbrzymiej jakiejś świątyni...

Była to starożytna ruina — pełna zaduchu, wilgoci i ciszy mogilnej. Sklepieniem jej były chmury — podłoga z niezliczonych kamieni, na których wpół wytarte widniały napisy: imiona i liczby. Ściany zdawały się zdaleka, jakby wypełnione rzeźbą misterną z kości słoniowej: były to czaszki trupie, stojące jedna przy drugiej, świecące jak próchno w ciemności.

Rycerz zatrzymał się przy ciężkiej, czarnej zasłonie, która całą jedną ścianę zastępowała. Stał z dumnie podniesioną głową i patrzył, jak obok niego przechodziły tłumy owe w milczeniu, pozdrawiając go w pokorze schylonem czołem.

Czekał długo aż cały gmach olbrzymi a pusty, wypełnił się różnorodnym tym tłumem. Gdy już wreszcie miejsca zabrakło, szepnął jakieś zaklęcie i cicho podniosła się czarna zasłona.

Ukazała się za nią postać niewieścia z zawiązanymi oczami i wieńcem maków ponsowych na głowie. Jedną ręką podtrzymywała ciężką zasłonę, drugą zwróciła ku przybyłym, dając znak do wejścia. Posłuszne skinieniu zaczęły płynąć owe cie-

nie niezliczone i ginąć w otwierającej się przed niemi otchłani Wieczności.

Szereg ich nie miał zda się końca, tłumy znikały — tłumy zostawały jeszcze, wciąż tęskne zwracając spojrzenie w dal, poza siebie, gdzie zniwo odbywali obfite: Mróz, Nędza i Śmierć...

Drżąca, blada Śnieżyca z królestwa Śmierci wybiegła, białe załamując dłonie:

— Wiosno! kiedyż ty przyjdiesz? jesteś odrodzeniem, życiem, rozkoszą! — pójdź! czyliż wiecznie napróżno będę o tobie marzyć, czekać na ciebie, tęsknić do ciebie?

Tak wzdychała do wiosny córka chmury południowej, dążąc do gniazda swego w państwie Zimowem.

Blada jutrzienka zaczęła lekko rozjaśniać niebo na wschodzie, miało zejść to blade, smutne Słońce zimowe... W powietrzu była cisza i Mróz rozaczał nad zbielałą ziemią swe ostre panowanie.

Nagle — ptaszyna jakaś zatrzepotała skrzydłem w mgle srebrnej, jak punkcik czarny wzniosła się w górę i znowu na dół opadła. Był to skowronek. Śnać Mróz przeniknął go do kości, bo osłabły, bez siły do lotu, zaplątał się w zwoje szaty Śnieżycy...

Ulitowała się nad nim córka Mrozu, w białe ujęła go dłonie i już usta swe przycisnęła

chciała do drżącej w rękach ptaszyny, gdy przypomniała sobie śmierć pocałunkiem dziecku zadaną...

Wtem skrzydlaty jeniec odezwał się do niej żałosnym głosem:

— Puść mnie! — puść! pozwól mi wrócić do Wiosny!

— Do Wiosny? — zawołała radośnie Śnieżyca, — więc ty znasz Wiosnę!

— Jestem jej gońcem — zakwiliło ptaszę.

— O! wracaj! wracaj luba ptaszyno! powiedz panu swemu, że ginę bez niego, że kocham go, że o nim marzę, że życie mi jest męczarnią bez jego widoku, uśmiechu, uścisku! Powiedz, że jeśli skarbów chce, całe królestwo Zimy do stóp mu przyniosę! Powiedz, że jeśli prawda, co o nim mówią, że wielki, że dobry, piękny i potężny — to nie pogardzi biednem sercem sieroty, która ku niemu się garnie; powiedz, że on mem szczęściem i zbawieniem, że niech rozkaże a zginę, bylebym go raz zobaczyć mogła!... Mów, że mu to powiesz! — inaczej biada ci! król Zima pomści się za mnie, Mróz, ojciec mój, cały ród twój zgubi! Pamiętaj! — A teraz leć! leć i wracaj czempredziej!

Skowronek frunął z zimnej dłoni Śnieżycy i jak strzała szybka ku owej pomknął krainie,

gdzie władał czarodziej — Wiosna, — król ciepła i złotych promieni...

* * *

Od chwili wyprawienia skrzydlatego posłańca nie miała Śnieżyca snu ani spokoju... Na skrzydłach tej drobnej ptaszyny szczęście jej zawisło: jeżeli zginie, — zniknie z nią razem ostatnia jej nadzieja... Było więc o co się troskać.

Ale jednocześnie serce Śnieżycy doznawało przecucia radości i szczęścia... czyż wreszcie samo znalezienie istoty, która znała Wiosnę i mogła doń zanieść jej słowa nie było już szczęśliwym wypadkiem?

Wymarzony kochanek, o którym dotychczas dochodziły ją tylko dalekie i niepewne wieści, jakby o czemś bajecznym, podaniowem — nie dość, że żył istotnie, ale miał od własnego posła swego usłyszeć o niej i o jej gorącej dla niego miłości. Na wspomnienie słów, które mu skowronek powtórzyć miał, błądy rumieniec zakwitał na śnieżnobiałej twarzy i serce biło przyspieszonym tętnem...

A jakże dziwnie ożywiło się w jej oczach i wypiękniało całe królestwo Zimy, — na cokolwiek spojrzała, wszystko zdawało się podzielać jej przecucia, dodawać jej wiary i nadziei.

Gdy płynąc po szklistem przestworzu jeziora, spojrzała w jego czyste zwierciadło, ono jej mówiło: jesteś piękna, najpiękniejsza ze wszystkich dziewczec tu i na ziemi, król czarodziejkiej piękności nie może nie ukochać ciebie!

Gdy weszła do gaju, drzewa schylały przed nią swe srebrne gałęzie, mówiąc: oto idzie wybrana króla Wiosny!

Gdy w cichą noc księżycową, przytulona do skrzydeł białego łabędzia, pieściwemi ramiony opłotłszy mu szyję, wyszeptwała: kocham go!... — szmer ten rozplynał się dokoła i wszystko powtórzyło to wyznanie miłości! — kocham! — szumiały srebrne gaje zaczarowane, — kocham! szemrał strumień o dnie złożonem — kocham! szeptały lilie wonne i fontanny srebrzyste.

Oprócz tych — nie miała Śnieżyca powierników, lękała się, by ktokolwiek nie wyśmiał nadziei, nie osłabił wiary, która całem jej szczęściem była. Czekwała na spełnienie tych marzeń, tych rozkosznych serca obietnic, oczekiwaniem mierzyla czas leniwo płynący, drżała na szelest najmniejszy, jak listek osiki...

Nie raz, nie dwa, nie dziesięć razy zdało się jej, że słyszy szmer skrzydeł skowronka. — Niestety! skrzydlaty goniec nie powracał...

Więc przychodziły na nią chwile zwątpień

i trwogi... myśl, że wszystkie nadzieje mogą być daremne, że ich przedza złota rozwiać się może, jak mgła nad wodą — była dla niej straszną męczarnią... W takich chwilach czuła się najniešťczęśliwszą ze wszystkich istot w państwie króla Zimy i ledwo że nie zazdrościła głazom ich nieczułości!

Pewnego nareszcie dnia, gdy siedząc w komnacie króla nuciła mu ulubioną pieśń jego o bogactwach i potędze Zimy, — dał się słyszeć dźwięk niby trąbki srebrnej i wpadł herold — Wicher, zwiastując przybycie nieznajomego gościa.

Porwała się z miejsca Śnieżyca i ręką przycisnęła serce. Król przeszedł do sali tronowej i kazał wprowadzić doń nieznajomego.

Zaledwo usiadł na tronie a drżąca, trwoźna Śnieżyca przy nim stanęła, rozwarły się podwoje i wszedł dziwnie piękny chłopczyna.

U ramion miał różnobarwne skrzydła motyle, z lekkiej mgły różowej były na nim szaty, oplecione wieńcem pierwiosnków... Zbliżywszy się do stóp tronu, przykłęknął na jedno kolano a potem, mierząc okiem promiennem króla i piękną dziewczę, przemówił głosem harmonijnym, jakby kto lekko w struny harfy trącał.

— Cześć ci, wielki królu! — Pan mój, potężny, promienny, najpiękniejszy monarcha Wiosna,

szle ci przeze mnie, pośła swego, pokłon i hołd. Jestem Wietrzyk — przybywam w poselstwie zarówno do ciebie, panie, jak i do najcudowniejszej z dziewic, córki wodza twego, Śnieżyco. Król Wiosna prosi o jej rękę; — jeżeli ofiarą jego nie wzgardzicie, przybędzie sam.

Zamilknął poseł, a echo dźwięcznej jego mowy wciąż jeszcze rozlegało się dokoła, czarując nigdy niesłyszana w królestwie Zimy melodyą.

— Śnieżyco! — słyszysz? — odezwał się wreszcie król, zwracając się do dziewczicy, która zmieniona w posąg zachwyty, stała jakby własnemu nie wierząc słuchowi. — Cóż na to? mamże z niczem odprawić tak pięknego pośła miłego mi sąsiada — Wiosny?

Śnieżyca schyliła się do stóp królewskich i twarz lekko zarumienioną w dłoniach starca ukryła.

Zima podniósł jej głowę, z uśmiechem spojrział w łzawe oczy i zwracając się do pośła, rzekł:

— Szczerem sercem przyjmujemy poselstwo wasze, będziemy chętnie czekać przybycia sąsiada, którego poznać pragnę. — Niech przybywa po przyjaźń naszą i po małżonkę.

I podał król posłowi rękę swoją do pocałowania.

— Najjaśniejszy panie! — przemówił Wietrzyk, — niech teraz wolno mi będzie w imieniu mojego pana, złożyć narzeczonej jego dary.

Na dany znak kilku giermków wbiegło do sali, sypiąc kwiaty wiosenne. Zdziwił się król Zima pięknnością ich i bogactwem. W jednej chwili deszcz kwiatów zasypał wokoło tron i salę całą, rozkoszna woń napełniła powietrze: pierwiosnki, konwalie, fiołki, bratki, róże polne kobiercem różnobarwnym uślały ziemię.

Wietrzyk i giermkowie jego znikli już, tylko jeszcze drgały w powietrzu tony melodyjne płynące z kwiecistego morza, niby szmer rozkołysanych fal.

Podał król rękę łkającej ze szczęścia Śnieżycy i szli po kwiatach do komnaty królewskiej.

— Istotnie czarodziejem być musi ów Wiosna — przemówił — ale snąc uznał nasze bogactwo, gdy do nas sięga po kwiat najpiękniejszy. Przyjmiemy go z godnością!

* * *

Stało się. Szczęście Śnieżycy nie miało granic, jej sny najpiękniejsze ziściły się tak, jak o tem nawet marzyć nie śmiała!

On! król światła, ciepła, kwiatów i promieni! On! czarodziej: na którego skinienie budzi się ży-

cie istot nawet zamarłych! On, ukochanie wszystkich, pożądaný, upragniony, wielki, potężny — on sam przychodzi po jej rękę, sam miłości jej pragnie i szuka! — na tronie ją swoim posadzi, władzę z nią swoją podzieli, podniesie ją ku sobie!... O! z czemże się szczęście takie zrównać może!

Więc nie dziw, że olśniło Śnieżycę, że gdy ojciec, dostojnicy królestwa Zimowego przyszli winszować jej szczęścia, gdy rusałki otoczyły ją kołem, ciesząc się jej radością, gdy tłumy ludów państwa Zimowego płynęły ku niej ze wszech stron, ona nie czuła nic, nie słyszała, ani widziała, była jakby senną, jakby nieprzytomną — upojona szczęściem!

Tymczasem w całym państwie zaczęły się niesłychane przygotowania na przyjęcie nadzwyczajnego gościa. Król Zima postanowił pokazać mu cały przepych swych bogactw, władzę swą i potęgę w całej okazałości.

Wrzało tedy wszystko oczekiwaniem Wiosny, niezwykle powstało życie w granicach państwa Zimowego, sam nawet król wglądał we wszystko, gdyż chodziło o dumę, o sławę, o zadowolenie próżności własnej i pychy.

Przygotowania robiły się ogromne.

Drogę, którą miał Wiosna przejeżdżać do

zamku królewskiego, wybrukowano płytami z czystego srebra i usypano piaskiem dyamentów. Z trzech skał malachitu przeniesionych z wielkim mozołem, ustawiono bramę tryumfalną. Po obu stronach drogi, wśród gajów srebrnolistnych, stały grotty, w kształcie wielkich muszli perłowych. Na tle tychże gajów ustawiono drzewa koralowe z dna morskiego dobyte... Na jeziorach i stawach były fontann szeregi, tworząc sobą ruchomą kolumnadę, przez którą przepływały stada łabędzie. Śpiew syreni rozlegać się miał wszędy, różnobarwne ptastwo zalegać drzew gałęzie, w którąkolwiek stronę oko się zwróci, wszędzie uderzać je miały cuda i dziwy. Spodziewano się, że sąsiad królewski zostanie niemi olśniony i oczarowany. Mglistość i martwość królestwa Zimowego ustępowały przepychowi i piękności.

Nad wszystkie jednak cuda najpiękniejszym był sam zamek króla Zimy. Gmach ten olbrzymi, nieobjęty okiem, cały wykuty był z lodu. Przed wejściem do niego wznosiło się sto kolumn, których szczytu dojrzeć nie było podobna. Wyciosane ze skał różnej barwy, przedstawiały jakby kilkanaście tęcz skamieniałych na białem tle murów lodowych.

A jeżeli zamek był największym cudem w królestwie Zimy, to w zamku najcudowniejszą była

bezwątpienia owa wielka sala tronowa, w której to przed niedawnym czasem Mróz przyjmował złożone nań rządy kraju.

Jakże świetnie ozdobiono tę salę na przyjęcie gościa! Lodowe jej mury połyskiwały złotemi liśćmi olbrzymich drzew. Pod lśniącemi arkadami rozkładały się korony złotych palm, wokoło kolumn lodowych oplecione srebrzyste gałęzie, połyskiwały rubinami, szmaragdami, topazami, dyamentami, z kąd spadała ulewa blasków.

Mąciło się w mózgu od tego potopu światła, od tych ogromów niezmiernych, od tego bajecznego przepychu!

Niezadługo rozeszły się wieści, że Wiosna się zbliża! Można to było poznać po wciąż wzrastającym drzeniu jakimś, które czuć się dawało w całym państwie Zimowem. Cokolwiek tylko żyło — czekało z upragnieniem wielkiego gościa, a słowa: Wiosna nadchodzi! podawano sobie z ust do ust.

I znowu herold Wicher zatrąbił w muszlę olbrzymią na cztery strony państwa Zimowego, lecz już cały lud państwa tego stał zgromadzony przed zamkiem swego władcy. Co żyło — wszystko się tu zgromadziło: stanąwszy na najwyższym stopniu wiodącym do wielkiego gmachu, widziało

się nieskończone morze głów, miliony oczu zwróconych ku jednemu celowi.

Otwarto szeroko liczne podwoje zamku — lecz przekonał się król Zima, że cały lud jego w ścianach gmachu zmieścić się nie może, choć gmach ten rozciągał się wzdłuż i wszerz na mil kilkadziesiąt...

Zato ci, którzy zmieścili się w owej sali olbrzymiej — osłupieli z podziwu i zachwytu, — po długiej chwili milczenia rozległ się szmer potężny...

Król zgromadził na tę uroczystość wszystkich wasalów i całą olbrzymią swiętę. Od piór powiewających na szyszakach i hełmach wiatr chodził po gmachu, od blasku klejnotów łuna wznosiła się nad tronem. Tuż obok tronu królewskiego stał drugi, na którym siedziała Śnieżyca.

Dokoła niej świecił wieniec najpiękniejszych rusałek państwa Zimowego, dokoła niej błyskał cały skarbiec państwa, ale ona świeciła nad tem wszystkim, jak gwiazda, świeciła krasą i skromnością.

Biała powłoczysta szata osłaniała jej wiotką i uroczą kibić, fala płowych włosów spływała aż do ziemi. Zamiast klejnotów miała we włosach kwiaty, wybrane z pomiędzy darów oblubieńca

a nad czołem śnieżnej białości jaśniał półksiężyc kryształami lodu.

Z jej twarzy widać było, że jeszcze dotąd nie widziała nikogo i nie wkoło siebie. Oczy jej zwrócone były ku wejściu, gdzie miał się im pokazać gość pożądany. Zima uśmiechał się, patrząc na nią, na twarzy Mrozu jaśniała duma ojcowska.

Wśród ciszy oczekiwania panującej w gmachu, rozległa się nagle przedziwna muzyka: orszak Wiosny zbliżał się. Muzykę tę czarodziejską składało tysiąc przeróżnych tonów, a każdy z nich brzmiał radością. Gruchania gołębie, trele słowicze, gwary żorawie, skowronków pieśni, Wietrzyka harfowe melodye, metaliczne szmery jakieś — wszystko w tem było, wszystko śpiewało wielkie, uroczyste: Hozanna!

Śnieżyca całą duszę swą w słuch i oczy przelała — zdawało się, że w piersi jej serce nawet zamarło.

Muzyka się zbliżała coraz więcej, tłumy rozstąpiły się szeroko — najmniejszy szmer nieprzerwywał ciszy, w której tylko melodyjna harmonia Wiosny płynęła.

Nareszcie pierwszy wszedł w rozwarte podwoje blask. Blask to był tak potężny, że wszystkie łuny światła przy nim zgasły. Blask ten padł

na Śnieżycę i poczuła ona raz pierwszy w życiu — owo ciepło o którym marzyła, o którym nie miała pojęcia. Była to dla niej wniebowzięcia chwila.

Potęga harmonii muzycznej wzniosła się, — złączyły się z nią szelesty skrzydeł tysiącznych — i oto ukazał się w podwojach sali długi sznur lecących żorawi, potem drugi sznur bocianów, potem orszak jaskółek czarnych i białych gołębi, wreszcie ciągniony przez ten zaprzęg skrzydlaty pojawił się w powietrzu rydwan królewski z kwiatów i obłoków różowych, a na nim — on! — gość oczekiwany — Wiosna!

Był to wyniosły młodzieniec, cały w złotej zbroi. Nad hełmem jego błyskało słońce płomienne, zpod hełmu na ramiona spływała fala wijących się promiastych włosów. Jedną ręką trzymał złote wodze swego skrzydatego zaprzęgu — drugą podniósł, jakby do błogosławieństwa.

W jednej chwili tłumy padły przed nim na kolana a blask jego słońca odbił się stokrotnie w lodowych murach gmachu.

Rydwan Wiosenny zbliżał się do tronu, gdy nagle stała się rzecz niewysłowiona. Straszliwy łoskot dał się słyszeć ze wszech stron, mury lodowe gmachu pękały, sklepienia zaczęły się walić,

kolumny łamać — cały gmach zachwiał się w posadach i runął z przerażającym łoskotem...

Niewypowiedziany popłoch powstał przy tronie Zimy: król, Mróz, lennicy, wasale i cały dwór Zimowy w ucieczce szukali ocalenia, — co żyło tylko pierzchało strwożone, wszyscy prócz... Śnieżycy. Ona nie nie słyszała, nie widziała, nie czuła — wzrokiem, pamięcią, duszą utonęła w spojrzeniu kochanka.

Oto zbliża się do niej — wyciąga ku niej ramiona — chwila jeszcze — i padła mu w objęcia a białe jej rączki oplótły mu szyję w uścisku gorącym.

Stali tak przez chwilę, wśród ruin rozpadłego zameczyska, wśród zamętu i trwogi powszechnej, przytuleni do siebie i niemi z zachwytem.

Niestety! — uścisk ten był zabójczym dla Śnieżycy, biała, wiotka jej postać nikać nagle zaczęła, i znikła...

Na kwiatach zdobiących rydwan Wiosny została po niej rosa srebrzysta, a na lśniącem pancerzu — łyzy jej szczęścia...

LALA.

OBRAZEK MIEJSKI.



Przyjściu na świat ludzi towarzyszą podobno okoliczności, zostające w związku tajemnym z ich przyszłością. Tak, na przykład, czytamy niejednokrotnie w życiorysach wielkich wojowników, że gdy ich pierwszy krzyk powitalny rozlegał się w komnacie, na dworze szalała burza, zwaśnione żywioły wściekłą toczyły z sobą walkę.

Kolebkę bohaterki mojej najweselsze witały wróżby. Na ulicy przed oknem sypialni kataryniarz skocznego wygrywał walca, w sąsiednim mieszkaniu, przez ścianę, ktoś ogniście rzępolił galopa, a na dziedzińcu, wobec licznego audytorium kucharek, dzieci i piłujących drzewo drwali, małpa w czerwonym kapeluszu i zielonym fraczku, wykonywała z niezwykłą gracyą, jakiś swój taniec narodowy z lasów afrykańskich.

W domu państwa Damianów, których rodzina złożona już z czworga dzieci powiększała się obec-

nie o jedną jeszcze córkę, panowało również zadowolenie powszechne, chociaż z różnych powodów. Sama pani, mająca już czterdziestkę skończoną na rejestrze życia i siedemnastoletnią córkę, pannę Ernestynę, witała chętnie przedstawiającą się jej obecnie możność występowania w roli *młodej matki*, do czego ją małe dziecko i dobrze jeszcze zachowane wdzięki upoważniały. Zresztą chrzciny były wybornym pretekstem do wydania wieczoru tańczącego, a pani Damianowa przepadała za wszelką zabawą.

Co do pana Radey, zdawał się być odmłodzonym, doczekawszy się raz jeszcze powiększenia rodziny. Pochlebiało mu to widocznie. Przechadzając się elastycznym krokiem po swem mieszkaniu, głaskał się po łysinie i z pewną dumą poglądał na ludzi. Była to dla niego jedna z owych rzadkich chwil, w których przywidywało mu się, że jest panem w domu; zresztą z góry już wyobrażał sobie wrażenie, jakie zrobi wieczorem w resursie na swych zwyczajnych partnerach taką wiadomością.

Ucieszyło się też z przybycia małej siostry jej rodzeństwo: pięcioletnia Jadzia, ośmioletni Munio, dziesięcioletnia Kicia i najstarsza Tynia. Jadzia utrzymywała, że jest to lalka, dla niej umyślnie sprowadzona przez bociana, — Munio chciał ją

brać na ręce, Kicia zajęła się szyciem koronkowego czepka dla maleństwa, Tynia zaś, czyli panna Ernestyna, unosiła się nad pięknoscią nowonarodzonej i jej uderzającym podobieństwem do matki.

— A jak się będzie nazywać? — pytało każde z dzieci pokolei.

Imię nie było z góry obmyślanem, więc pan Radca wziął się do kalendarza i wspólnie z żoną postanowili, że mała ma mieć imiona Eulalia, Kornelia, Flora.

— Lala! Lala! — krzyknęły dzieci chórem — i oto jakim sposobem bohaterka moja została Lalą.

Pani Damianowa zbyt światową była kobietą, by się mogła zdecydować na karmienie Lali własną piersią. Oddano ją w opiekę mamki i wraz z nią umieszczono w pokoiku od dziedzińca, który służył także na garderobę, a podczas zabaw tańczących, na skład wszelkiego rodzaju gratów, jakie należało zprzed oczu gości usunąć.

Dziecko przyniosło z sobą spory zasób zdrowia, choć oddalone od matki rozwijało się bujnie i szczęśliwie; gdy na dziedzińcu grać zaczął katarzyniarz, albo z salonu doleciały skoczne dźwięki tańca granego przez pannę Tynię, pulchne nóżki Lali skakały w kołysce, a z czasem, dla uspokoi-

jenia dziecka, mamka zmuszoną była odbywać z nią tańce po pokoju, gdyż inaczej, rozigrane nerwy nie chciały przyjść do równowagi.

Miała już Lala z pół roku, gdy zaczęto przygotowywać dla niej jakiś strój galowy. Oko dziecka zatrzymywało się z niejakim zdziwieniem na tarlatanach, koronkach i wstążkach, które wkładano na nie i zdejmowano znów. Te stroje były istotnie bardzo niepodobne do zaniedbanej najczęściej brudnej, a czasem i podartej bielizny, jaka służyła Lali za okrycie codzienne; to też raz uczepliwszy się rączkami czerwonej wstążki i wpakowawszy część takowej do buzi, zdołała bohaterka moja wywalczyć sobie tę ozdobę, którą uznano już za niemożliwą do użytku.

Nareszcie pewnego dnia, ustrojono Lalę tak pięknie, że w żadnym sklepie nie było strojnieszey, i odbyła ona pierwszą swą podróż z domu do kościoła, w którym podczas ceremonii chrztu nad nią dokonanego, zachowała się z całą przyzwoitością osoby, mającej poczucie zwyczajów towarzyskich.

Tegoż dnia wieczorem odbył się pierwszy występ mojej bohaterki na szerszej arenie świata; — zanesiono ją do salonu, gdzie płonęły liczne światła, brzmiała wesoła muzyka i mnóstwo ele-

ganckich osób przyszło przypatrywać się ostatniej konsolacyi państwa Damianów.

Po należytem przyjrzeniu się, szmer pochlebny rozplynał się w salonie, uznano jednogłośnie, że Lala jest śliczną.

To był jej pierwszy tryumf.

Ale przypatrzmy się i my, jak wygląda bohaterka nasza. O ile z rysów półrocznego dziecka wnosić coś można, będzie ona wierną kopią mamy. Duże okrągłe oczy szafirowe, patrzące na świat dość wesoło, ale bezmyślnie, buzia okrągła z dołeczkami, czoło niskie, usta drobne — oto, co małą Lalę robiło podobną do starej, — czyli grzecznie mówiąc, córkę do matki.

Pani Damianowa z wdziękiem istotnym trzymała na kolanach swych dziecę, z czułością tuliła różowe usta do jej czołka, a w oczach jej czytano wyraz dumy macierzyńskiej, tem piękniejszy, im rzadziej u niej widziany. Damy przesadzały się w pochwałach, mężczyźni przepowiadali, że będzie to królowa salonów, dodając zlekka uwagę o wielkiem do matki podobieństwie.

Lala przyjmowała to wszystko dość obojętnie, jako rzecz jej należną; tylko szafirowe oczęta zatrzymywały się z upodobaniem na złotych kółczykach, broszkach, bransoletach, i na kwiatach

zdobiących głowy dam. Ale gdy zabrzmiała muzyka, cała postać dziecka ożywała się w jednej chwili, zaczęła trzepać rączkami i nóżkami, domagając się, by stojąca na boku mamka puściła się z nią w zwyczajny taniec. Ponieważ jednak nie wchodziło to do programu zabawy, musiały się obie wynosić z salonu, pomimo energicznych protestów ze strony małej Lali, która zdawała się widzieć wśród taneczników właściwe dla siebie miejsce.

Wbrew tak wyraźnie objawiającemu się usposobieniu do światowego życia, bohaterkę naszą skazano na mieszkanie w garderobie, pod opieką i w towarzystwie służ, — taki bowiem istniał tryb wychowania w domu państwa Damianów. Sama pani i starsze córki jej, Tynia i Kicia rzadko kiedy pokazywały się Lali, — używanie świeżego powietrza na Nowym-Świecie i Krakowskim-Przedmieściu, przegląd codzienny okien sklepowych, wizyty, wieczorami zaś koncerty i teatr, wszystko to zbyt wiele zabierało czasu, by go jeszcze starczyć mogło na chwilowe choćby zajęcie się dzieckiem. Z początku towarzyszyła siostrze Jadzia, ale i to się urwało; od kiedy bowiem zaczęła ona wykonywać gamy na fortepianie, uczyć się czytania, pisanie i rachunków, a czasem w nagrodę za pilność, towarzyszyć

matce i siostrze w ich codziennej przez Nowy-Świat defiladzie, — tak zhardziała, że już wszelkie zabawy z Lalą, były dla niej czemś niestosownem i ubliżającym.

Tembardziej bawić się z nią nie mógł gimnazysta Munio, który czasem tylko wpadał tu, jak wicher, rzucił siostrze jakiś komplement, naprzykład: ty głupia Lalo! — w dowód łaski uszczyptał ją w policzek lub gdzieindziej, i znikał. Bohaterka moja objawiać zaczęła wcześniej naturę dystygowaną, podobne żarty budziły w niej niesmak i protest głośny; — zato, gdy jej mówiono: ładna Lala! śliczna Lala! zdawała się w tem widzieć oznakę dobrego wychowania i odpowiadała czasem z uśmiechem:

— Lala wie, że śliczna i będzie miała bogatego męża, karetę, koronki i złote kółczyki.

Rzecz prosta, że były to słowa nauczone; w miarę, jak dziecko mówić zaczynało, służ robiły sobie zabawkę, ucząc je, niby papugę różnych wyrazów; im zaś który mniej był właściwym w ustach dziecinnych, tem większą budziło to radość w gronie tych najpierwszych nauczycielek Lali. Zaczynając od pojedynczych słów, przyszło z czasem do całych frazesów a nawet piosnek, jak *Tańcowała Małgorzata*, albo *Zdarzył mi się przypadek*, — dziecko uczyło się na pa-

mięć z łatwością i okazywało dosyć sprytu; jego pytania, odnoszące się do przedmiotów otaczających, zdradzały zmysł spostrzegawczy, — niestety! zostawały one najczęściej bez odpowiedzi albo odpowiadano niedorzecznie.

Pierwsze wrażenia, jakie przebudzający się zwolna umysł odbierał, zostawały w ścisłym związku, były dalszym ciągiem tego, co stanowiło pierwsze wrażenia zmysłowe Lali. Jak oczy jej i uszy spotykały od początku błyskotki, kolorowe łachmanki, skoczne dźwięki i śmiechy, — tak teraz myśl dziecka zamkniętą była najczęściej w kole jakichś przygotowań balowych, wspomnień i nadziei tańców, odświeżania i przerabiania tiulów, tarlatanów, koronek, jedwabów. Praca przedstawiała się dziecku dwojako: w kuchni, mająca na celu jedzenie, — i w garderobie, zajęta przygotowaniem zabawy. Że jednak kucharstwo i szycie stanowią, jak wiadomo, ulubioną każdej małej dziewczynki zabawę, więc powiedzieć można, iż Lala nie miała żadnego wyobrażenia o pracy właściwej, że ją ze wszech stron otaczała dusząca atmosfera bezmyślnej wesołości. Ojciec, ilekroć do niej zwracał, mówił, że ładna, huśtał na kolanach i śmiał się z nią razem. Matka kupowała zabawki, zwłaszcza lalki na bal ustrojone, całowała ją, czasem pozwoliła przejść się po poko-

jach i z okna salonu przypatrzeć się ruchowi ulicznemu. Na gwiazdkę sprawiono jej raz dużą lalkę, która otwierała i zamykała oczy, a za przyciśnięciem piersi wydawała głos przenikający.

— Pamiętaj, byś była grzeczną, jak ta lalka! — oto jaki ideał przedstawiła dziecku matka.

Siostry starsze mówiły tylko o zabawach, Jadzia bawiła się czasem chętnie grzeczną lalką Lali, robiąc wtedy uwagi o jej piękności i stroju. Munio pytał ją zwykle, czy już sobie upatrzyła męża? — Wyraz ten tak często obijał się o uszy dziecka, że raz zapytała naiwnie:

— Co to jest mąż?

— Mąż, moja panienko — odrzekła z powagą kucharka, — to taki człowiek, co robi pieniądze i kupuje piękne suknie dla żony, wozi ją na bale, żeby się mogła bawić.

Obecni przytem lokaj i pokojówka głośno się roześmiali.

— Nieprawda! — rzekł lokaj — mąż to duża lalka, co mruga węsami, po łysinie się głaszcze, a jak ją żona dobrze ściśnie, to z gęby pieniądze wyrzuca.

Znowu się obecni roześmiali, a Lala oczywiście także.

W tym rodzaju zwykle bywały objaśnienia, jakich udzielano ciekawemu dziecku. Że jednak

najczęściej pytało się napróżno, a czasem i gniew, albo szturechnięcie było nagrodą ciekawości, więc Lala zaczęła się pytać coraz rzadziej, coraz obojętniej spozierać dokoła siebie; budząca się czynność umysłu zaczęła powoli gasnąć.

Oprócz rodzeństwa i służby, miała bohaterka nasza jeszcze jedną towarzyszkę, o której dotąd nie wspominałem. Gdy państwa nie było w domu, służba, zwyczajem warszawskim, wymykała się z mieszkania na dziedziniec, albo śpieszyła na *bramę*, ulubione miejsce wesołych pogadań. Mamka Lali a teraz jej niańka, była osobą światową i bez niej żadna sesja podobna obejść się nie mogła. Często więc i bohaterka moja brała udział w owych posiedzeniach na bramie — i był to także jeden z czynników jej wychowania. Zdawało się wszakże, iż mróz albo deszcz na dworze, lub też częściej jeszcze pobudki czysto prywatnej natury, nie pozwoliły niańce wziąć z sobą panienki. I wtedy to właśnie, by nie zostawić dziecka samego, sprowadzała dla Lali o rok starszą od niej Basię.

Basia była córką ubogiego urzędnika i mieszkała z rodzicami w dwóch pokoikach, wychodzących na kuchenne schody. Matka jej po dniach całych szyła na maszynie i rzadko kiedy mogła wyprowadzić swoją Basię z domu, zwłaszcza, że

ją w nim trzymały młodsze dzieci. Więc czasem idąc z Lalą na Folwark Świętokrzyski, niańka zabierała z sobą i Basię, a potem w wolnych chwilach, córka urzędnika przychodziła z wizytą do córki państwa Damianów, gdy ta była samą. Pani Damianowa bowiem niechętnie patrzyła na tę znajomość, utrzymując, że Lala w niewłaściwym dla niej towarzystwie nabierze złych manier i nauczy się gminnych wyrażań.

Basia było to dziecko roztropne i myślące, choć nieśmiałe. Czysto lecz ubogo ubrana, skromna w układzie i słowach, uważna i grzeczna, mogłaby słuszniej, niż mrógająca lalka być wzorem dla swej towarzyszki, ale o tem nikt nie pomyślał. Przeciwnie, nie zdając sobie jeszcze sprawy dokładnej, czuła wszakże Lala, że robi jakąś łaskę, gdy dopuszcza do swego towarzystwa dziewczynkę, ubogo ubraną i niemającą strojnych lalek. Nie było więc jej obcem poczucie nierówności między ludźmi.

— Byłam z mamą w kościele, — rzekła raz Basia — biedna mama modląc się, płakała, a mnie się jej tak żal zrobiło, że spłakałam się, aż mi oczy zapuchły.

— Czegoż twoja mama płakała?

— Nie wiem... bieda u nas, ojciec słaby,

matka sama wydołać nie może, pracuje po dniach i nocach, a pieniędzy zawsze mało.

— Słuchaj, Basiu, gdybym miała takie papierki, jakie mama daje na obiad, tobym ci oddała, ale nie mam.

— I ja nie mam! — smutno szepnęła Basia — i zarobić jeszcze nie umiem.

Lala nie rozumiała znaczenia wyrazu *zarobić*, ale już to jej nie uderzyło, zwłaszcza, że i Basia nie na wszystkie jej pytania miewała gotową odpowiedź. — Zato wyraźnie stanęła przed okiem dziecka prawda, iż źle jest nie mieć pieniędzy.

— Ty nie bywasz z mamą w kościele? — zapytała Basia.

— Nie, — mama mówi, że jak będę starsza i ładnie ubrana, to ze mną pójdzie.

— Alboż ty nie jesteś ładnie ubraną?

— A nie, jak będę miała koronki, suknie z falbankami, kółczyki, wtedy pójdę.

— Ale pacierz znasz? — zapytała ciekawa Basia.

— Nie, umiem się tylko przeżegnać.

— O! ja się modłę już dawno, umiem pacierz i Zdrowaś, i Wierzę, a wczoraj mama uczyła mnie Anioł Pański za duszę dziadunia, co umarł

w Krakowie. Poproś twojej mamy, niech cię nauczy pacierza!

Czy to ambicya, podbudzona dotychczas w kierunku wyłącznym stroju, odezwała się raz samodzielnie? — nie wiem. Dość, że Lala przy pierwszym spotkaniu się z matką, poprosiła ją nie spodzianie:

— Niech mnie mama nauczy pacierza!... moja mamo!

Pani Damianowa zapłonęła żywym rumieńcem gniewu.

— Jako! ty dotąd pacierza nie umiesz? Dziecko ma pięć lat blisko i nikt go nie nauczył. Otóż to nasze sługi! płacimy im, jak komu dobremu, a wyręczyć się niema kim. Tyniu! mogłabyś też Lalę nauczyć pacierza; — gdyby ksiądz jaki przyszedł, byłaby gotowa kompromitacya! — Albo ty, Kiciu! śliczną ma pomoc z was matka! Wszystko na mojej głowie, o wszystkim muszę sama myśleć! Ja wam się dziwię na prawdę! Uczyć dziecko takie pojętne, jak Lala, toż to przyjemność prawdziwa! Gdybym nie miała tylu ważniejszych rzeczy na głowie... Beze mnie już nawet Lali niczego nauczyć nie mogą!

Myliła się pani Damianowa w swem szlachetnem oburzeniu, Lala bowiem nie była tak zaniedbaną, nie umiała wprawdzie pacierza, ale za-

to *Zdarzył mi się przypadek* i *Tańcowała Małgorzata* nie były jej obce, jak wiemy; daną jej również była znajomość innych rzeczy, a między niemi i takich, które w dziecku pięcioletniem nie mało zadziwić mogły.

Zresztą, myliła się pani Damianowa podwójnie, gdyż uczenie dziecka pacierza jest (jak wiadomo z najnowszych badań) występniem krępowaniem swobody myśli i sumienia. Nie godzi się wkładać na wolną szyję dziecka jarzma odwiecznej, przestarzałej rutyny i zawczasu truciznę fanatyzmu wlewać w jego żyły. Wprawdzie możemy przyznać matce bohaterki naszej, że okazywała się w praktyce wolnomyślną, bądźco bądź wszakże ów gniew był objawem wstecznym, który wytłómaczyć można jedynie złem pojęciem swobody w wychowaniu; wolno było bowiem Lali uczyć się u służby piosenek w rodzaju *Tańcowała Małgorzata*, ale nie idzie za tem, by wolno było uczyć ją pacierza. Smutna rzecz, iż umysły gnębione fanatyzmem długo jeszcze tej natury wolności nie zrozumieją!

Powróćmy wszakże do naszej bohaterki.

Kwestya pacierza przypomniła pani Damianowej, że Lala skończyła już lat pięć, że więc należy pomyśleć o powolnem oswajaniu jej ze światem. Sprawiono więc kandydatce całkowity

uniform światowy, złożony z jedwabnej sukienki według ostatniego żurnalu mody, zdobnej wstążkami i dekolowanej, z kapelusza z piórami, z eleganckich bucików i rękawiczek, — w czem wszystkiem wyglądała piękniej nawet, niż owa duża lalka mrógająca. Tak przystrojona, poszła raz pierwszy z matką i siostrami do kościoła, a potem do ogrodu Saskiego.

Był to krok ważny w jej życiu, — w ogrodzie zawiązała kilka dystygowanych znajomości, dwie bankierówny i jedna pułkownikówna, również jak ona strojne, prowadziły się z nią pod rękę, układając plany przyszłych wspólnych zabaw. Lala tak prędko potrafiła dostroić się do wysokiego tonu tych dam, że gdy do niej podeszła jakaś doktorówna w szaraczku i słomianym kapeluszu bez piór, proponując wspólną zabawę, Lala zbyła ją pogardliwym spojrzeniem i odwróciła się do niej plecami.

Bankierówny parsknęły śmiechem.

— Poszła, jak zmyta! dobrze jej tak. Nie uwierzysz, *ma chère*, co to za natrętne żebractwo w tych szaraczkach i bez rękawiczek. Że też coś podobnego wpuszczają do ogrodu!

— Ja — odezwała się pułkownikówna — poczęstowałam kiedyś parasolką taką pannę po plecach, ręczę, że dotąd pamięta.

Lala słuchała uważnie i wstyd jej było trochę znajomości z Basią. Coby też na nią te panienki powiedziały! Postanowiła, że zerwie ten niewłaściwy stosunek.

W ślad za sprawieniem wykwintnego stroju i wejściem do ogrodu Saskiego, poszła inna nie mniej ważna zmiana. Oto miejsce niańki zajęła bona francuzka, M-lle Mina, czyli Wilhelmina, z którą odtąd miała hohaterka nasza codzień uczęszczać do ogrodu, ćwicząc się w mowie nadsekwańskiej (z narzeczem szwajcarskiem).

Był to okres w życiu Lali wielce wesoły i swobodny. Ubierano ją już zawsze modnie i starannie, z paną Miną była jak najlepsza komitywa, a nauka języka szła tak łatwo, że już w rok potem mówiły z sobą doskonale. Kiedy zaś we dwa lata po opuszczeniu przez Lale niańki i garderoby, panna Tynia wychodziła za męża, bohaterka nasza, występująca już w salonie, jako siostra panny młodej, zachwycała wszystkich zarówno swą pięknoscią i strojem, jak i układem dystygowanym, umiejętnością prowadzenia rozmowy towarzyskiej, oraz płynną francuszczyzną. Śliczna Lala! — zachwycająca Lala! — powtarzano sobie z ust do ust, podczas gdy ona, słysząc dokoła te pochwały, umiała zachować całą po-

wagę dorosłej panny i nie pokazać bynajmniej po sobie, jak ją te pochlebstwa uszczęśliwiały.

Poważniejsi ludzie dziwili się niemało, zkąd w takim dziecku podobna przedwczesna dojrzałość — i zamiast chwalić, kiwali głowami niemal z ubolewaniem.

Zkąd? — i mybyśmy powtórzyli to pytanie, gdyby nie znajomość warunków dotychczasowego życia Lali, które się tak urządziło, że dziecko to nie było nigdy dzieckiem prawdziwym. Cokolwiek było w niem żywego, naturalnego, — pierwsze porywy uczucia, wyobraźni, ducha, wszystko to zmarniało, wyschło w sztucznej atmosferze, nie dającej najmniejszego pokarmu sercu ani umysłowi; natomiast cały spryt wrodzony, resztką zanikłej inteligencji, zwrócił się ku naśladownictwu. Lala w siedmiu latach życia była doskonałą kopia siostr starszych i matki; stroiły się — i ona się stroiła z upodobaniem, przepadały za tańcem i zabawą, — ona także, ich wesołość trzymana w karbach konwenansu, ruchy wystudyowane przed zwierciadłem, wszystko aż do uśmiechów, spojrzeń i rozmowy — odbijało się w Lali.

Jeżeli znalazło się w niej jeszcze cokolwiek innego, to było zapożyczonem u panny Miny, albo u której ze znajomych z ogrodu.

Ogród Saski był swego rodzaju Akademią dla naszej bohaterki. Francuzka, mająca niemało stosunków i znajomości, lubiła najbardziej aleję Westchnień i rada w niej przesiadywała w dobranem towarzystwie. Lala mogła biegać, gdzie się jej podobało, zawiązywać znajomości według własnego wyboru, rozmawiać ze wszystkimi, pod warunkiem tylko, by jej nie trzeba było szukać zbyt daleko. Pupilka zaczęła z czasem spoglądać coraz ciekawiej na znajomych swojej bony, a potem obserwować i inne pary samotnie na ustronnych ławkach gruchające. Jeżeli same obserwacje jej nie zadowalniały, miała gotowe wykłady praktycznego życia w szlachetnem gronie piastunek, bon i wszelkiego rodzaju opiekunek dziatwy, szeroko nieraz traktujących domowe sprawy swoich chlebobawców.

Dawniejszy udział w posiedzeniach *na bramie*, przygotował Lalę do zrozumienia i należytego objęcia słuchanych teraz przedmiotów, — i korzystała z nich nie mało.

Projekty małżeńskie dotyczące się Tyni, a będące ciągle na porządku dziennym w domu państwa Damianów, omawianie najrozmaitszych kwestyj w tym kierunku, miały w Lali słuchaczkę bardzo uważną. Wiedziała, ile Tyni przeznaczono posagu i rozumiała, że tyleż i jej się kiedyś do-

stanie; wiedziała, kto się o siostrę jej starał, kogo protegowała matka, a kogo ojciec, oraz do którego z konkurentów skłaniała się sama panna. Przy ocenianiu wartości tych panów, rzadko kiedy była mowa o ich charakterze i wykształceniu, zato na wszystkich ustach brzmiało ustawicznie *stanowisko* kandydata. Bogatszych przyjmowano z odznaczeniem, mniej zasobnych chłodniej, — ubogich całkiem zimno. Lala umiała się na tem poznać wybornie.

Tynia żyła w przyjaźni z panną Miną i czasem chodziła z niemi na spacer do ogrodu. Francuzka dopytywała się jej zwykle ciekawie, którego z konkurentów swych kocha, i Lala była tego bardzo ciekawą, — ale nigdy się czegoś pewnego nie dowiedziały. Jeden podobał się panie Tyni z przystojnej twarzy i wdzięcznego układu, — drugiego zachwycił elegancki karykiel, którym się sam z szykiem powoził, trzeci miał ładnie brzmiące nazwisko i stosunki z panami, — czwarty nakoniec uchodził za bogatego.

Lala ciekawą była: który też z nich zostanie wybranym? Okazało się, że bogaty. Człowiek to był już niepierwszej młodości, brzydki (bo na tem umiała się także poznać bohaterka moja), wydawał się nawet koszlawym i tańczył śmiesznie — ale mówiono o nim, że ma kapitał zna-

czny, z którym zabiera się do jakiegoś zyskownego przedsięwzięcia, a sam on nosił pierścienie, łańcuchy i przyjeżdżał tylko karetą. Tynia oddała mu rękę.

Lala zrazu się jej dziwiła, ale to przeszło prędko. Cukierki były pierwszym argumentem przekonującym. Pan Klemens przysyłał codziennie prawie stosy tych specyałów, — jakże było nie pokochać tak słodkiego szwagierka? A przytem, łoże w teatrze, krzesła na koncerty, wszystko to zjednywało dla niego serce zarówno narzeczonej, jak i jej rodziny.

Czasem zdarzało się Lali jechać z siostrą w karetę pana Klemensa, — czuła się wówczas uszczęśliwioną! O! ona także musi mieć kiedyś karetę i konie, no — i męża, któryby tego dostarczał.

Raz na takim spacerze spotkała Basię, idącą pieszo, jak zwykle w szarej sukience. Jakieś uczucie skombinowane, niby duma i litość zarazem, poruszyło się w sercu Lali. Cóż to za nieszczęście nie mieć pieniędzy i pracować po całych dniach na kawałek chleba, jak rodzice tej dziewczyny!

Odbuły się nareszcie huczne wesele, na którym to właśnie Lala zebrała tyle pochwał i cukierków, że starczyć jej mógł ten zapas na długo. W miejscu Tyni, wystąpiła obecnie z kolei Kicia,

jako panna na wydaniu a przed bohaterką naszą, niby złe konieczne, stanęła pensya, po której klasach, jakby po szczeblach drabiny, należało się wznosić do praw i godności skończonej panny. O innem znaczeniu nauki nie miała Lala żadnego wyobrażenia, — nikt jej o tem nie mówił.

Niespodziewana okoliczność przyspieszyła jeszcze otwarcie przed nią podwojów zakładu naukowego. M-lle Mina została przez panią Damianową ujętą na jakiejś arcy romantycznej scenie z Muniem, który robił niezwykle szybkie postępy zarówno w klasie, jak i na scenie życia. Byłoby się to może na niczem skończyło, gdyż matka nie chciała zaprzeczać synowi praw młodości, ale starość, w postaci pana Damiana zbyt gorąco ujęła się za panną Miną i zatrzymaniem jej na stanowisku, — wskutek czego Francuzka dostała odprawę a Lalę oddano na pensyą.

Na wstępie, niemile uderzyła bohaterkę naszą powierzchowność jej nowych koleżanek. Strojne bankierówny i pułkownikówny kształciły się w domu; w ścianach zaś zakładu naukowego zbierały się przeważnie panienki uboższe, skromnie poubrzane, córki biedaków, pracujących na życie. W ich liczbie znalazła się i Basia.

Gdyby to było w Saskim ogrodzie, Lala nie

odważyłaby się chyba wejść w jakibądź stosunek z *szaraczkami*, a ich niezgrabne, powykrzywiane nieraz trzewiki, wytarte łokcie i ogorzałe ręce byłyby ją od nich odstręczyły niezawodnie.

Tu jednak prędko spostrzegła panna Damiówna, że okazywanie zbyt wyraźne wyższości swojej byłoby nie na miejscu. Bankierówny nie mogły widzieć, ani gorszyć się jej spoufaleniem się z *hołotą*, a zmysł praktyczny mówił, że chcąc szybko przebyć nienawistne owe szczeble książkowej nauki, trzeba się zastosować do okoliczności, zjednać sobie na wszelki wypadek towarzyski i przełożone, oraz pozyskać względy nauczycieli, choć niejeden z nich chodzi w krzywych butach i żadnej nie posiadał dynstynkei.

Basia miała opinią najlepszej w klasie uczennicy, — Lala więc zawarła z nią przyjaźń ścisłą, co dało możność częstego korzystania z jej notatek i kajetów. Najsurowszych nauczycieli zdobyła sobie odrazu niezwykłą uwagą, z jaką patrzyła w nich, gdy mówili, niby w tęczę. Wprawdzie patrząc tak, zastanawiała się najczęściej nad rzeczami, niebędącymi w najmniejszym związku z przedmiotem lekcji, — ale oczy starych pedagogów nie były w stanie przekonać się, co mianowicie malowało się w tych ślicznych szafiro-

wych źrenicach, tak szeroko otwartych, jakby całą ich mądrość pochłonać chciały.

W Lali był materyał na taką kobietę, jakie zyskują sobie często nazwę sfinksów. Ich spojrzenia są również zagadkowe, jak owych mistycznych potworów, — nikt ich treści nie odgadnie, dla tej prostej przyczyny, że treści w nich niema, i poraby była naprawdę o tem się przekonać. Gdzie dusza przez oczy przemawia, tam wyraz ich zagadkowym nie jest, tam czytać potrafi każdy, komu nie obce abecadło uczuć i myśli; owe zaś głębie nieprzejrane kryją najczęściej pustkę, którą tylko imaginacya patrzących własnymi tworam zappełnia.

Brak uwagi i ciągle wybieganie myślą poza obręb klasy wynagradzała Lala pamięcią wielką. Pamięć zmuszoną w niej była zastępować wszystkie brakujące władze umysłu i wywiązywała się z zadania tego niepospolicie. Nikt tak płynnie nie recytował zadanej lekcji, nikt tak długo (nie rozumiejąc rzeczy) pamiętać jej nie mógł. Najtrudniej było z matematyką, która jako pedantka stara domaga się, by ją rozumiano; ale traf szczęśliwy i tu bohaterce mojej dopomógł: nauczycielem matematyki był młody człowiek, na którym jeszcze piękne oczy większe robiły wrażenie, niż *binom Newtona* i logarytmy, i który

nadto wiedział, że rachunki musiały być wprowadzone ciągle w programacie naukowym, ale w głowie jego uczenie nie miały sobie znaleźć stałego mieszkania. Ilekroć więc, chcąc się przekonać, czy Lala rozumie, co mówi, zajrzał w jej oczy, — czuł, że już sam przestaje rozumieć i dawał za wygraną.

— Jakie to dziecko ma oczy! — mówili sobie czasem pedagogowie, kiwając głowami; — a każdy z nich czuł, że to dziecko przestało już być dzieckiem i zna doskonale siłę swego spojrzenia.

— Rośnie bieda dla kogoś! — powtarzał stary historyk, zażywając tabakę — Kleopatra musiała mieć takie oczy!

Śmiano się ze starego i jego urojeń, a on mówił swoje.

Podczas kilkuletniego pobytu bohaterki naszej na pensyi, zaszło kilka wypadków w jej rodzinie, które nas bardziej, od jej postępów w naukach obchodzić mogą.

We dwa lata po zamążpójściu Tyni, mąż jej, pan Klemens wyjechał w dalekie kraje urządzać interesa jakieś i żadnej odtąd nie miano o nim wiadomości. Z wypłaconego mu posagu nie zostało nic, zyskowne przedsiębiorstwo upadło, karę i konie zabrali wierzyciele, a pani Klemensowa przeniosła się do rodziców i widziano znowu

matkę z dwiema córkami, defilujące codziennie przez Nowy-Świat i Krakowskie Przedmieście, szykowne i uśmiechnięte.

Wypadek ten nie zrobił podobno żadnego wrażenia na Lali. Siostra jej była znowu otaczana przez młodzież, bardziej nawet, niż dawniej, bawiła się dobrze, była swobodną, — o cóżby więc chodzić mogło?

Wypadek drugi wyglądał już smutniej nieco — a stał się niezadługo przed ukończeniem nauk naszej bohaterki; — ojciec jej, nie mogąc strawić jakiejś kolacyi zjedzonej w resursie, zachorował i w kilka dni przeniósł się do wieczności.

Było to tem smutniejsze, że wypadło w połowie karnawału i pociągnęło za sobą konieczność odwołania kilku zapowiadzianych wieczorów tańcujących.

Już to ojcowie rodzin, zwłaszcza w tym czasie, powinni by baczniejszą zwracać uwagę na kolacye jadane w resursie...

Pani Damianowa heroicznie przeniosła tę stratę, a za jej przykładem poszły i córki. Najwięcej może okazywał żalu syn, Munio, teraz już student uniwersytetu, ale on nas mniej obchodzi.

Co do panny Eulalii (bo nie wypada już może nazywać ją po dawnemu), jako najmłodsza z rodziny najmniej знаła ona ojca. Był on wogóle

mało widoczną w domu osobą, szacunku dla siebie nie nakazywał, a miłości nie budził, — wrodzone zaś przywiązanie dziecinne (jeżeli kiedykolwiek było) zanikło w córce wraz z wielu innemi pierwiastkami uczuć.

Pogrzeb odbył się okazale (jak wszelkie obchody i uroczystości w domu państwa Damianów), *nieutulona w żalu żona, wraz z pozostałemi sierotami* zaprosiła za pośrednictwem Kuryera, znajomych i przyjaciół do udziału w oddaniu czci nieboszczykowi, orszak też był liczny, a na jego czele szła rodzina cała w grubej żałobie, z chustkami przy oczach.

Utrzymywano powszechnie, że najpiękniejszą była Lala, że łzy błyszczące w jej szafirowych oczach, podniosły jeszcze ich urok, a strój żałobny przypadał jej bardzo do twarzy. Zauważono przytem, że stanowczo przestała być dzieckiem, choć kończyła dopiero lat piętnaście, — tak urosła, rozwinęła się nad wiek swój, odznaczała się taktem i powagą.

Pokazało się wkrótce, że nieboszczyk radca był mocno zachwiany w interesach, że na hipotece znalazły się długi, że zięć potrafił oprócz posagu wyłudzić jeszcze trochę kapitału, wskutek czego przyszłe posagi panien mogły być mocno zredukowane.

Uszanowano też boleść rodziny i dom tak dątał wesoły zaczął nieco świecić pustkami. Ale komuż nie wiadomo, że serce ludzkie ze wszystkim się oswaja! Widziano więc znowu matkę z córkami, defilujące codziennie przez Nowy-Świat i Krakowskie-Przedmieście a choć w żałobie, zawsze jednak strojne, szykowne i uśmiechnięte.

Trzecim wypadkiem w tej rodzinie, było ukończenie przez Munia szkół i wstąpienie do uniwersytetu. Nie będąc, z natury rzeczy, zamkniętym jak siostry w błędnem kole samych błahostek i zabaw, Edmund wyrobił się na chłopca lekkiego wprawdzie i narowistego, ale z niezłym sercem i dość otwartą głową.

Puszczony samopas przez rodziców, rozhulał się trochę przedwcześnie, nie przeszkodziło mu to jednak zwycięsko przejść egzaminów, ani też poważniej zastanowić się nad sobą po śmierci ojca. Pod wpływem tej straty, a także pod wrażeniem poważnych wykładów profesorskich, wziął się naseryo do pracy naukowej, zamykając całą hulaszczosć swą i werwę młodzieńczą w obręb życia koleżeńського.

Odtąd oficyna domu Damianów stała się prawdziwą kolonią akademicką. W niej miał Edmund mieszkanie swoje, a koledzy garnęli się do niego tem chętniej, że ich nęciły wesołe wie-

czorki i piękne panny, w których towarzystwie bawiono się tak ochoczo.

Z kolegów tych najmilszym był Edmundowi niejaki Wadwicz, student wydziału przyrodniczego. Stanowili oni dwa typy całkiem różne i może właśnie to ich zbliżyło. Ubogi, niezmiernie pracowity i zdolny, Wadwicz miał naturę serdeczną i głęboką; każda myśl ważniejsza, każde silniejsze uczucie zapadały w jego umysł i serce, jak ziarna wgłąb wdzięcznej roli. Życie traktował nasyro, obowiązek wszelki był dlań świętym i nie rozumiał, jak może być inaczej. Często się o to sprzeczał z Edmundem, który choć młodszy, na ludzi patrzył krytyczniej i więcej posiadał doświadczenia; żartował więc z ideałów przyjaciela, pokazując mu we wszystkim odwrotną stronę medalu, w której prawdziwość wierzył bardziej, niż może w jego wieku należało.

Wadwicz wprowadzony został oczywiście do rodziny kolegi, a że ładny był, zręcznie tańczył i pomimo swej powagi tańczyć lubił, więc go w salonie widziano chętnie i zapraszano często.

Młodzieniec sercowy i entuzysta, obojętnym na wdzięki kobiece być nie mógł, — a Wadwicz nie był nim tem bardziej, że patrzył jeszcze na kobiety z całą świeżością fantazyi, z idealnemi złudzeniami serca niezbrudzonego dotąd żadną

namiętnością. Gorąca krew wrzała w nim z tem większą siłą, że trzymał ją w karbach żelaznych, a żywa wyobraźnia rzucała na każdą kobietę magiczne światło różowe.

Z takim usposobieniem niebezpiecznie było zaprawdę znaleźć się w salonie państwa Damianów, gdyż i Tynia, i Kicia, i Jadzia, i Lala, każda na swój sposób, hojnie zostały obdarzone przez naturę wdziękami. Tynia, czyli opuszczona przez męża pani Klemensowa, zachwycała powłoczystem spojrzeniem ciemnych oczu, długimi ocienionych rzęsami; Kicia słynęła z prześlicznej płci i białych ząbków; Jadzia podbijała serca bogatemi włosami i zlekka podniesionym noskiem; Lala nareszcie miała i piękną płć, i białe ząbki, i długie włosy, i prawidłowe rysy, a przytem wszystkim owe duże, okrągłe, szafirowe, jak niebo oczy, pełne głębi tajemniczej. Wszystkie razem, były panny Damianówny kształtnie zbudowane, zręczne, tańczące jak Sylfidy, wesołe i śmiejące się łatwo, mówiące dużo: było więc czem zawracać głowy młodzieży.

Wadwicz wszedł w to zaczarowane koło zupełnie bezbronny; szyderstwo i przestrogi Edmunda nie oddziaływały nań wcale, wobec tylu wdzięków rozproszyłaby się i ta odrobina zmysłu krytycznego, jaką posiadał i Bóg wie, coby się z ser-

cem jego stało, gdyby nie ów tajemniczy pociąg jakiś, który w razach trudności wyboru zwykł sam rozstrzygać.

Trzy starsze siostry pomimo wdzięków swych, wydały mu się zbyt lekkimi trzpiotami, by do nich przylgnąć mógł sercem; ideał jego musiał mieć więcej powagi, wyższy nastrój duchowy i głębsze usposobienie. To wszystko wyczytał on w szafirowych oczach panny Eulalii, które go urzekły od razu i zrobiły jej wielbicielem gorącym.

Stało się to jeszcze przed wystąpieniem bohaterki naszej w świecie, jako panny skończonej, — była wówczas podlotkiem, uczęszczała na pensyą i nosiła jeszcze krótką sukienkę. Jej obejście odróżniało się pewną skromnością, gdyż siostry nie chcąc uznać pensyonarki za równą sobie, traktowały ją, jak dziecko; pomimo przedwczesnej dojrzałości i wdzięków, jeszcze nie garnęły się do Lali roje wielbicieli, więc niezepsuta dotąd hołdami, wdzięczną była każdemu, co się do niej zbliżył na dłużej i starała się zatrzymać go przy sobie owem tajemniczem spojrzeniem pięknych oczu.

Pod wpływem tych spojrzeń, Wadwicz widział w bohaterce naszej wszystko, co miało być cechą jego ideału. Była ona w wyobraźni jego istota

czującą i myślącą głęboko, nieskończenie wyższą duchowo od sióstr starszych, zdolną do poświęceń wszelkich, zapoznanym kopciuszkim rodziny.

Pierwsza, młodzieńcza miłość, pełna idealnych porywów, nieświadomie połączonych z upojeniem zmysłowem, zbudziła się w sercu Wadwicza z całą siłą niepohamowaną. Przez jej czarodziejski pryzmat wszystko się przedstawiało pięknem, dobrem, świętem w przedmiocie ukochanym; każde słowo nabierało wagi i znaczenia, każdy ruch zachwycał, — tabliczka Pytagorasa stałaby się poematem w jej ustach, a choćby Lala wydawała tylko takie dźwięki, do jakich zdolną była jej niegdyś lalka porcelanowa, to każdy z nich wydałby się niebieską melodyą Wadwiczowi.

Kto sam kochał kiedy w ten sposób, ten mnie zrozumie; — kto takiej miłości nie zaznał nigdy, próżnobył go o jej istnieniu przekonywał.

Cóż na to wszystko Lala?

Oto najpierw poznała się ona szybko na uczuciach, jakie w młodzieńcu wdzięki jej obudziły i — pochlebiło to jej bardzo. Chwalono ją często i oddawna, — on pierwszy jednak tak gorącym zapłonął dla niej afektem. Nie byłaby chyba kobietą, gdyby mogła zostać na to obojętną.

Spotykali się z sobą często na ulicy: ona wracała z pensyi, on z uniwersytetu; spostrzegłszy

go zdaleka, Lala szła wolniej, by mógł ją dopędzić; szli razem, gawędząc najczęściej o niczem — ale dla niego każde słowo takiej rozmowy nabierało treści — i stawało się często przedmiotem długich następnie rozmyślań. A cóż dopiero spojrzenie szafirowych oczu! albo silniejszy uścisk dłoni!

Najszaleszy marnotrawca nie potrafi rozrzuć tyłu i tak cennych skarbów, jak to robi młodzieniec opętany pierwszą miłością. Gdyby zebrać razem te uczucia głębokie, złudzenia rozkoszne, tęsknoty, rozpacz i nadzieje, — byłoby nie raz czem zapełnić niejedno życie puste, smutne i jałowe. A dziwne to i smutne przeznaczenie, że przedmioty miłości podobnych nigdy prawie nie zasługują na ofiary, płonące w cześć im wielkim ogniem na ołtarzu serc młodzieńczych.

Czy Lala oprócz zadowolenia miłości własnej czuła jeszcze co więcej? Czy choć wczęści odpłacała się wzajemnością za tak głębokie przywiązanie?

Rzecz bardzo wątpliwa, — i nie dziwny się temu.

Oprócz uczuć fenomenalnych, silniejszych nad wszystko i rozwijających się o własnej sile bez względu na warunki, — oprócz serc wyjątkowo nastrojonych do miłości, — serca i uczucia ludzkie

kształcić się muszą i rozwijać tak, jak myśl, jak kwiat, jak wszystko, co żyje.

Wadwicz kochał mocno rodziców i ciężko przebolewał ich stratę; kochał potem stryja, który opiekował się nim i dopomagał niekiedy; zaprzyjaźniwszy się z Edmundem, pokochał go i zdolnym był poświęcić mu dużo; gorąco przywiązany do kraju rodzinnego, do zakątka, w którym się wychował, oddał się potem z wielkim zamiłowaniem nauce, pracował z zapałem, marząc, że w przyszłości będzie pożytecznym społeczeństwu swemu, a tymczasem zawód obrany dostarczał mu dużo rozkoszy umysłowych. Słowem, człowiek ten żył sercem i wychował się w atmosferze miłości.

Jak suchą, marną i chłodną była atmosfera, w której urosła bohaterka nasza, — wiemy. Nikt jej miłości nie okazywał i ona nie kochała nikogo. Matka, ojciec, brat, siostry — byli dla niej obojętni, nauka nie pociągnęła ku sobie wcale; przyjaźń z Basią oparła się na korzyści, nikt nie obudził w niej serca i nic do niego nie przemówiło.

Miłość Wadwicza znalazła ją nieprzygotowaną bynajmniej; ani jej zrozumieć należycie nie mogła, ani odpowiedzieć czemś podobnem. Jedną tylko знаła dotąd namiętność — do zabaw i roz-

rywek, jedną żądzę — być piękną, strojną, chwaloną i podziwianą.

Ale jeżeli dusza zasnąć może w istocie ludzkiej, kiedy jej nic nie budzi i nie żywi, — ciało wcześniej czy później, o prawa swe upomnieć się musi, a często nawet tem wcześniej, im bardziej dusza uśpiona.

Pomimo niekorzystnych i pod tym względem warunków, Lala urosła zdrowa i silna, rozwinęła się bujnie, dojrzała przedwcześnie. Ładny chłopiec, pochłaniający ją spojrzeniem i unoszący w tańcu namiętnie, którego ręka drżała w uścisku jej dłoni, a twarz czerwieniła się i bladła na przemiany pod wpływem jej głosu, — zaczął budzić z czasem jakiś rodzaj pociągu, który Lala nazwała miłością.

Miłość ta oddziaływała na nią, jak gorące słońce na wpół rozkwitłą różę. Naprzekór siostrze, czuła się panną skończoną, skoro już kochała, dumną była z tego i do zupełnego zadowolenia brakło jej tylko — długiej sukni. Inne marzenia nie pojawiły się w pięknej główce, nie stał się ich przedmiotem nawet Wadwicz, choć pocichu nazywała go swoim kochankiem.

Natomiast niecierpliwił ją często.

Mieć kochanka — to przecie znaczy mieć kogoś, co jest na rozkazy, co czeka skinienia i go-

tów lecieć w ogień — po kilka funtów cukierków, albo bilet do teatru. Tymczasem on nie zawsze przychodził w porę, nie zawsze umiał odgadnąć jej myśli, owszem grzeszył czasem wielką niedomyślnością.

Nauczyła się też z czasem karać go za to, dokuczać kaprysami, śmiać się z niego, lub się — Bóg wie czego — chmurzyć.

Nie przeszkadzało to wszakże szukać środków tajemnego z nim porozumienia się. Podczas żałoby domowej, w braku wieczorów tańczących i tłumów gromadzących się na nie, urządzano w salonie państwa Damianów gry towarzyskie. Wadwicz znajdował się zawsze przy ukochanej, a gdy raz przypadkiem ręce ich spotkały się pod stołem, ona nie myślała o cofnięciu swojej i pozwoliła jej zostać przez kilka minut w jego dłoni. O domyślnych spojrzeniach i uśmiechach już nie mówię: pensyonarka składała wybornie egzamin z trudnej sztuki kokieterii i zajmowały ją mocno eksperymenta podobne, robione *in anima vili*.

Raz, przy okazji sądenia fantów, co ważną, jak wiadomo gra rolę w zabawach towarzyskich, ktoś skazał pannę Eulalią na pocałowanie Wadwicza. Tym ktosiem był podobno Edmund, który znając stan serca przyjaciela, chciał mu się w ten sposób przysłużyć.

Wesołym śmiechem przyjęły to siostry, a pani Klemensowa, najuparciej traktująca Lale, jak dziecko, rzekła do niej:

— Możesz sobie pozwolić! jeszcze ci wolno!

Było to może żartem tylko, ale osądzona pogodziła się z losem swym naseryo i nim Wadwicz mógł się oprzeć, pocałowała go w czoło.

Zapomniwały o tem siostry Lali, że z miłością igrać niebezpiecznie. Pocałunek przypadkowy i żartobliwy oddziaływał na młodą parę, jak iskra na proch rzucona, — spłonęli i pobledli oboje, a gdy w końcu wieczora zdarzyło się im zostać w salonie sam na sam — on otoczył ją nagle ramieniem i wycisnął na różowych ustach pocałunek drugi, tym razem dłuższy i gorętszy, — ona zaś nie myślała się bronić.

Stosunki ich przeszły w fazę takiego zapалу, że już i pani Klemensowa żartować przestała. Widocznem było, iż Wadwicz kocha Lale — a ona nie jest dlań obojętną. Panna skończyła pensyą, on był na czwartym kursie, — mogło się z tego złożyć małżeństwo.

Zaczęto więc wywiadywać się starannie o widoki jakie przedstawiał ten związek. Dowiedziano się, że Wadwicz nie ma żadnego funduszu, że do utrzymania dopomaga mu stryj, posiadający wprawdzie majątek, ale cieszący się też żelaznem

zdrowiem, że wydział przyrodniczy, na który uczęszcza młody człowiek, małe daje nadzieje na jego przyszłość, pod względem materyalnym, — słowem, okazało się, że *partya jest żadna*.

Pani Damianowa zaczęła tedy z większą pieczołowitością patrzeć na córkę najmłodszą, po której wdziękach spodziewać się mogła, że zapewnią jej los świetniejszy, a może i na poprawę interesów familijnych wpłyną skutecznie.

Tymczasem zaczęły się znowu huczne zabawy, dom otworzono szeroko, a przywdzianie przez Lale długiej sukni stało się hasłem dla całej hurmy wielbicieli.

Wadwicz zaczął powoli schodzić w cień, że zaś i nauki potrzebowały teraz większej, niż dotąd pracy, rzadziej się pojawiał w salonie Damianów.

Porozumienie jednak tajemne z Lala nie ustało i młodzieniec zyskiwał coraz większą pewnością, że gdy przyjdzie chwila stosowna, ukończona przez niego zostanie mu żoną.

Na szczęście, czy nieszczęście, zaczął bywać w tym domu pan Floryan niejaki; bogaty stary kawaler, jawny wielbiciel panny Eulalii. Przeszłość jego miała być burzliwą, wędrował dużo po świecie, w wędrownkach tych stracił zdrowie, okulał na nogę, wyłysiał, ale zebrał fundusz, jak po-

wiadano, spory. Widok siedemnastoletniej pięknej panny zapalił w nim resztki afektów; postanowił sobie, że ją posiedzie i rozpoczął niezwłocznie kroki odpowiednie.

Lala krzywiła się zrazu, bo też pan Floryan ponętym nie był wcale, — lecz wystąpiła czynnie wytrawna dyplomacya rodzinna, wszyscy zaczęli ją nagle pieścić, kochać i namawiać, rozwijając świetny obraz przyszłości z mężem niedługowiecznym, a bogatym — i dokonano wreszcie tego, że bohaterka nasza pogodziła się z myślą zostania panią Floryanową.

Stary kawaler niecierpliwił się, jak młodzieniec, a dowiedziawszy się o jakichś dawnych stosunkach panny z Wadwiczem, umyślił rozciąć napotkany węzeł mieczem Aleksandra.

Raz gdy na wieczorze towarzyszył, kulejąc, przechadzającej się po salonie pannie Eulalii, we drzwiach pojawił się Wadwicz, blady i zmieniony, doszły go już bowiem wieści o projekcie rodzinnym. Pan Floryan spojrzawszy na przybysza przez szkiełko, głośno odezwał się do panny:

— Co za bajki chodzą po mieście! Mówił mi na przykład ktoś, że pan Wadwicz ma jakieś prawa do serca pani. Nieprawdaż, że to śmieszne?

Lala rozśmiała się na to głośno, serdecznie, tym srebrnym śmiechem, który był jednym z jej

uroków, — a konkurent zawtórował jej głosem zepsutej pozytywy. Śmieli się tak oboje, gdy nagle panna odwróciwszy się, ujrzała stojącego u drzwi Wadwicza, zbladła i zamilkła.

Ale on słyszał ten śmiech dobrze, przeniknął go dźwięk jego szyderski aż do głębi serca, jak sztylet zatruty; odwrócił się i wyszedł.

Odtąd nie widziano go w domu Damianów; pomimo wdania się w to Edmunda, wyniósł się na inny koniec miasta, a w parę miesięcy potem, złożywszy najchlubniej egzaminy, opuścił Warszawę.

Tymczasem odbyły się formalne zaręczyny panny Eulalii z panem Floryanem i naznaczono dzień ślubu.

Zajęcie się wyprawą ożywiło niezmiernie matkę i córki, — po całych dniach biegały one po mieście od sklepu do sklepu, spotykano je w różnych stronach miasta zaaferowane i rozpromienione zarazem, a do domu ich ciągnęła procesya pośtańców wszelkiego rodzaju z pakami, pakunkami i pakuneckami. Modniarki i szwaczki krajały i szyły na gwałt, gdyż termin był niedaleki, same panie zajęły się najłatwiejszą funkcją rozrzucania pieniędzy, żadna bowiem nie umiała zająć się czem innem.

Nie od dziś jednak wiadomo, że rachuby ludz-

kie mylą często. Oznaczony termin ślubu wypadło przenieść na później, gdyż narzeczony zachorował obłożnie, w ten sposób rzecz szła ciągle w odwłokę, rok cały upłynął a pan Floryan, pomimo usiłowań lekarzy, nie mógł bodaj tyle tylko odzyskać zdrowia, by przejść jako tako od drzwi kościelnych do ołtarza. Pani Damianowa, odwiedzając często chorego, napróżno podsuwała mu myśl, że ślub można wziąć i w domu; upierał się koniecznie przy zachowaniu wszelkich form zwyczajowych. Nie pomogły nawet odwiedziny narzeczonej, która kilka razy towarzyszyła matce i własnoręcznie podawała panu Floryanowi lekarstwa. Wobec niej prostował się on i chrząkał energicznie, upewniając, że czuje się znacznie lepiej i lada dzień wychodzić będzie, — tembardziej jednak o ślubie w domu słyszeć nie chciał.

Na dobitek złego, zjawiała się przy nim ciotka jakaś, która spoglądając bardzo niechętnie na odwiedziny pani Damianowej i jej córki, przeszkadzała uparcie wszelkiej poufnej rozmowie z chorym i zapobiegała wyraźnie możliwości jakiegobądź zapisu na rzecz tych pań.

Ciągnęło się to razem z półtora roku, po mieście kursowały tysiączne plotki, ubliżające naszym znajomym, nawet Kuryer Świąteczny puścił w świat kilka niemiłych w tym kierunku przy-

mówek, aż skończyło się wszystko śmiercią pana Floryana. Co gorsza, znalazł się jakiś testament dawny, w którym oczywiście nie było żadnej wzmianki o narzeczonej, — mozolne więc zabiegi pani Damianowej skończyły się na niczem.

Co do Lali, ustawiczne zwłoki i zawody tak już ją znecierpliwily, że prawie rada była zakończeniu tej niemiłej historii. Nieboszczyk kochał ją, jak tylko mógł jeszcze, — ową ostatnią w życiu miłością, której się człowiek chwyta, jak rozbitek deski; było to uczucie bardzo samolubne, ale prawdziwe i zasługujące bodaj na wspomnienie; Lala żałowała tylko wyprawy, która zmarować się może, pan Floryan zginął dla niej tak, jakby nie istniał nigdy, choć miał być jej mężem.

I powróciło wszystko do równowagi w domu państwa Damianów i widziano znów matkę z czterema córkami, przechadzające się codziennie przez Nowy-Świat i Krakowskie-Przedmieście, strojne, wesołe i uśmiechnięte.

Munio skończył prawo i dependował u adwokata, należąc jednocześnie do eleganckiej młodzieży i występując na balach, jako przewodnik tańców. Polował on trochę na posag, ale z ożenieniem się nie było mu śpieszno, — chciał użyć wszystkiego dosyć przed zapisaniem się, jak mówił, do bractwa żałujących.

W domu widywano go nie codziennie; chcąc bowiem uniknąć kontroli siostr, wyniósł się na inne mieszkanie i wpadał tylko od czasu do czasu w jakim interesie, albo z wiadomością ciekawą. Nie podobało mu się wiele rzeczy z tego, co się w kółku rodzinnem robiło, protestował przeciwko projektowi małżeństwa Lali z Floryanem, bardziej jeszcze oburzały go późniejsze zabiegi matki i siostry. Uwag jego nie uwzględniano, matka nazwała go przemądrzałym samolubem, złym bratem i niewdzięcznym synem, zniechęciło go to i dał wszystkiemu za wygraną.

— Cóż u was słychać? — pytał zwykle siostr, rzucając się na kanapę i wyciągając nogi.

— Nic nowego — odpowiadała zwykle Tynia, Kicia albo Lala.

— To już wiem. Wstałyście z łóżka o dziesiątej, ubierałyście się do dwunastej, do trzeciej przeglądałyście z mamą okna sklepowe na Nowym-Świecie i Krakowskiem, a może na Senatorskiej i Miodowej. — potem jadłyście obiad, a teraz rozmyślacie nad sposobem zabicia wieczoru! Wyborne życie!

— Mówisz, jakbyś co lepszego robił!

— A to mi się podoba! Spodziewam się, że życie moje inne! Obwiesiłbym się, gdyby mię kto skazał na taką wegietacyą. Wy wiecie tylko, że

hulam, ale ja mam czas na wszystko i więcej w rok przeczytam książek, niż wy wszystkie razem: sprawicie sobie sukien, okryć i kapeluszków. Czy też oprócz Bluszczu i Tygodnika Mód zdarzy się wam kiedy przeczytać coś więcej?

— A kiedyż mamy czas na to? — pytały siostry. Edmund wybuchał śmiechem, a widząc mocno zachmurzające się twarze, zaczynał sypać żartami i komunikować im najnowsze dowcipy z bruku Warszawskiego.

Raz, w kilka miesięcy po śmierci Floryana, wpadł on w porze obiadowej, oświadczając z góry, że ważną przynosi nowinę.

— Ktoś przyjechał do Warszawy... zgadnijcie kto?

— Przecież nie Klemens? — odezwała się Tynia.

— O nie! nie lękaj się! ten nie powróci z pewnością. — Zgadnij ty, Lalo, może ci serce podszeptnie.

— Wadwicz! — zawołały siostry.

— Tak, Wadwicz! Ale przyznajcie same, że było to kapitalne głupstwo odpychać tego człowieka. Mówiłem — będzie Lala żałować, — ale gdzieżbyście kiedy mnie posłuchały!

— Radzę ci, Edmundzie nie zapominać, że

mówisz i do matki, — odezwała się z urazą pani Damianowa.

— Przepraszam mamę! zapomniałem się. Jednakże stało się złe, to fakt. — Wadwicz powrócił z zagranicy z doktoratem w kieszeni, ma proponowaną sobie katedrę uniwersytecką i — co dla pań będzie najważniejszym, — odziedziczył po stryju wieś i niezły kapitałik w dodatku. Zdrów jest, ślubu odwlekać nie byłoby potrzeba, a mężczyzna z niego tak piękny, że naprawdę szaleć będą kobiety. Taki tedy ptaszek był w naszej klatce i wypędziliśmy go!

— Niezawsze można wierzyć w ogłaszane wsie i kapitały! — zimno odezwała się matka.

— Wierzę tylko własnym oczom, matko. Miałem w ręku testament jego stryja i dokładny opis wsi, inwentarza, *cum boris, lasis* i t. d. Fortuna taka, to złote jabłko, a przy niej taki mąż! — ananas! Oj Lalo, Lalo! jaka z ciebie była nie-mądra Lala, kiedy się śmiałaś z Wadwicza.

— Dlaczegożby to się nie dało naprawić? — zapytała pani Klemensowa. — Lala nie zbrzydła przecie, przyprowadź swego przyjaciela i znowu się rozkocha.

— To pytanie! — to wielkie pytanie... Chciałem ja go dziś jeszcze sprowadzić, ale broni się. Zanadto był dotknięty. Nie przyjdzie.

— Głupiec! — szepnęła Kicia.

— Zapewne! i ja to mówię. Z pewnością na jego miejscu niebym sobie nie robił ze śmiechu albo płaczu Lali, czy Kici. Lecz on bierze wszystko gorąco do serca, należy do gatunku ludzi, co umieją kochać. Bo są i tacy.

— Jesteś nieznośny z twoją ironią — wykrzyknęła pani Klemensowa — przecież sam widziałeś, że Lala go kochała.

— A jakże; i z miłości dla niego przyjęła Flo-ryana! Widziałem. Lecz dajmy temu pokój. Lepiej zastanowić się, co pocniemy. Wadwicz to mąż, którego Lala z pocałowaniem ręki przyjąćby powinna. Ale bieda w tem, że już nie przyjąć, lecz zdobyć potrzeba. Ja go znam, przyprowadzić się nie da, a wyjeżdża za kilka dni do Petersburga. Wpadłem, żeby powiedzieć, iż jutro o pierwszej mam z nim *rendez-vous* u Lursa; zatrzymam go tam dłużej, a już mamie i wam zostawiam resztę. Tymczasem, żegnam.

I rzuciwszy tak sensacyjną wiadomość, Edmund uciekł, zostawiając matkę i siostry pod wrażeniem.

— Jeżeli to prawda — zaczęła Tynia.

— Tak, jeżeli prawda — potwierdziła Kicia.

— Munio przecie widział — dodała Jadzia.

— To trzeba się nad tem zastanowić — zakończyła matka.

Zostawmy ten szanowny areopag rodzinny, i pójdźmy do Wadwicza. Edmund mówił prawdę zupełną, przyjaciel jego mógł się w tej chwili zaliczyć do najszczęśliwszych ludzi. Dwuletni pobyt za granicą poświęcony studjom poważnym, poparty doktoratem, otwierał teraz przed nim pole do wysokich godności w hierarchii naukowej. Wezwano go na katedrę botaniki do jednego z uniwersytetów w Cesarstwie, a jednocześnie prace przedstawione Akademii Umiejętności w Krakowie miały mu zjednać tytuł członka-korespondenta tej instytucji. Gdyby chciał pracować swobodnie, majątek odziedziczony po stryju dawał mu zupełną tego możliwość. Zdolności, charakter, wiedza, powierzchowność i stanowisko niezależne, szeroko otwierały przed nim arenę świata, mógł być pożądanym i poszukiwanym *epuzerem*, lwem salonów, gwiazdą w kołach naukowych, fortuna miała dlań swe najpiękniejsze uśmiechy.

A jednak nie czuł się on szczęśliwym zupełnie, gorzki zawód w miłości. spotkany na wstępie do życia, rzucił cień jakiś smutny na wszystko. Nie mógł zapomnieć Lali, choć wiele piękniejszych może jeszcze kobiet uśmiechało się do niego. Pracą żelazną zagłuszył ból serca, kazał sobie

zapomnieć o tej, która zraniła go boleśnie, i udało mu się choć w części posłuchać tego rozkazu. Ale powrót do Warszawy odświeżył wszystko, — spotkanie się z Edmundem obudziło ze snu rozkoszne mary przeszłości, serce buntowało się przeciwko rozumowi i woli, wymówiło im posłuszeństwo.

Nie wiedział nawet Edmund Damian, jaką walkę budził w duszy przyjaciela, namawiając go, by ich odwiedził. — Przemógł się wszakże Wadwicz, postanowił oprzeć się pokusie stanowczo i uciekać z Warszawy jaknajprędzej.

I byłby wytrzymał, gdyby nie spotkanie się z Lalą u Lursa. Znalazł ją prawie niezmienioną, tylko smutną, nieśmiałą — i zachwycającą. Nie wypadało mu uciekać bez powitania nawet, a zresztą jużby i nie potrafił. Gdy zaś po półgodzinnej rozmowie, panie te wyszły z cukierni, a matka oświadczyła przy rozstaniu, że spodziewa się ujrzeć go raz jeszcze, — los Wadwicza był już zdecydowany, dawny urok powrócił z całą potęgą, zwycięstwo dyplomacyi było już na wszystkich punktach niewątpliwem.

Mamże notować wszystkie jej tryumfy? powtarzać żale wypowiedane przez naszą bohaterkę, która tak ciężko czuła się ukaraną za chwilę dziecinnej pustoty? Podśłuchiwać opowiadań jej

matki i siostr o rozpacz, z jaką ona decydowała się wyjść za Floryana, o wspomnieniach dawnej miłości, która nie ostygła w niej ani na chwilę?

Były to niezręczne kłamstwa, błahe gawędy, na których wartości poznać się mógł łatwo każdy. Ale gdy Wadwicz raz utonął w lazurowych oczach i znalazł w nich, co znaleźć chciał: tęsknotę i żal, i miłość, — mogły siostry Lali i matka jej nie zadawać sobie wiele trudu, tylko ruszać ustami — a i to starczyłoby za argument dostateczny.

Czyż on chciał słuchać ludzi? czy mógł rozbiierać krążące wieści, gdy mu oczy Lali powie działy więcej, niż usta wyrazić mogą, a on im wierzył ślepo, jak Arab wierzy w talizman, lub w przeznaczenie.

Powiem więc krótko. Wadwicz pozostał w Warszawie, stał się codziennym gościem Damianów, oświadczył się, przyjęto go z entuzjazmem i radością (tembardziej, że wyprawa nie miała się zmarnować). Pani Damianowa wyznała przed nim w pokorze, iż interesa ich są w złym stanie i Lala nie ma w tej chwili posagu; nastąpiło rozrzewnienie z powodu bezinteresowności konkurenta, potem huczne zaręczyny, tańce i — ślub.

W mieście gadano o tem wiele, w Kuryerze

zaś *stało* szeroko opisane — kto prowadził młodą parę do ołtarza, kto odprowadzał, kto na to patrzył, jacy księża byli obecni, jak długo podejmowani byli goście w znanym z gościnności domu matki panny młodej, a wszystko to zakończone gorącym okrzykiem: *Szczęście Boże dobranej pary!* Jeden egzemplarz tego Kurjera odbity złotymi literami na różowym atłasie przysłano rodzinie.

Mein Liebchen, was willst du noch mehr?!...

Wadwicz z miłością kochanka usłał gniazdko dla płochliwego ptaszka, które budziło zachwyt w całej rodzinie.

Rodzina ta otoczyła go taką miłością i uwielbieniem, że kto inny na jego miejscu mógłby uczuć chwilami, jakoby się ożenił nie z jedną panną Lalą, ale razem z panią Tynią, pannami Kicią i Jadzią, i wreszcie z samą mamą Damianową. Po całych dniach widział je przy sobie, słyszał oświadczenia miłości, odbierał pocałunki siostrzane; jakby się obawiając, że Lala sama nie potrafi uszczęśliwić męża, otworzyły przed nim taką krynice szczęścia, że w niej mógł utonąć z kretesem.

Nie utonął wprawdzie, ale następujące porobił kroki.

Ponieważ nie dano mu nawet odezwać się

o wyjeździe z Warszawy, odrzucił proponowaną sobie katedrę uniwersytecką i podał się, jako kandydat, na wakującą w jednym z gimnazyów miejscowych posadę nauczyciela fizyki.

Następnie, ulegając prośbom żony, znaczną część posiadanej gotówki ofiarował pani Damianowej na ratowanie kamienicy, zagrożonej sprzedażą przymusową, wskutek długów, nadmiernie obciążających hipotekę.

Dowiedziawszy się o decyzji tej szwagra, przybiegł do niego Edmund.

— Nie rób tego! — wołał — pieniądze pójdą na gałganki, a długi zostaną. Nie chcę mieć na sumieniu twojej straty, więc musiałem cię uprzedzić. Potrzeby mojej rodziny — to worek dziurawy, fundusz twój nie zapełni go, a mógłby mieć większe znaczenie w przyszłości. Znajdź jaki pretekst i odmów, — to rada przyjacielska.

— Niepodobna! — tłumaczył się Wadwicz, — dałem słowo. Zresztą, ponieważ mówimy z sobą otwarcie, przyznam ci się, że radbym zyskać trochę swobody i niezależności.

— I masz nadzieję, że po tej wypłacie dadzą ci pokój? Obyś się nie mylił. Mówiłem matce, że nie pozwalają ci nawet oswoić się z żoną i dodałem, że ja na twojem miejscu, zabrawszy

Lalę, uciekłbym z Warszawy, — ale słowa moje nie mają żadnego wpływu.

— Pocziwy bracie! to się z czasem zmieni! Zobaczysz, że Lala sama mi w tem dopomoże.

Edmund ścisnął dłoń przyjaciela i nie mówili już więcej. Oczekiwania Wadwicza spełniły się w części. Pani Damianowa, dostawszy do rąk pieniądze, zajęła się wraz z córkami pilnym przeglądem wszystkich sklepów galanteryjnych, a następnie przygotowaniami do zabaw karnawałowych. Młodych małżonków zostawiono na pewien czas samych sobie.

Odtechnął Wadwicz; pomimo kilku miesięcy, jakie upłynęły od ich ślubu, teraz dopiero uczuł, że jest u siebie, że ma żonę i nowe rozpoczyna życie.

Lalę zdawało się także zajmować nowe jej położenie; stroiła się wprawdzie, jak dawniej, ale dla męża; bawiła się, ale z nim; mogła się w domu rozporządzać dowolnie, była w nim panią, podobało się jej to z początku, zarówno jak i miłość człowieka gotowego na jej skinięcie.

Nie dawała mu też chwili wolnej, zabroniła myśleć o pracy; musiał śmiać się z nią, pieścić, chodzić do sklepów, nie opuszczać żadnego pra-

wie widowiska, być z nią ciągle — i to być wesołym, dowcipnym, uległym i lekkim, jak ona.

Długi czas popełniali razem szaleństwa, jak dwoje dzieci, albo raczej, jak dziecko pieszczone i ktoś, co mu się oprzeć nie może. Lala zdawała się kochać męża namiętnie, tak się przynajmniej jemu i ludziom rzecz przedstawiała. Ludzie zazdrościli szczęśliwcowi.

W tych jednak uniesieniach miłości, zaczęła powoli spadać z oczu Wadwicza owa łuska cudowna, zasłaniająca rzeczywistość.

Zdziwił się najprzód, że Lala jest tak dziecinną pomimo pozorów, dających przedtem co innego do myślenia. Żadna myśl poważniejsza nie znalazła w tej pięknej głowie przytułku, choćby na chwilę, żadne uczucie nie mogło wstrząsnąć nią silniej.

Bywali często w teatrze, który mocno oddziaływał na wrażliwego Wadwicza. Na komedyi Lala się śmiała, lecz tak jakoś bezmyślnie, że aż to czasem zastanawiało jej męża. Zato na dramacie, przypatrywała się z wielkiem zajęciem sukniom artystek i dekoracyom, zwłaszcza salonowym; na tragiedyi zaś, umiała w chwilach najwrażliwszych, kłaniać się z łoży znajomym, albo lornetować parter.

Ileokroć po powrocie z teatru zaczynał Wad-

wiecz roztrząsać treść przedstawienia, od niej mógł słyszeć tylko, że sztuka była zabawną lub nudną, — poza tem nie, wartość literacka, doniosłość tendencyi dla niej nie istniały, czy nie obchodziły jej wcale.

Gdy w rozmowie z nią dotknął kwestyi jakiej poważniejszej, słuchała go albo z roztargnieniem albo tak, jak niegdyś na pensyi, wykładu starych profesorów: patrząc w mówiącego uważnie a myśląc o czem innem.

Przyzwyczajony do życia umysłowego, do interesowania się wszelkimi zjawiskami w dziedzinie społecznej i towarzyskiej, Wadwicz nie mógł zrozumieć zupełnej obojętności żony, ani zamknąć się dla niej w ciasnej sferze zdawkowych błahostek. Powracał więc mimowolnie do rzeczy, które uwadze jego zewsząd się narzucały, choćby tylko za pośrednictwem pism peryodycznych, jakie prenumerował i nowości wydawniczych, przysyłanych mu z księgarni. Im się to częściej zdarzało, tem nudniejszym stawał się dla Lali mąż; tem bardziej robił jej nienawistne przypomnienie profesorów na pensyi. Czyż nie jest pedanterią nieznosną żądać od tak pięknej główki, by ją obchodził cokolwiek stan ojczystej literatury, postępy wiedzy w kraju, los państw

europiejskich, objawy ruchów społecznych — przecież to ani zabawne, ani ciekawe!

Polityka — dobra dla starych emerytów, nauka, rzecz uczących się i nauczających, lecz kto skończył pensją, może już przecie o niej nie słyszeć! wszelkie spory w dziedzinie zasad i wyobrażeń, ścieranie się opinii i walka stronnictw — jakież to wszystko nudne i mądre!

Kuryer zadowalał aż nadto potrzeby umysłowe Lali, a nawet i on już zaczynał być nudnym, od kiedy przyśniło mu się, że powinien być poważniejszym. W innych pismach przeglądała rysunki i ziewając, czytała powieści.

Gorszem było to, że coraz częściej ziewać zaczęła w towarzystwie męża, zastaniając dyskretnie wachlarzem, albo delikatną rączką różowe usta. A kiedy on to spostrzegł i posępniał, — zpoza tegoż wachlarza padało nań takie spojrzenie szafirowych oczu, że urokowi jego oprzeć się było niepodobieństwem.

Tak upłynął pierwszy rok małżeństwa. Wadwicz czuł się szczęśliwym, ale tem szczęściem niespokojnem, drażniącym, poza którem dużo jest jeszcze do życzenia i które cały nasz ustrój nerwowy trzyma w ustawicznym podnieceniu. Co gorsza, miewał chwilami przeczucie jakiegoś, że i to, co jest nie ma warunków trwałości, że może

się zmienić, a charakteru tej zmiany trudno było przewidzieć. Bądźco bądź, zdawało się niewątpliwem, że nie znajdzie on w Lali nigdy towarzyski takiej, któraby mogła choć w części podzielić z nim życie umysłowe, mieć udział choćby tylko pośredni w jego pracy, dążeniach i usiłowaniach.

Zgasiło tym sposobem jedno z owych światel marzonych, któremi obdarzał Wadwicz postać swego ideału. W duchowem swem życiu miał zostać i nadal samotny.

W drugim roku otrzymał on posadę nauczyciela, o którą się starał, a jednocześnie zaczął się brać do pracy naukowej, nęcącej go do siebie teraz tem bardziej, im więcej dawała mu się czuć nuda stosunków towarzyskich, w które został przez żonę wciągnięty.

Ale powrót jego do pracy stał się dla niej hasłem do swobodniejszego oddania się zabawie. W domu pani Damianowej wydawano wieczory tańcujące, rauty i teatry amatorskie, nie było więc dnia, żeby Lala nie odwiedziła matki a coraz częściej zaczęła tam spędzać i godziny wieczorne, przeciągające się do północy i dalej.

Wadwicz był wprawdzie zapraszany, namawiany, zmuszany niemal do towarzyszenia żonie, ale bronił się, jak mógł i — z dwójga złego bio-

rać mniejsze, wolał sam być w domu, niż zabijać czas drogi w nieustającej bezmyślnej zabawie.

Lala nie znała się na kuchni i nie zajmowała się nią wcale; gospodarstwo domowe zbyt poziomą było rzeczą, zdaniem pani Damianowej, by panny dobrego domu mogły się niem zajmować. To też i Lala nie poczuwała się zgoła do obowiązków jakich w tym względzie; mąż, wracając na obiad do domu, często nie zastawał jej nawet i podawano mu potrawy zimne, przedymione lub niesmaczne. Smakoszem nie był, jakabądź rzecz podana mu ręką żony i zjedzona w jej towarzystwie, smakowałaby niewątpliwie. Ale gorzka myśl, że już nie tylko duchem, ale i chlebem nie miał się z kim dzielić, zatruchiwała humor i apetyt.

Widząc, że się to zdarza coraz częściej, gdyż najzawziętsza defilada przez Nowy-Świat i Krakowskie przypadała w porze obiadowej, zdobył się na stanowcze oświadczenie Lali, że gdy raz jeszcze każą mu zasiadać do stołu samemu, pójdzie na obiad do restauracyi.

Odniosło to pewien skutek, pani Wadwiczowa zaczęła częściej przesiadywać w domu, ale zaczęła też miewać ustawiczne migreny, złe humory i nerwowe ziewania, co przyjemność jej obecności zatruchiwało ostatecznie.

Znowu tedy miał mąż jej do wyboru: czy widzieć ją w takim usposobieniu siedzącą w domu, czy ofiarą jej widoku kupować sobie te szczęśliwe i wesołe chwile, jakie następowały po każdej zabawie, spacerze i jeneralnym przeglądzie sklepów galanteryjnych.

Wadwicz wybrał oczywiście to drugie. Przechodził on już do przekonania, że atmosfera domowa była za duszną dla jego żony, że potrzebowała koniecznie wesołości i wrzawy, jak on potrzebował pracy i ciszy. Gasły nowe światła w wymarzonem ideale, — cóż jednak było począć? Ideały po świecie nie chodzą, trzeba się zadowalniać tem, co możliwe, mądrość zaś praktyczna każe nie żałować ofiar tam, gdzie idzie o ratowanie korzyści ważniejszych.

Lala okazała się niezdolną do życia duchowego, nieprzygotowaną do życia rodzinnego, niemogącą zrozumieć potrzeb moralnych męża; ale przecie nie mógł wątpić o jej wierności, wierzył i w jej przywiązanie, tłómacząc wszystko lekkomyślnością i temperamentem.

Jeżeli na tę płochą z przyzwyczajenia istotę spłynie jeszcze upragniony przez niego charakter macierzyństwa, — wszystko się odmienić może na lepsze! Tymczasem niech motyl używa skrzy-

deł, nim surowe obowiązki życia przyjdą je podciąć.

Tak się pocieszał Wadwicz, to mu jednak nie przeszkadzało widzieć, że owe skrzydła motyle drogo kosztują. Ani dochód z wioski, ani pensya nauczycielska wystarczyć nie mogły. I stało znowu do wyboru: zaciągać długi, albo sprzedać wieś; gotówki bowiem już nie było.

Trzeci rok małżeństwa rozpoczął się decyzją jego w tym względzie, w skutkach najfatalniejszą. Wadwicz pozbył się własności ziemskiej, a natomiast za poradą Edmunda kupił kamienicę na korzystnych istotnie warunkach, — do której się też przeniósł, urządzając obok mieszkania swego laboratorium chemiczne, o jakim marzył oddawna.

W tym samym roku przyszło do przewidywanej długo katastrofy z kamienicą Damianów, zabrano ją im, zmuszając zarazem tańczącą rodzinę do otwierania salonów dla siebie gdzieindziej.

A gdzieżby się ulokować mogły matka z córkami, jeżeli nie w kamienicy świeżo nabytej przez zięcia! Jak na toż było do wzięcia całe pierwsze piętro, złożone z dziesięciu pokoiów dość obszernych, by się w nich pomieścić i bawić było można.

Napróżno Edmund pokłócił się z matką i siostrami, opierając się tak jawnemu wyzyskiwaniu z ich strony Wadwicza, napróżno on sam usiłował uniknąć grożącego mu niebezpieczeństwa, — skorzystano z jego drażliwej pozycji. Lala zakłęła go na miłość swoją, by nie odmawiał przytułku matce, obiecując zarazem, że już teraz opuszczać go nie będzie; prośbami, namową, płaczem złamano nieśmiały opór i cała rodzina przeniosła się do mieszkania, stanowiącego połowę dochodu z kamienicy.

Nie potrzebuję chyba nadmieniać, że pomimo zapewnień najuroczystszych, połowa ta przepadła.

A w dodatku zaczęło się życie cięższe jeszcze dla Wadwicza, niż było dotąd. Znowu bowiem mieszkanie jego stało się jakąś resursą, w której o chwilę ciszy było trudno. Goście gromadzili się co wieczór, improwizowano tańce i zabawy, pani Damianowa z całym sztabem swoim przebywała najchętniej u córki, gdyż było to dogodniej i taniej.

Znowu próbował Wadwicz wzbudzić w żonie swojej choć trochę względu dla siebie, nieco siły odpornej i samodzielności, którąby można było przeciwstawić najazdom familii. Napróżno! Lala znalazła się w swoim żywiole, jej dom brzmiał

uciechą, napełniał się towarzystwem dystyngowanym, mówiono o nim w mieście, — spełniły się jej marzenia dawne — jakże mogła się wyrzec tego wszystkiego!...

Próbował nawet zięć nieszczęśliwy oprzeć się sam czynnie despotyzmowi rodziny, — w dniach ukartowanych przez nią zabaw w jego salonie, spraszał do siebie kolegów nauczycieli, rozkładał stoliki zielone, a służbie kazał mówić każdemu, kłoby zapytał, że państwa niema w domu. Żona musiała pełnić obowiązki gospodyni i nudzić się, słuchając, jak na gorze u matki bawiono się i tańczono.

Ale postępowanie podobne, będące wynikiem rozdrażnienia, sprzeciwiało się zupełnie naturze Wadwicza, — więc po wytężonej akcji następowało zwątpienie i upadek woli. Zamykał się w swem laboratorium, nie pokazywał się wcale, lub zjawiał się niespodziewanie w salonie błądy i milczący, aż na jego widok całe towarzystwo traciło chęć zabawy.

Zaczęto o nim przebąkiwać w mieście, że ma bzika, choruje na melancholię, tyranizuje żonę i t. d. Byli i tacy, którzy nie dziwią się owym wieściom, wierzyli im. Wadwicz spotykał się często ze zwróconem nań badawczem spojrzeniem.

Istotnie, po trzech latach pożycia z Lalą, zmie-

nił się on prawie nie do poznania; z pięknego mężczyzny, o jasnej otwartej fizygnomii, pełnego sił i zdrowia, zrobił się człowiek przedwcześnie zestarzały, z cerą twarzy pożółkłą, z gorączkowo świecącymi oczyma, chmurny i drażliwy.

Edmund widywał go rzadko, a do domu przychodził rzadziej jeszcze; widok przyjaciela tak zmienionego obudzał w nim uczucia bolesne, a zarazem srodze go upokarzał, wołał więc on być od niego zdaleka.

Chociaż postępowanie żony nie upoważniało do tego, wierzył Wadwicz, że ona ma serce, sądził, że objawami jego istnienia były uczucia jej dla rodziny i wyzyskiwanie na jej korzyść wpływów, jakie miała nad nim. Gdy więc przekonał się ostatecznie, że ani do rozumu, ani w imię obowiązków przemawiać ze skutkiem nie może, spróbował jeszcze zapukać do serca.

Nastęczyła się do tego prędko sposobność; Wadwicz zapadł na jakąś nerwową gorączkę, — kazano mu leżeć w łóżku, unikać wszelkich wzruszeń, zalecono spokój bezwzględny. Na nieszczęście w tym czasie właśnie przypadły imieniny Kici, i miała być huczna zabawa. Lala miała już tańce zamówione, suknię nową, — więc choroba męża przysłała bardzo nie w porę. Lekarz dowiedziawszy się o tem, iż na gorze mają być tańce,

zrobił uwagę, że może to bardzo źle wpłynąć na drażliwego wielce Wadwicza i proponował, czyby się nie dało zabawę owę odłożyć.

Lala uśmiechnęła się, jak to robimy, gdy ktoś wymaga rzeczy niemożliwych. W jej pojęciu balik imieninowy był czemś tak ważnem, że odkładać go dla czyjejś choroby zdawało się niepodobieństwem. Że ten ktoś chory był jej mężem, że należały mu się względy pewne ze strony siostr jej i matki — o tem ani pomyślała; natomiast wyobraziła sobie z łatwością, jakim wybuchem śmiechu przyjętoby na górze propozycyą podobną, gdyby z nią wystąpić chciała. Bywało przecie, że pan Damian chorował, a w salonie bawiono się niemniej ochoczo.

Co do Wadwicza, nie żądał on wcale odłożenia zabawy, — prosił tylko żony, by została przy nim, by mu zrobiła ofiarę z tego wieczorku. Zdarzyło się to raz pierwszy, od kiedy się po-brali.

Lala przyrzekła, że zostanie, choć łatwo było odgadnąć, ile to ją kosztowało. Usiadła przy łóżku męża w strojnym szlafroczku, podawała mu lekarstwo, patrzyła nań swemi pięknemi oczyma, a on trzymał w dłoni jej rękę i do spalonych ust czasem przyciskał. I ukołysało go jej długie spojrzenie i zasnął, pomimo odzywających się już

na górze instrumentów muzycznych, chodzenia, stukania i hałasów.

Zbudził się jednak po północy, bo sufit nad nim jęczał pod nogami zawziętych mazurzystów; świeca paliła się opodal na stoliku, przy jej świetle spostrzegł, że łóżko Lali pozostało nietkniętem, a chrapiąca u drzwi pokojówka dała mu do zrozumienia, że posadzono ją tu na wypadek, gdyby się przebudził. Lala nie oparła się pokusie i ustrojona poszła na górę.

Na razie Wadwicz chciał wstać, ubrać się także w strój balowy i zjawić się na górze wśród taneczników, jak posąg komandora. Rozmyślił się jednak, pierś mu się wzdęła westchnieniem i upadł na poduszkę z rzewnym płaczem.

— Ona nie ma serca! ona mnie nie kocha! — powtarzał wśród łez gorących; ale zrobiły mu one ulgę, uspokoił się, a gdy żona wróciła nad ranem, udał, że śpi.

Za dni parę zaczął znów chodzić na lekye, lecz bardziej jeszcze milczący i chmurny. Nowa myśl zagościła w skołatanej głowie: jeżeli go żona nie kocha, to może i zdradzać. Zaczął patrzeć podejrzliwem okiem na młodzież, która ją otaczała, — zazdrość zapuściła swoje szpony w wolne dotąd od niej serce; cenzurował każde słowo, spojrzenie, ruch każdy, podsłuchiwał roz-

mowy, — nikczemna namiętność kładła swe piętno na szlachetną naturę, stała się nową męczarnią.

Gdy zapowiedziano raz zabawę w jego domu, przeprosił żonę, że nie będzie mógł być obecnym, ponieważ tego wieczoru ma sesję pedagogiczną, która długo przeciągnąć się może. Lala ucieszyła się tą zapowiedzią, ciężko jej bowiem badawcze oko męża. Nie myślała go zdradzać, bo żaden z wielbicieli nie budził w niej dotąd wyłącznego uczucia, ale kokietować potroszę wszystkich było jej ulubioną zabawką, a krępowała ją w tem obecność męża.

Tymczasem on umyślił zasadzkę. Gabinet jego przytykał do pokoju, w którym było laboratorium, z niego zaś wychodziły drugie drzwi na schody; oba klucze Wadwicz nosił przy sobie.

Gdy więc tylko zaczęto się bawić, on wszedł po cichu do laboratorium, otworzył ostrożnie drzwi do swego gabinetu i umieściwszy się koło nich, czekał, nie zdając sobie sprawy — naco.

Nieszczęście chciało, że czekał nie napróżno. Po jakimś męczącym tańcu, Lala weszła do gabinetu męża i usiadła na szeszlunku, wachlując twarz rozognioną. Za nią w ślady wsunął się jeden ze złotych młodzieńców, asystujący jej uparcie. Zaczęła się rozmowa jakaś półgłosem

prowadzona, której Wadwicz nie słyszał, — usłyszał jednak za chwilę wyraźny odgłos pocałunku. Otworzył drzwi i blade z zaciśniętymi zębami spojrzął na nieostrożną parę. Złoty młodzieniec klęczał przed jego żoną i całował jej rękę, czego mu nie zdawała się bronić.

Wadwicz porwał klęczącego za kołnierz, podniósł go z posadzki, pomimo szamotania się młodzieńca, pociągnął go przez laboratorium i otworzywszy drzwi na schody, wyrzucił przez nie z taką siłą, że nieborak stoczył się w dół przez kilka stopni. Zamknął potem drzwi i wrócił do gabinetu, ale już w nim żony nie zastał. Zawahał się przez chwilę, jakby chciał wejść do salonu, lecz cofnął się do laboratorium, zamknął się w nim, zapalił światło i postawiwszy przed sobą kilka słoików, zaczął coś z nich przyrządzać.

Wypadek w gabinecie przeraził z początku Lalę, a gdy przy końcu zabawy Wadwicz wszedł do salonu, drżała na całym ciele z obawy, że się do niej zbliży. Ale nadspodziewanie znalazła męża spokojnym i, zdawało się, wesołym, — witał znajomych, rozmawiał z nimi, upewniał Kicię, że przykro mu było opuścić jej imieniny, dawno już nie był tak ożywionym i miłym w towarzystwie.

Ktoś z obecnych przypomniał, że za dni kilka przypada rocznica ich ślubu.

— Lalu! — odezwał się Wadwicz do żony, — wszak należałoby uświetnić tak uroczystą chwilę. Szczęście jest tak rzadkiem zjawiskiem, że dzień jego przyjścia powinien być dla nas świętem prawdziwym! — Zapraszamy państwa wszystkich na ten dzień do nas!

Ochoczo przyjęto zaprosiny, sama tylko gospodyni pierwszy raz może w życiu uśmiechała się nieszczerze, — trwoga jakaś wkradła się do jej serca.

Po wyjściu gości, pomimo że mąż powiedział jej dobranoc i pocałował w czoło z całym spokojem, kładła się spać mocno zaniepokojona, żałując nawet, że której z sióstr na noc nie zatrzymała.

Zasnęła jednak zmęczona wrażeniami dnia. Zbudził ją wkrótce jakiś dziwny ucisk w piersiach; otworzywszy oczy, ujrzała z przerażeniem największem stojącego nad nią męża, który oparł silnie rękę na jej piersi i wpatrując się błędnymi oczyma w jej oczy, pytał:

— Lalu! czy ty masz duszę?... powiedz, czy ty umiesz tylko mróżyć oczy i wydawać głos, gdy cię naciśną?... Czy masz duszę? Mów! nie bój się! nic ci złego nie zrobię... To nie twoja wina, że nie masz duszy, zapomniano ci ją włożyć!

I powtarzał wciąż to zapytanie, podczas gdy zdretniała ze zgrozy Lala zaledwo wyjąkać mogła: — Boże! zmiłuj się nade mną!

— Jakto? ty coś wiesz o Bogu? kto On? czy sławny jaki baletnik, czy może jaki taniec nowomodny? czyż to Bóg maluje tak pięknie lalki i daje im takie szafirowe oczy?

Widok jej wzmagającego się przerażenia uspokoił go. Wstał, przeszedł się po pokoju, trąc rozpaczliwie czoło, wreszcie rzekł łagodnie:

— Śpij, śpij, Lalu! ja ci nic złego nie zrobię! mnie tylko boli głowa i serce!

Znowu płacz serdeczny wyrwał się z jego piersi i ukołysał wkrótce wzburzone zmysły. Spał jednak niespokojnie, mówił coś, skarżył się, jak dziecko, to znowu groził komuś. Pani Wadwiczowa spędziła resztę nocy w towarzystwie zbudzonych sług, drżąc z trwogi i niewiedząca co począć.

Zrana obudził się o zwykłej godzinie, wypił herbatę i wyszedł do gimnazjum. Nic już w nim nie zdradzało obłądu.

Lala pobiegła do matki opowiedzieć jej wszystko. Nie wiadano, co począć. Po raz pierwszy może pomoc i rada Edmunda okazały się im koniecznymi. Posłano po niego. Pani Damianowa

była tego zdania, że należało Wadwicza czemprędzej odwieźć do szpitala.

Edmunda oburzyła sama już myśl podobna. Tłómaczył, że przyjaciel jego, drażliwy zawsze, musiał uleść poprostu zbyt niemu roznerwowaniu, że zadawać mu gwałt w tym stanie było zabójstwem, nie mówiąc już o tem, iż ogłoszenie go waryatem pozbawiłoby go posady. Ten ostatni argument przekonał panią Damianową najbardziej. Postanowiono nie sprzeciwiać się choremu w niczem, sprowadzić do niego pod jakimś pozorem lekarza, mieć się na baczności — i czekać.

— A na zakończenie pozwólcie mi sobie powiedzieć — rzekł Edmund — iż jeżeli Wadwicz istotnie zwaryował, to ja mu się nie dziwię.

W tym samym czasie Wadwicz zdumionym uczniom klasy siódmej wykładał co następuje:

— *Natura horret vacuum*, mawiali starożytni, — przyroda lęka się próżni! I my powtarzamy za nimi tę prawdę rzekomą, że niema próżni w naturze! Jakiż to błąd! słuchajcie mnie i wiercie: żaden Torricelli nie stworzy sztucznie takiej próżni, jaką przedstawia niejedna głowa kobieca i serce!

Zdziwieni tym niespodziewanym zwrotem, uczniowie zaczęli spoglądać na siebie i szeptać. Wadwicz dostrzegł to wrażenie.

— Gorszycie się tem, co powiedziałem? zapewne każdy z was chciałby zaprotestować, bo miał matkę, która go kochała, siostry, które go pieściły, a wszystko kobiety z sercem pełnem uczuć, z głową pełną myśli pocziwych? Ach! i ja miałem matkę taką, i ja znam rozkosz miłości kobiecej, co spływa na nas, jak błogosławieństwo Boże! Ja nie chcę obrażać waszych uczuć, nie myślę ubliżać kobiecości. Ale ja kocham was, bracia moi, chciałbym was uchronić przed losem, jaki mnie samego dotknął. Słuchajcie! nie wierzcie lalkom porcelanowym, choćby wdychały do was całą piersią, choćby czarowały was najpiękniejszymi oczyma, choćby udawały, że mają serce i duszę. Sztuka mechaniczna doszła w naszych czasach do takiej doskonałości, że lalki z pustką w głowie, z pakułami zamiast serca, potrafią tańczyć, wdychać, zawracać oczy, przysięgać na miłość i tak udawać życie, że każdy z was uwierzyć im może! — Słuchajcie! ja uwierzyłem!... lalkę malowaną pokochałem, jak świętość, jak kobietę żywą, co mi da szczęście! — A wiecie, co one robią? nie mając własnego serca, kradną nasze, — jak upior wysysają krew z niego różowymi ustami!... oczy ich, jak pompa ssąco-tłocząca wypijają nam mózgi; same będące próżnią absolutną, z duszy naszej robią pustynię!

Strzeżcie się! niech was Bóg broni ożenić się z lalką porcelanową, bo będziecie tak życie przeklinać, jak mnie to przyszło!

Wypowiedziawszy to jednym tchem prawie, Wadwicz załamał ręce i ukrył w nich twarz bladą, jęcząc żałośnie.

Między uczniami wszczął się popłoch, odgadli obłęd ukochanego profesora; jeden wybiegłszy z klasy, przyniósł mu szklankę wody, reszta otoczyła katedrę z zakłopotaniem, — dwóch tylko zabierało się do ucieczki — a jeden śmiał się złośliwie z tak osobliwego wykładu. Wadwicz po chwili oprzytomniał, wstał, przeszedł się kilka razy po pokoju, prosząc uczniów, by wrócili do miejsc swoich, — kazał sobie podać książkę dla przypomnienia, o czem miał dziś wykladać, i powoli, z trudnością zbierając myśli, dokończył przypadającej na dzień ten lekcji.

Chociaż młodzież szkolna kochała swego profesora, niepodobna się dziwić, że ów niezwykle epizod lekcji fizycznej nie został tajemnicą. Opowiadano sobie o tem, śmiano się, żałowano, wieść dobiegła i do władzy naukowej, — nazajutrz sam dyrektor przyszedł na lekcję, ale Wadwicz mówił już przytomnie.

Nie odstręczyły też biegające po mieście pogłoski gości zaproszonych w rocznicę ślubu Wad-

wiczów, — owszem, pewne zaciekawienie było nowym dla nich bodźcem, przybywało tłumnie, a oboje gospodarstwo uprzejmie witali wszystkich. Lala czuła się tem bezpieczniejszą im więcej było ludzi, — na wypadek, gdyby mąż w chwili nowego obłędu chciał jej zrobić co złego, — było komu bronić.

Co do Wadwicza, ten jaśniał wesołością jakąś osobliwą, która jednak tylko w Edmundzie budziła podejrzenie. Starał się też być najbliższym przyjaciela i wyciągał go na rozmowę.

— Wiesz? — rzekł do niego Wadwicz — znalazłem lekarstwo na moje nerwy. Wszystkie środki apteczne, to głupstwo, — potrzebuję bawić się, hulać, tańczyć do upadłego! Czy masz już *vis à-vis*?

— Nie, mogę ci służyć.

— To dobrze. Będziemy z sobą tańczyć zawsze. Wiesz? przyszła mi zabawna fantazya do głowy! Zamówiłem sobie żonę na cały wieczór, będziemy tańczyli tylko z sobą, jak na weselu. Nigdy jeszcze nie czułem takiej potrzeby tańca, tańczyłbym z lalką porcelanową!...

Edmunda bardziej jeszcze zaniepokoiła ta wesołość, — postanowił wszelkimi środkami nie dopuszczać do przebrania miary.

Muzyka była wyborna, przyjęcie świetne, Wad-

wicz sam doglądał, by wszystko szło dobrze, — pokoje jaśniały mnóstwem światła, wino w najlepszych gatunkach lało się obficie, dawno nie pamiętano takiej zabawy.

Po północy goście zasiedli do kolacyi wytworzonej przez umyślnego kuchmistrza przyrządzonej, śmiano się, żartowano, pito, — nim przyszło do szampańskiego, wszyscy już byli w dobrych humorach. Edmund wymógł na Wadwiczu, że pić nie będzie — więc nie pił. Jedno tylko zdrowie Lali wymówił sobie z góry, — nie sprzeciwiano mu się.

— Zdrowie małżonków!! — wrzasnęło grono mężczyzn, powstając z kielichami, — niech żyją sto lat!

— Za pozwoleniem! — odezwał się Wadwicz — pierwszy toast zabieram dziś sobie. Wnoszę zdrowie żony mojej, która przyniosła mi szczęście i radość. Niech żyje!

— Niech żyje!! — krzyknięto znowu, gdy tymczasem Wadwicz zwrócił się do Lali z prośbą, by ustami dotknęła jego kieliszka.

— Osłódź mi wino, jak osłodziłaś życie!

Nie rozumiejąc męża wcale, przytknęła ona usta do krawędzi szkła, poczem on wychylił kielich swój do dna.

— Gorzkie jakieś wino! — szepnęła Lala,

smakując odrobinę wziętego do ust napoju, — ale zastanawiać się nad tem nie było czasu, gdyż ze wszech stron zbliżali się goście, którym należało kłaniać się, dziękować i trącać kieliszkiem.

Gdy się to skończyło, Lala zwróciwszy się do męża, przelekła się widokiem jego bledości.

— Co ci jest, na Boga! — spytała, powstając z miejsca.

Zatrzymał ją za rękę.

— Połóż mi dłoń na czoło! — rzekł, opierając głowę o poręcz fotelu — spojrzuj raz jeszcze w oczy, Lalo! śliczne masz oczy!... Dotknięciem ust swoich osłodziłaś mi truciznę. Bądź zdrowa! baw się dobrze.

— Ratunku! Jestem otruta! — krzyknęła Lala, z trwogą porywając się z krzesła, — podczas gdy Wadwicz zsunąwszy się na posadzkę, zaczął się na niej wic z boleści.

Stało się to wszystko tak nagle, że większość gości nie mogła jeszcze zrozumieć, co się dzieje, Edmund jednak rzucił się zaraz na ratunek przyjacielowi, nadbiegł i obecny między gośćmi doktor, zaczęto pracować nad zwyciężeniem trucizny, której rodzaj rozpoznano po resztkach zostawionych w kieliszku.

Pomoc natychmiastowa, laboratorium pod ręką,

ocaliły życie Wadwicza, — lecz tylko życie! Pochodnia inteligencji, płonąca niegdyś tak jasno — zagasła stanowczo.

Nie pomogły wszelkie starania Edmunda i lekarzy, a ponieważ mania samobójcza owładnęła chorym stale, nikt zaś w domu nie podejmował się go pilnować, więc musiano go odwieźć do szpitala Św. Jana Bożego, polecając tam nieszczęśliwego osobiwej opiece i względom.

Utrzymuje wciąż, że go ożeniono z lalką porcelanową, ostrzega wszystkich, by się mieli na ostrożności, czasem klnie, częściej płacze.

Odwiedza go sam tylko Edmund.

A Lala?

Lala obudziła współczucie w połowie miasta. Taka piękna! i tak nieszczęśliwa! Nieszczęście stało się w niej nowym powabem, a szafirowe oczy większego jeszcze nabrały uroku.

Rodzina, bojąc się, by nie dostała melancholii, zaczęła ją bawić ze szczególnem staraniem. Wożono ją na widowiska, urządzano wieczorki w domu...

I udało się zacnej pani Damianowej ocalić najmłodsze dziecko. Lala prędko wróciła do dawnego usposobienia.

Co dalej? — nie wiem, przyszłość pokaże. Odgadnąć ją wszakże można. Powiadają, że Wad-

wicz dogorywa, — jest to już kwestya czasu. Lala ma oczywiście wielu czcicieli, więc...

Tymczasem widzieć można jak dawniej matkę z czterema córkami, przechadzające się codziennie przez Nowy Świat i Krakowskie, — strojne, wesołe, uśmiechnięte...

Stara Sieniawa, 5 Stycznia 1883.

OKNO NA PODDASZU.

Na poddasze wprowadził się nowy lokator.

Wprowadził się — wyrażenie to hiperboliczne. Nie szły bowiem za nim wozy naładowane, nie uwijali się tragarze przy znoszeniu jego mebli. Młody człowiek niósł w jednym ręku tłómaczek podróżny, w drugim paczkę książek; to był cały jego majątek.

Ale też i szumnie zapowiadziany na bramie lokal umeblowany był poprostu lichą izdebką pod strychem, mającą kilka łokci przestrzeni, nagie i odrapane ściany, sosnowe łóżko, krzywy stół i dwa kulawe stołki.

Czy jednak młody właściciel tego mieszkania był tak mało wymagającym, czy też rzeczywiście podobała mu się ta izdebka, dość, że twarz jego promieniła się radością, której mu niejeden bogacz pozazdrościłby pewnie.

Trzebaż się temu dziwić? przynosił on z sobą i w sobie skarby: młodości, zapału, nadziei.

Prawdopodobnie ciężka proza życia była dlań dotąd zagadką, doświadczenie nie odarło go jeszcze brutalną ręką z marzeń, tych pierwiastków życia; pierś miał jeszcze pełną wiary w ludzi, w jutro, w siebie, a serce gotowe świat cały ukochać i zdolne świat cały zawrzeć w sobie...

To wszystko musiało go nie tylko uszczęśliwiać, ale i nasycać; za ledwo bowiem porządkował swe książki i uporządkował małe gospodarstwo, rzucił się na przygotowane naprędce łóżko, wyciągnął się na niem rozkosznie, jakby na puchach łabędzich i — zasnął.

Snu dobroczynny gieniusz otoczył go skrzydłami swemi, jak matka pochyła się nad ukochanym dzieckiem, — i jak czarodziej rozciągnął przed nim szereg cudownych widziadeł.

Przypomnij sobie, czytelniku, sny swojej młodości, kiedy te wszystkie kolory tęczy składały się na ubarwienie za ledwo przeczuwanej rzeczywistości, kiedy serce bijące przyspieszonym tętnem, wulkany krwi grające w żyłach, budzące się pragnienia i tęsknoty, wyobraźnię twą przenosiły w raj Mahometa, na ziemię obiecaną, w świat fantastycznych marzeń i cudów! Przypomnij to sobie, a zrozumiesz złote sny młodzieńca na twarzem i lichem łożu poddasza.

Śniło mu się, że jest królem, że ma pod swą

władzą milion serc ludzkich a w swoim skarbie nieprzebraną kopalnię szczęścia. Śniło mu się, że uszczęśliwiał dokoła wszystkich, że w jego państwie nie było smutku ani łez gorzkich... wszystko co widział, wszystko co go otaczało, w jedną wielką łączyło się harmonią radości i pokoju.

Ale pojąc się tą harmonią, oddychając tą błogą atmosferą, czuł on, że mu jeszcze czegoś nie dostaje, że mu brak kogoś, z kimby się podzielić mógł wszystkim, komuby oddać mógł całe swe szczęście, całe swe życie, siebie samego.

I snuły mu się przed okiem wyobraźni ideały postaci niewieścich, przechodziły przed nim jedna za drugą, coraz piękniejsze... widział oczy palące się jak gwiazdy najświeńsze, usta jak rozkwitające róży pączki, włosy jak pióra krucze, to znowu jak promienie słoneczne... ramiona białości śnieżnej ku niemu wyciągnięte...

Słyszał głosy pieszczone, na które serce mu drżało w piersi, czuł aksamitne dotknięcie ręki w dłoni jego tonącej, wonie jedwabnych warkoczy spadających mu na twarz i ramiona, oddech gorący ust kalinowych do ust jego zbliżonych... drżenie wiotkiej kibici w jego ramionach... widział spojrzenia zalotne czarnych jak noc lub błękitnych jak niebo oczu, słyszał, widział i czuł

to wszystko, a jednak niedość mu tego było. Szukał dalej w tłumie królowej piękności, królowej serca swego, tej, o której szeptało mu przecucie serca, o której istnieniu przekonywała go nieugaszona żądza jakaś, niezaspokojone niczem pragnienie.

Był to sen miły, rozkoszny, ale i męczący zarazem; zbudził się po nim jakiś tęskny i rozdrażniony... nieprzytomny prawie.

Orzeźwiły go rozkoszne wonie chłodnego poranku. Przez otwarte okno płynęło do izdebki powietrze rosą przesiąknięte, pełne ożywczych balsamów ziół i drzew kwitnących.

Było to w lecie, dom stał na przedmieściu; tuż obok kwitła akacya, schylona pod ciężarem brylantowej rosy.

Odetchnął głęboko, jakby w swoje zdrowe, szerokie płuca chciał wciągnąć cały zapas tego powietrza, które izdebkę jego napełniło. Powietrze to chłodziło mu rozkosznie czoło rozpalone i policzki, radby się w niem zanurzyć jak nurek w wodzie i bujać jak ptak w przestworach błękitu.

Stał w oknie, rozpatrując się w swem otoczeniu. W kamienicy już nie spano, z odległej ulicy dochodził go turkot wozów i zwykłe gwary miejskiego bruku.

Nagle, o kilkanaście kroków od niego, w drugim skrzydle domu, otworzyło się okienko. Mała, biała rączka błysnęła mu przed okiem. W ślad za nią w zielonej ramce rozmarynu, gieranium i bluszczu pokazała się główka dziewczęcia.

Błękitne, łzawe źrenice spotkały się z jego wejrzeniem i zatrzymały się tak przez chwilę.

Młody chłopak nie spuszczał oka, błękitne oczy schyliły się przed niem, na białą, bladą twarzyczkę wystąpił lekki rumieniec i główka znikła wkrótce za osłoną zieleni.

On stał i patrzył jeszcze.

— Czemu ona smutna? pytał się wzruszony, co ten smutek znaczy?

I pod wpływem tego pytania posmutniał także. Tęsknota dręcząca go we śnie powróciła na jawie, tylko już okiem nie biegł w dalekie przestrzenie, tylko już spojrzenia oderwać nie mógł od okienka smutnej sąsiadki.

Ponad przepaścią dwa okienka te rozdzielając zawisła niepostrzeżenie przedza serdecznej sympatii. Osnuło ją serce młodzieńca.

— Czemu ona smutna?

Daremnie wszakże stał, czekając aż się pokaże znowu. Raz jeden w tem samem okienku pokazała się jeszcze głowa niewieścia, była to jednak głowa staruszki, siwa i drżąca.

Błękitne oczęta nie pokazały się więcej, ale obraz ich pozostał w duszy chłopaka.

Czy były one piękniejsze od widzianych we śnie? Dla niego stało się to rzeczą pewną. Czy było tak rzeczywiście? Niewątpliwie.

Senne mary, nieujęte, lekkie jak mgły nad wodą przy wschodzie słońca, musiały ustąpić przed nowem zjawiskiem, bliższem, wyraźniejszym, żywym.

Marzenie tu wzięło na siebie ciało, było dotykablem, rzeczywistym, prawdziwym. Uderzeniom serca jego wtórować mogło serce bijące o kilkanaście kroków od niego, serce pięknej, nieznajomej sąsiadki...

Myślał też o niej przez dzień cały.

Nie starał się przecie dowiedzieć, kto ona i jak się nazywa; był na to za młody.

Cóż go to obchodzić mogło? cóżby mu przyszło z jej imienia?

Zresztą, on ją już nazwał: najpiękniejszą, jedyną, ukochaną.

Ona towarzyszyła mu niewiedomie na wykłady profesorów, ją widział na każdym kroku, każda kobieta spotykana na ulicy zdawała się być ową sąsiadką, gotów był lecieć za każdą, roztrącał na ulicy przechodniów, miano go za waryata, a on tylko kochał.

— Kocham! — mówił sobie co chwila, — kocham się, Aniele mój nieznany! kocham! — powtarzał sto razy, upajając się wdziękiem tego wyrazu, rozkoszując się przeświadczeniem o tem uczuciu, pyszniąc się samą o nim myślą.

Trzebaż mówić, że noc była dalszym ciągiem marzenia całodziennego?

Jakże to oczekiwanie było długiem! jakże leniwo wydobywało się słonko z powicia błękitno popielatych obłoków! jak długo biło serce, jak długo czuwały oczy, nim znowu otworzyło się okienko...

Ciekawe wejrzenie błękitnych oczu zwróciło się najpierw w stronę sąsiada. On stał zmieszany i drżący, obejmując ją okiem miłości pełnem.

I znowu spłonęła blada twarzyczka i skryła się jak dawniej.

Ale dzień ten szczęśliwszym był od poprzedniego: kilka razy ujrzał ją w oknie, kilka razy spotkały się ich oczy, jakby tajemnicza przędma łącząca dwa sąsiadujące okienka stała się mocniejszą... kto wie, wzmocnioną może od drugiej strony...

Lecz wieczorem czekała co największa niespodzianka. Z otwartego sąsiadki okienka wypłynęły dzwieczne tony piosenki. Nieśmiałe zrazu

i ciche, wzmogły się powoli w siłę i jakby odgłosy srebrnego dzwonka unosiły się w powietrzu.

Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,
Tobym świeciła jedynie dla ciebie!

Młodzieniec cały w słuch się zamienił. Gdyby go z nieba doleciały tony anielskie, mniejby mu pewnie przyniosły rozkoszy. Bładł i czerwieniał, serce mu biło jak koń pędzący cwałem po stepie, lękał się stracić jedno ich brzmienie, oddech tłumił w sobie a słuchał.

Ani na góry, ani na lasy,
Tylko po wszystkie czasy,
Przed twem okienkiem i tylko dla ciebie,
Gdybym w słoneczko mogła zmienić siebie.

— Słonko moje! — wołał zachwycony młodzieniec, — świeć mi świeć wiecznie! bez ciebie smutneby mi było życie!

I naprawdę, nie były to czeze w jego ustach wyrazy. Kochał! kochał z całą siłą młodzieńczego serca, a miłość taka, to jak burza lipcowa: gwałtowna i krótka zazwyczaj, ale w łonie swoim kryjąca gromy, zdolne zabijać!

Mijały dni za dniami, gorączka wzmagala się z dniem każdym.

Gorączka! wyraz ten mimowolnie wyrывa się

zpod pióra, gdy mowa o miłości lat młodzieńczych. Czy jednak słuszna to nazwa?

Kto wie? może te chwile w których się czuje i kocha tak gorąco, są jedynie normalnemi w życiu naszym... może przychodząca później trzeźwość, oziębłość i sceptycyzm, są właśnie chorobliwą zimnicą?

Nieraz chwila jest liczbą, reszta życia zerem, jak powiada Ujejski, — i święta to prawda.

Kilka gwiazd promienistych połączone smugami cieniów, to życie nasze. Obejrzyjmy się w przeszłość: tysiące dni powszednich, szarych, marnych jak dzień jesienny giną w pomroku, a tylko kilka lub kilkanaście uśmiecha się nam promiennych, jasnych jak dzień majowy, i ku nim zwracają się mimowolnie stęsknione oczy.

Ale mniejsza o wyrazy. Młodzieniec z dniem każdym kochał więcej, a miłość ta pochłaniała całą jego istotę. Daremnie przypominał sobie obowiązki nad nim ciężące. Zostawił w dworku rodzinnym matkę, której przyrzekł pracować wytrwale i pilnie, którą kochał szczerze i chciał dotrzymać danego jej słowa. Daremnie pasował się z sobą, chcąc zapanować choć trochę nad swem uczuciem, przynajmniej o tyle, aby myśleć o bładem dziewczęciu nie odbierała mu możliwości myślenia o czem innem, by na zeszytach notatek

robionych w audytoryum nie pojawiał się ustawicznie śliczny profil jej główki zamiast figur matematycznych, by nie zagłuszał mowy profesorów śpiew ten dzwoniący mu w sercu:

Gdybym ja była słoneczkiem na niebie.

Napróżno!

Jak na toż pokusa rosła z dniem każdym. Sąsiadka coraz częściej ukazywała się w swem okienku, coraz częściej srebrny jej głosik rozkośszą do serca mu płynął trucizną.

On siadywał w swem oknie z książką, ona z robotą, ośmielali się do siebie coraz więcej, coraz częściej spotykały się ich oczy i tonęły w sobie nawzajem długo, długo, bez końca.

Ale bo też mówiły sobie dużo, i trudno mieć za złe sąsiadowi, że od widoku tego oderwać się nie mógł, gdy oczy sąsiadki wymowniejszemi były od najwymowniejszych profesorów, gdy w ich błękicie świeciło to, co sam Bóg napisał płomieniami zgłoskami na firmamencie niebieskim: Kocham!

Gdybym ja była ptaszkiem z tego gaju,
W żadnym bym innym nie śpiewała kraju,
Ani na góry, ani na lasy,
Tylko po wszystkie czasy
Pod twem okienkiem i tylko dla ciebie,
Gdybym w ptaszyne mogła zmienić siebie...

Kilka razy spotkali się z sobą na schodach, i wielki ich wtedy strach ogarniał. Ona biegła nie śmiejąc nań spojrzeć, on chował się do swej izdebki zawstydzony, jakby go na gorącym złapano uczynku.

Przestrzała ich bliższa odległość, zbliżenie napełniało ich trwogą. A jednak, gdy każde w swoim siedziało oknie, chłopak marzył o skrzydłach, któreby go zbliżyć mogły, o jedwabnej drabince Romea i przeraźliwym śpiewie skowronka dzień zwiastującego...

Sny miewał niespokojne, pełne gorączkowych marzeń, budził się za każdym szelestem i zrywał się z posłania. Najczęściej sen go ujmował niepostrzeżenie, gdy nad książką schylony chciał wynagrodzić sobie w ciszy nocnej zaniedbane w dzień studia.

W jedną taką noc właśnie, obudził go nagły krzyk pełen trwogi. Porwał się od stolika i skoczył do okna. Straszny przedstawił mu się widok.

Z okna sąsiadki wydobywały się kłęby dymu i blaski czerwone!..

W jednej chwili, nie zastanawiając się wcale, stanął w jej mieszkaniu. Babka i wnuczka powitały go jak zbawcę.

— Panie, ratuj nas!

Słów tych nie słyszał młodzieniec, niebezpieczeństwo natchnęło go siłą i energią niezwykłą.

Zrozumiał co było przyczyną ognia: lampa upadła na ziemię, strumienie płynącej nafty rozlały się po podłodze, a od niej zajęły się firanki przy oknie.

W kamienicy wszyscy spali, nikt nie śpieszył na pomoc, ale też energiczny chłopak nikogo nie wołał. Zdawało się, że chodziło mu o dokonanie zadania bez niczyjej pomocy.

Zerwał firanki i w rękach je zagasił, a jednocześnie deptając nogami płonąca podłogę, przysłaniał ogień skutecznie.

Na szczęście nafty nie było wiele. W ciągu kilku minut płomienie znikły i tylko dym spalonej miejscami podłogi unosił się w powietrze.

Wtedy pobiegł znowu do swej izdebki i wrócił z konewką wody. Oprzytomniałe kobiety wzięły się również do pomocy, za chwilę deski flejące zgasły, tylko kłęby dymu unoszące się w powietrzu dławiły, wgrzając się w oczy.

Otworzono drzwi i okna, a sąsiadki, na prośbę młodzieńca, przeszły do jego izdebki.

Gdy już wszystko się skończyło, oprzytomniał dopiero chłopak rozkochany i dostrzegł, że go płomienie zbliżyły do przedmiotu jego marzeń,

że ona, (ona! czyż mógł to przypuścić!) znalazła się w jego izdebce!

Staruszka zaczęła go błogosławić, on machinalnie ręce jej całował.

Dziewczę stało opodal spłakane i rozplątione.

— Alinko, podziękujże panu.

Ona nieśmiało podała mu rączkę, on ją do ust przycisnął, ale mu się w głowie mieszało, nie mógł zdać sobie sprawy z tego co zaszło, był jak pijany ze szczęścia.

Odeszły wreszcie, a on stał jeszcze nieprzytomny. Usta mu płonęły od pocałunku jej rączki, serce biło jak szalone, pierś wzdymała się gwałtownie, nie mogąc pomieścić w sobie wrażeń tak nagłych, wreszcie upadł na łóżko i wybuchnął płaczem.

Tak płakałby z nas każdy, gdyby naraz niebo zamieszkało mu w piersi i wszystko, o czym nawet marzyć nie śmiał nigdy, stało się rzeczywistością...

Przestrzeń, dzieląca dotąd dwa okienka, znikła, młody sąsiad stał się codziennym u sąsiadek gościem, one miały kuchenkę i staruszka sama gotowała, on został ich stołownikiem, placąc kilka reńskich miesięcznie.

Bieda ma jedną dobrą stronę: łączy i zbliża ludzi; bogactwo ma jedną złą: dzieli.

Pani Marcinowa przywiązała się do młodego chłopaka sercem macierzyńskim, i doznawał od niej rzeczywiście dowodów macierzyńskiej czułości.

Serce kobiety do uczuć takich jest zawsze skłonny, ale gdzieindziej krępuje je konwencyonalny chłód stosunków.

Tu tego nie było. Staruszka, wdowa po zmarłym wóznym uniwersytetu, poczuwała się nawet do jakiegoś powinowactwa z całą młodzieżą uniwersytecką. Robiło jej to miłe przypomnienie dawniejszych, lepszych czasów, kiedy jeszcze za życia nieboszczyka męża, częściej widywała panów akademików i znała ich wszystkich z widzenia i nazwiska.

Poznała, że młody sąsiad, choć ubogi jak one, delikatnym był i do lepszego bytu przywykłym, chciała mu więc przyjść w czym z pomocą.

Że mu smakowały obiady pani Marcinowej, czyż trzeba dodawać?

Poznał przecie chłopak, że mu nie godziło się poprzestać na samym tylko lichem wynagrodzeniu kilku reńskich, i nieraz zdradził się ze swem zakłopotaniem przed staruszką.

— Ot, wiesz co panie Józefie, — odezwiała się

pewnego razu, — jeśli ci już o to idzie koniecznie, naucz czego moję Alinkę...

Józef się zapłonił jak panienka, Alina pochyliła główkę nad robotą, a twarzyczka jej spłonęła, jak róża o wschodzie słońca.

Uśmiechasz się, czytelniku, na myśl o tej nauce. Zapewne! może jak Walter u Mickiewicza

..... chciał wszystkiego nauczyć,
Co sam umiał; niestety, on ją i tego nauczył
Czego dotąd nie umiał: on nauczył ją kochać.

Tak się stało w samej rzeczy. To co wzajem do siebie czuli dotychczas, było zaledwo przedświtem miłości. Zbliżenie wzajemne nadało uczuciu temu charakter bardziej określony, skończony, wyraźny, odbierając mu potrosze dawną cechę mglistego rozmarzenia.

Przywiązanie to wzmogło się, siła atrakcji wzajemnej spotężniała, stosunek cały oparł się na stałej, realnej podstawie, dojrzeli w nim oboje, jak kwiaty rozwijają się w promieniach słońca.

Tak metamorfozę tę określiliby widz obojętny i analizujący; oni nie zdawali sobie z tego sprawy. Czuli tylko, że ich łączy wielka, nieznana dotąd potęga, czuli, że żyją nawzajem dla siebie, że płomienie, które ich do siebie zbliżyły, płoną dotąd w głębi ich serc, płoną coraz szerzej, coraz

potężniej, obejmując sobą dwa ich serca, dwie głowy, dwie istoty.

I ktoby mógł przypuścić, że nauka w takich warunkach nie została bez korzyści? A jednak tak było, korzystali oboje.

Ona główkę miała otwartą, chęć wiedzy silną i ambicyą niemałą. Pracowała z zapałem, można powiedzieć, z uporem. Zapał ten pociągał za sobą i jego, ambicya kazała mu być od niej wyższym, więc wszystko o czem jej mówił, przetrawił pierwiej w sobie; myśl o niej, kazała mu słuchać pilnie wykładów profesorskich. W ten sposób korzystali oboje.

Wprawdzie czasem, gdy spotkały się z sobą ich oczy, gdy jasne warkocze jej pochylonej główki musnęły mu lekko usta, gdy dłonie ich, wiedzione pociągiem bezwiednym, zespoliły się z sobą, znikł na chwilę z przed oczu przedmiot wykładu i nauki i zdawało się im, jak gdyby obłok różowy spływał ku nim i otoczył ich wkoło.

Wracało im przytomność odezwane się staruszki, zwykle siedzącej opodal z pończoszką w rękę.

Zresztą lekcye te nie trwały nigdy dłużej jak godzinę. Alinka bowiem miała dość pracy zarobkowej. Szczupłe dożywocie babki, emerytura po

mężu nie wystarczały na wszystkie potrzeby. Zarabiała więc igłą.

Niekiedy, wieczorem, zwłaszcza jeśli to był dzień świąteczny, towarzyszył im Józef na przechadzkę do ogrodu albo za miasto, zaco po powrocie zostawał zaproszony na herbatę. Wieczory te zapisywały się złotemi głoskami w dziejach ich stosunku.

Staruszka zasypiała z koronką w rękę pod narkotyzującym ją wpływem przytłumionej rozmowy tej pary. Niekiedy tylko otworzyła oczy, przemówiła jakie słowo, i dalej ciągnęła się drzemka.

Młodzi siedzieli przy oknie, zbliżeni do siebie, trzymali się za ręce i patrzyli kolejno, to w niebo pogodne zasiane gwiazd milionami, to w oczy swoje. Niekiedy milkła zupełnie rozmowa... jasna główka schylała się na ramię młodzieńca, ręką jego obejmowała wiotką kibić drżącego dziewczęcia i usta ich spajały się z sobą w długim, gorącym pocałunku... Wtedy już nie obłoki różowe, wtedy niebo roziskrzane gwiazdami otaczało ich wkoło i czuli się szczęśliwemi, jakby to wniebowzięcie nie było tylko marzeniem...

Przerywam nagle tę niezmaconą harmonią szczęścia, gdyż i w rzeczywistości nie trwa ona nigdy długo. Każdą chwilkę wykradzioną niebu

trzeba opłacać latami ziemskich cierpień i niedoli.
Mija jak błyskawica szczęścia chwila, a po niej
idą wieki zgryzot, bo

..... nie tak nie boli,
Jak chwilę szczęścia wspominać w niewoli,

jak się skarży Dantemu piękna Franczeska, wsławiona przez jeden moment rozkoszy, zakończony śmiercią.

Niestety! częsty to koniec szczęśliwych melodij!

Pewnego razu przyszedł do swych sąsiadek Józef smutny i stroskany. Alinka ujrawszy go, zbladła i zadrżała. Otrzymał list od matki wzywający go do natychmiastowego powrotu; ciężka choroba zagroziła jej śmiercią: chciała umrzeć na rękach jedynaka i pobłogosławić go jeszcze.

Któżby się ośmielił zatrzymywać syna od wykonania tak drogiego obowiązku! Pojęła to Alinka, ale coś jej mówiło, że ten grom niespodziewanie spadły rozerwie złotą przędzę jej szczęścia na zawsze.

Józef postanowił wyjechać nazajutrz o świcie, został więc im jeden tylko wieczór...

Babka dnia tego czuła się cierpiącą, byli więc prawie sami i mogli się sobą nacieszyć przed rozstaniem.

Coś jednak stało między nimi, jakby czuli obecność tej srogiej ręki przeznaczenia, która ich tak prędko postanowiła rozdzielić. Rozmowa stała się jakąś pełną smutku, pełną nieznaną im dądem dumy. Mówili o przyszłości...

Tajemniczy, surowy, nieprzejrzany duchu, który się przyszłością nazywasz, czemu ty, tak uroczysty dla wszystkich, tak groźnym bywasz dla ubogich?

Na łonie dostatku, wśród uśmiechów losu marzą o tobie ludzie z rozkoszą, z nadzieją. Wprawdzie i tam przybywasz nieraz z płomiennym mieczem anioła, który wygnał pierwszych rodziców z raj, i tam przychodzisz zniszczyć świetne nadzieje, złote plony, dalekie projekty. Ale mniej się lękają ciebie, więcej ci wierzą.

Inaczej jest w ubóstwie, gdzie walka o życie odbywa się bezustanku, rozpacznie, gdzie tuż za drzwiami stoi Nędza z głową Meduzy i czyha na pożarcie ofiary.

O! tam jutro straszne, jak sfinksowa zagadka; nie dziw, że na myśl o niem bledną twarze i umiera radość, jak kwiat zwarzony mrozem.

Tam, w twarz twą, Przyszłości, śmiało patrzy tylko młodość niedoświadczona, ufna w siebie i w gwiazdę swoją, jak dziecko patrzy w paszczę armatnią z której za chwilę ma cios wypaść.

To też, smutni i stroskani zrazu, zaczęli po jakimś czasie powracać do dawnego usposobienia. Marzyli o przyszłości takiej, w której już ich nikt nie rozdzieli, przysięgali sobie nawzajem, że o sobie nie zapomną, że będą pisać do siebie, że będą marzyć o sobie i marzeniem tem zapełniać smutną rozłąkę.

Dwoje dzieci! chcieli kwiatami zapełnić przepaść otwierającą się pomiędzy niemi!

— Alinko moja! — przemówił Józef, — jesteś moim skarbem, mojem szczęściem, własnością moją, pamiętaj o tem! Ja nie chcę, żebyś cierpiała na naszem rozłączeniu, ja lękam się o ciebie. Jeżeli mnie kochasz, czuwać nad sobą. Ja chcę byś wyglądała lepiej niż teraz... zasmuci mnie blada twarzyczka twoja i oczęta podsiniałe od łez i pracy. Oszczędzaj się! i nie zapracowuj... dopóki babka żyje, nie macie wielkich potrzeb. Zresztą, ja o was pamiętać będę, potrafię może ulżyć waszej doli...

— Nie! ja tego nie chcę! — zawołało zarumienione dziewczę, zrywając się z siedzenia. — Grosz jeden wzięty od ciebie byłby dla mnie trucizną. Ja nie chcę! Józiu! jedyny mój! ja nie chcę. Mnie by się zdawało... och! nie powiem ci więcej ani słowa...

I rozplakała się, tuląc główkę do jego piersi.

Józef ujął jej drobną rączkę i pierścionek, pamiątkę rodzinną, na palec jej włożył.

— Jesteś moją narzeczoną, — rzekł uroczyście, — pamiętaj o tem!

Ona zawisła mu rączkami na szyi, jak ptaszyna przytuliła się do niego i łkając, całowała go w oczy, w usta, w czoło.

— Ty mój, mój! o co za szczęście!.. ty powrócisz prędko do twojej Alinki?... ty jej nie porzucisz?... słońko moje, życie moje! szczęście moje! W tobie teraz cała moja przyszłość, babunia może mnie lada chwila pożegnać... jestem sama na całym świecie!... ojca nie pamiętam... matka nie żyje, tyś dla mnie wszystkim, jam twoja.

— Moja! moja! — powtórzył młodzieniec, — powrócę do ciebie prędko, będziemy razem przez całe życie, bez ciebie żyćbym nie potrafił...

Tak mówili a na nich zpoza firanek spoglądał blady księżyc jakoś smutnie czy ironicznie...

Tymczasem na zegarze miejskim uroczyście, pośępnie bić zaczęła dwunasta.

Staruszka ocknęła się na ten odgłos i powstała z trudnością z krzesła.

— Idź już spać, Amelko, — będziesz jutro słaba. Bywaj nam zdrów, panie Józefie. Kto wie, czy ja stara zobaczę pana kiedy. W moim wieku

każdy dzień niepewny. Za twoje dla nas serce i pocziwość twoję — pozwól, że ci jak babka pobłogosławię...

Józef schylił się do rąk staruszki i rozrzucony całować je zaczął, zbliżyła się ku nim Amelka, i drżące, kościste dłonie spoczęły na ich głowach, jakby łącząc je w jednym błogosławieństwie.

Nazajutrz przed świtem Józef wyjechał: gdy już był na ulicy, spozjrzał w górę w okienko poddasza, ujrzał w nim jasnowłosą główkę, twarzą błądą bardzo i łzy płynące po niej ze smutnych lazurów oczu.

Uklonił się raz jeszcze, serce mu się z żalu ścisnęło, skoczył do czekającego nań pocztowego wózka i po chwili dom, w którym kilka miesięcy przeszło mu tak rozkosznie, zniknął mu z oczu.

Nieopodal stał kościółek, przed nim figura Matki Boskiej, u stóp której szeleściły opadłe z drzew liście jesienne.

Najświętsza Panna miała opuszczone ręce i zdawała się mówić młodzieńcowi: patrz! jak te liście tulą się do stóp moich, tak serca stracone garną się do mnie a ja je pocieszam.

Józef podniósł ku Niej błagalne wejrzenie.

— Matko Boża! miej ją w swojej opiece!

* * *

Choroba matki Józefa była rzeczywiście ciężką i groźną, walka ze śmiercią trwała długo, — wierny syn nie odstępował na krok od łoża chorej i poświęcił się pielęgnowaniu jej całym sercem.

Po dwóch dopiero miesiącach nastąpiło stanowcze przesilenie — nadzieja zaczęła wracać.

W ciągu tego czasu pisał raz jeden do Amelki i otrzymał od niej dwa listy. Smutną była i stęsknioną, zwłaszcza, że babka chyliła się z dniem każdym do grobu.

Dwa uczucia, dwa różne prądy walczyły w piersi Józefa, — chciałby polecieć do miasta, ujrzeć ją przynajmniej, pocieszyć, zagrzać nadzieją — a do łoża matki przywiązywała go miłość synowska — szczera i gorąca.

Nie mógł się nawet odezwać z tem z myślą wyjazdu, — w nim było życie matki, w jego oczach czerpała ona siły.

Po dwóch, przyszedł list trzeci z krótką tylko wiadomością o śmierci babki.

List ten był ciężkim dlań ciosem. Rozumiał czem była dla narzeczonej jego ta strata.

Wątpliwe, bezbronne dziewczę rzuconem zostało w ciężki i krwawy bój z losem, w ciężką walkę o kawałek chleba. W walce tej upadają czasem olbrzymy — cóż się z nią stanie!

Z największym wysileniem udało mu się wydobyc niewielką sumkę pieniędzy — i wysłał je z listem błagającym o cierpliwość, o wiarę w jutro, o szanowanie sił i zdrowia, — o jak najczęstsze wreszcie listy.

W odpowiedzi otrzymał list długi, serdeczny, pełny bólu ale miłości. Prosiła go nawzajem, by był o jej losie spokojnym, by wierzył w opiekę Opatrzności. Była wiadomość na końcu, że zmiana mieszkanie, ale nowego adresu nie było....

Daremnie wysyłał potem list po liście, — upłynęło kilka miesięcy bez żadnej zgoła wiadomości. Dręczył się tem biedny chłopak, walczył sam z sobą rozpacznie a musiał ukrywać to przed matką, aby się nawet nie domyśliła co się w nim dzieje.

I cóż miał począć innego? Matka go kochała nad życie — dręczyłaby się więc z nim razem — a czyżby to co pomogło?

Czyż mógł on myśleć o połączeniu losów swoich z losem ukochanego dziewczęcia?

Nie miał nic zgoła, — opiece i pomocy dobrych ludzi matka zawdzięczała życie. On miał być jej podporą jedyną, miał jej poświęcić pracę swoją i siły młode w zamian za tyle lat poświęcenia bez granic, za wszystkie trudy, cierpienia, bóle i troski macierzyństwa.

Mógłże w takich warunkach żenić się z ubogiem dziewczęciem? mógłże teraz właśnie brać na siebie nowe ciężary, nowe obowiązki?

Rozum mówił, że to niepodobieństwo, sumienie było z nim w zgodzie a serce? — serce mogło tylko cierpieć i boleć.

Gdybyż przynajmniej wiedzieć co się z nią dzieje! Nie było wiadomości żadnej. Harpie czarnych przeczuć złowieszczych szarpały mu duszę.

I czas nawet nie mógł go wyleczyć, — przeminął rok cały od wyjazdu z miasta: on cierpiał, gryzł się, mizerniał — bolał bez końca.

Odgadło prawdę wieszcze serce matki.

— Słuchaj, Józiu, — rzekła ona, kładąc rękę wychudłą na rozognionem jego czole, — ty cierpisz, ja to widzę, ty rwiesz się gdzieś sercem ode mnie, ty kochasz? — prawda?

Młodzieniec wypowiedział się przed matką ze wszystkiego.

— Nie zatrzymuję cię dłużej — jedź z Bogiem. Już mam, Bogu dzięki, tyle przynajmniej siły, że nie umrę przed twym powrotem. Jedź, uspokój się! I jeśli inaczej być nie może — przywieź ją tu — już mi jest drogą, bo ty ją kochasz!

Józef padł matce do nóg, całował jej stopy

i jak orzeł skrepowany, gdy mu rozwiążą skrzydła — poleciał do miasta.

Była to już późna jesień, — niebo szare, posępne, żałobną jakąś płachtą wisiało nad ziemią, płacząc niekiedy chłodnymi łzami.

Gnany niespokojnością i trwogą śpieszył narzeczony Amelki, nie zatrzymując się w drodze ani chwili, jakby każda była drogą.

Pędząc tak przez dzień cały od świtu, wieczorem dostał się na przedmieście. — Stał przed nim ów kościółek znajomy — powitał go podróżny zażawionem okiem.

Nagle... cóż to? czy szatan nieodstraszony powagą świątyni zgrozą go przejął śmiertelną, czy śmierć w postaci widomej stanęła mu w drodze? — krzyknął, wstrzymał woźnicę i osłupiałem okiem patrzył na kartę żałobną świecącą na murze kościoła.

Na karcie tej stało:

AMELIA R...

panna

zmarła w dniu.... w wieku lat 20.

W ciemnicy podziemnego kościoła błyskało kilka świec przy katafalku. Za światłem tem chwiejnym krokiem, sam jak trup błądy zeszedł Józef po schodkach do kościoła.

W prostej niemalowanej trumience leżała po-

stać dziewicza zmieniona do niepoznania pocałunkiem śmierci. Miała na sobie tę samą sukienkę, w której raz ostatni ją widział, a na palcu prawej ręki świecił pierścionek zaręczynowy...

Jak długo leżał u stóp tego katafalka młodzieniec — niewiadomo, nie miał on pamięci ani czucia. Ocknął się, gdy staruszka jakaś, babka kościelna podniosła go i przemówiła doń z pociechą.

Wstał, posłuszny jak dziecko.

— Bój się pan Boga, — nie godzi się tak desperować. Już ja się domyślam kto pan jesteś, — oj! czekało na pana biedactwo, czekało — Bóg widać chciał, żeby się nie doczekało... Cóż robić — taka była Jego święta wola. Zapracowała się biedna a nie chciała żebyś pan na nią wydawał... Dlatego i nie pisała, choć ją to bardzo bolało!

Tak mówiła staruszka, wyprowadzając go z kościoła, on dał się jej prowadzić i milczał.

Dopiero, gdy wyszli, zatrzymał się i spojrzał przed siebie z gorzkim uśmiechem.

Oświetlona dwiema lampkami stała przed kościołem figura Najświętszej Panny. U stóp Jej szeleściły liście jesienne a Ona zdawała się mówić:

— Patrz te suche liście — to szczęście na zie-

mi... poleciłeś ją mej opiece — dałam jej szczęście i pokój wieczny.

Młodzieniec pochylił głowę i poszedł ulicą. Bez myśli, bez celu błądząc po mieście, przepędził noc całą. Dniało już, miasto zaczęło się budzić, wreszcie słonko wyjrzało zza chmury bladym promieniem, gdy znużony, bez sił prawie, stanął przed drzwiami jakiejś kamienicy. — Zwrotka znajomej piosenki obudziła go z zadumy. Podniósł głowę i zadrżał. Ujrzał dwa znajome dobrze okienka. Z jednego z nich płynęły tony pioseneczki:

Gdybym ja była słoneczkiem na niebie,
Tobym świeciła jedynie dla ciebie...

* * *

Platyna topi się dopiero w najsilniejszym sztucznym ogniu płomienia powietrza wybuchającego, — dyament potrzebuje ciężkiego młota, by się rozprysnął na kawałki, — lecz pokażcie mi w naturze ciało wytrzymalsze nad — serce ludzkie!



SPIS RZECZY.

	str.
Zamieć zimowa	1
Koncert	81
List bezimienny	117
Nr. 2,564	161
Śnieżycy	179
Lala	219
Okno na poddaszu	297





881-3

Grudziński Nowe

